

Karta książki

dział = 8 № III

autor: MOERS Juliana
z Poradowa

tytuł: Dramaty

data № data №
zrobili czytelnicy

урь по и сохраняются на уровне 1940 года.
урь посевных площадей связано главным обра-
вильному севообороту и со значительным расши-
кормовыми культурами.

я зерновых и технических культур по СССР
астет. Валовая продукция зерна увеличилась
продукция сахарной свеклы выросла на 18,6%,
2% и картофеля — на 35,6%.

агоприятные условия погоды 1939/40 года (ис-
морозы, затяжная весна, засушливая погода на
овой продукции зерна и технических культур
выше урожая благоприятного для сельского хо-
следующих лет. Продукция хлопка и льна, хотя
в 1940 году уровень 1913 года (по хлопку
1,5 раза), все же отстает от плановых заданий,
имания органов Наркомзема и местных партий-

предусматривается дальнейший рост валовой
хозяйства: зерновой продукции, хлопка-сырца,
свеклы, картофеля и других продуктов сельского
одукция зерновых культур, преимущественно за

PISMA
JULIANA MOERS Z PORADOWA

TOM VII.

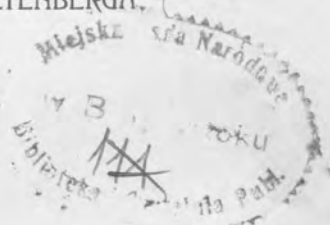
DRAMATY

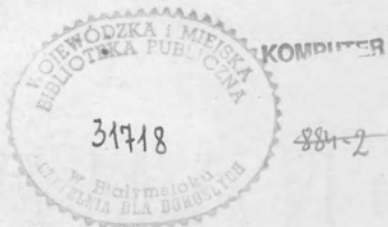
SAVONAROLA

DANIEL



LWÓW
KSIĘGARNIA H. ALTENBERGA
1907





821.162.1-2



Jego Ekscelencji

Hr. Karolowi Zaluskiemu

w dowód wysokiego poważania i przyjaźni

przypisuje

Autor.

703

SAVONAROLA

❧ OBRAZ DRAMATYCZNY ❧

Z DZIEJÓW FLORENCYI 1493

❧❧❧ W SZEŚCIU AKTACH ❧❧❧

OSOBY:

HIERONIM SAVONAROLA, przeor klasztoru San Marko.
LUDWIK SFORZA, książę Medyolanu.
KSIĘŻNA.
LEONARDO DA VINCI.
SEMENCIO.
KARDYNAŁ MEDYCEUSZ.
FRA LAURO, generał Dominikanów, sekretarz Papieża.
FRA SILVESTRO.
FRA DOMENICO.
FRA BENEDETTO.
DOWÓDZCA HALABARDNIKÓW BARGELLA.
GUIDO VESPUCCI.
LORENZO TORNABUONI.
ALEKSANDER TORNABUONI.
FRANCISZEK VALORI.
LENA.
KATARZYNA.
ARABELLA.
MARIETTA, służąca Arabelli.
MARSILIO TICINO.
KS. PICO DELLA MIRANDOLLA.
BOTICELLI.
POPOLESCHI.
BACCIO DELLA PORTA (FRA BARTOLOMEO).
DAVANZATI.
D'ANTELLO.

NICCOLINI.
GIOVACHIMO.
CREDI.
DOFFO SPINI.
BINI.
MAGGIOR DOMO TORNABUONICH.
ASTROLOG.
GENIUSZ.

Zakonnicy, zakonnice, hrabiowie, baronowie, halabardnicy,
szlachta, kobiety, lud.

MOTTO:

LEONTIUS.

Verbrennen lass ich dich.

PAOLINA.

Was kümerts mich?

Der mich ins Feuer wirft

Der ich der Kätzer, nicht wer drinnen brennt.

Szekspir: *Das Wintermärchen.*
(Akt II, scena III).

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

W Medyolanie; sala na zamku książęcym. Na prawo okna, w głębi małe drzwi; na prawo ku przodowi sceny duży i piękny stół na którym rozrzucone kartony. Przy stole krzesło z wysoką poręczą pięknie rzeźbioną, z koroną książęcą u góry, dla księcia; kilka krzeseł mniejszych — drzwi na prawo nieco w głębi. — Naprzeciw wieża, w głębi drzwi wchodowe. Sala ozdobiona freskami, kosztownymi draperiami, przedmiotami sztuki i roślinami. Przy oknie DWÓCH BARONÓW; przy stole stoi LEONARDO DA VINCI, którego otacza, oglądając jego kartony, KILKU HRABIÓW.

PIERWSZY HRABIA (do Leonarda).

Cudowna kompozycja! Każda głowa
Zda się przemawia. Onego Tomasza
Widziałem, znam go...

LEONARDO (z uśmiechem).

Tomaszów jest wielu...

DRUGI HRABIA.

Głowy są żywe! Lecz patrz też na ręce:
Jaka to studyów ścisłość i głębokość!
Gest każdy mówi — i do każdej twarzy
Zastosowana ręka.

PIERWSZY HRABIA.

Tylko jedna
Twarz jakby mgłą osłonięta, Chrystusa.

LEONARDO.

Zbawca nie raczy zstąpić do mej duszy,
Nie masz miłości na tej ziemi wzoru.

PIERWSZY BARON (przy oknie).

Książę powrócił, zsiadł z konia, wnet wejdzie.

PIERWSZY BARON

(do hrabiów, którzy się zbliżają do okna).

A więc w pamięci odśwież swoją mowę,
W obronie naszych praw.

PIERWSZY BARON.

Nasz władca gniewny.

Coś zająć musiało,

PIERWSZY HRABIA (do innych).

Odejdziemy z niczem.

SCENA II.

Ciż, wchodzi LUDWIK, gniewny, chmurny, trzyma
w ręku zmięty papier, za nim kilku dworzan; obe-
cni witają go ukłonem.

LUDWIK

(po obecnych hrabiów i baronów).

Nie mam dziś czasu, wybaczenie panowie.

(do Leonarda)

Powracam z della Grazie; Przeor gniewny,
W rozpacz mnichy. Twoje rusztowania
Refektarz zawalają, a ty już od roku
Nie byłeś u nich!

LEONARDO.

Jeden dzień nie minie
Bym nie pracował nad moim obrazem.

LUDWIK.

Pracujesz dziwnie, mówią iż dnie całe
Walęszasz się po mieście.

LEONARDO.

Szukam wzoru.

LUDWIK (opryskliwie).

Wzoru do czego?

LEONARDO.

Na głowę Judasza.
(patrzy uważnie na księcia).

LUDWIK (hamując gniew).
Staraj się skończyć obraz do miesiąca,
Albo zabielić każę.

LEONARDO
(zbiera kartony, kłaniając się).
Wolna wola. (chce odejść).

LUDWIK.
Wstrzymaj się mistrzu. Mam przykrości wiele,
Stąd niecierpliwy jestem. Ja cię proszę
Dokończ Wieczerzę, — to jest arcydzieło!
Kiedy ją skończysz?

LEONARDO.
Jak mi się spodoba.
(kłania się i wychodzi).

SCENA III.

Ciż, prócz Leonarda.

LUDWIK
(patrzac za odchodzącym, do obecnych).
Myśmy li cienie, a to są książęta!
Proszę wybaczyć, do jutra panowie...
Dziś mam spraw wiele niecierpiących zwłoki...
(obecni żegnają go ukłonem i wychodzą).

SCENA IV.

LUDWIK sam, usiadł, rozłożył papier, czyta, dzwoni;
wchodzi SEMENCIO przez małe drzwiczki na lewo.

LUDWIK (do Semencia).
Widzisz ten papier? Własną ręką zdarłem
Z drzwi pałacowych... Kto go przybił?

SEMENCIO (drżący).
Książę...

LUDWIK.
Kto go przybił, pytam? — Wzorowe straże,
I dobra czujność twoja, by w dzień biały
Śmiano znieważać mnie w moim pałacu!
Poznajesz pismo?

SEMENCIO.
Nie znam książę. — Jednak...
Tu niema żadnej osobistej wzmianki:
Uwagi luźne o władcach, despotach,
Wogóle...

LUDWIK.
Próżno ślepego udajesz,
Czyliż by mi na drzwiach przybito, gdyby
Nie miano mnie na myśli? Kto to pisał?
Nie poznajesz ze stylu?

SEMENCIO.
Sądzę, ustęp
Jest z kazania Hieronima z Ferrary,

Przeora Dominikanów San Marko,
Czyli Savonaroli.

LUDWIK

(uderzając pięścią w stół).

Ha! przekleństwo!

Ten mnich zuchwały waży się publicznie
Z swej kazalnicy, na książęce głowy
Pociski miotać? Ten szaleniec sądzi,
Iż oną trzodą, co się ludźmi zowie,
Kierować można słodyczą baranka!

(z ironią i z uśmiechem)

Baranki ludek kochany pożera...

Mnich aż tu sięga... (do Semencia)

Natychmiast uwięzić

Wszystkich, co mają stosunki z San Marko.

SEMENCIO.

Księżna tam słała listy...

LUDWIK.

Milcz! Podwoić

Straż w bramach miasta i przetrząść każdego
Co do miasta przybywa. Tu być muszą
Tajni agenci, z Florencją konszachty...
Wszystko wysledzić musisz do wieczoru...
Czekam na raport...

SEMENCIO.

Wszelkich sił dołożę.

LUDWIK.

Powiedz kardynałowi de Medici,
Iż czekam nań. — Raz jeszcze ci polecam
Największą czujność i żadnej słabości...
Spiskowców głowy, albo twoja spadnie.

(Semencio, kłaniając się raz po raz, odchodzi).

SCENA V.

LUDWIK (sam).

Hydra wolności znów podnosi głowę,
Ni ją utopić w czarnej krwi potoku,
Ni ją przywalić więziennem sklepieniem,
Ani ugłaskać miodowymi słowy...
Co chce ten naród? Wszak porządek w mieście,
Zarobek mają i mają zabawy.
Że słuchać muszą bez krzyku i zgiewku,
I że krzykacze znikają pod ziemią,
To jedno chyba zarzucić mi mogą...
Ale inaczej nie podobna władać!
W Medyolanie jam lud ukołysał,
Aż ów mnich nędzny na nowo zarzewie
Buntu rozdmuchać chce, sądzi iż płomień
Stopi nam mitry książęce na skroni!...
Ha! ha! swobodo! jest silna dłoń moja,
Co wszystkie głowy Hydry zmiażdżyć zdoła...
Savonarola swobód promotorem;
By wolność zdusić, trzeba by on zginął,
I zginie! Przezeń rządzona Florencyą,

Pociąga wzorem swym Italii miasta,
I podwaliny przyszłości zakłada
Innej, niż owa, którą pragnę stworzyć.

SCENA VI.

LUDWIK i KARDYNAŁ MEDYCEUSZ, witają się. —
Ludwik wskazuje Kardynałowi fotel obok siebie.

KARDYNAŁ (siadając).

Wczoraj mnie, książę, słuchać nie raczyłeś,
A dziś mnie wzywasz.

LUDWIK.

Noc przynosi radę:
Co się przy świetle dziennem trudnem zdaje,
Wśród nocnej ciszy inną postać bierze;
Myśli jak ludzie, rodzą się wśród nocy.

KARDYNAŁ.

Ciesz się, książę, żeś odmienił zdanie
O moim bracie.

LUDWIK.

O! odmienić zdanie
O księciu Piotrze, niepodobna zgoła!
Na to potrzeba, by on przeszłość zmienił,
I znikły fakta iż ów książę oddał
Sarżanę Frankom, Florencyę ludowi.

KARDYNAŁ.

Okoliczności...

LUDWIK.

Niech nie tyka władzy
Ten, co nie zdoła wedle myśli swojej
Kierować wypadkami.

KARDYNAŁ.

Umiejętność
Ta nie każdemu dana. Wtem jedynie
Jest Ludwik Sworza mistrzem, więc do ciebie
My się po radę udajem.

LUDWIK.

Ba radzić
Książętom, co się wygnać dali, wierzaj,
Herkulesowe zadanie, bo takim
Brak najważniejszej rzeczy.

KARDYNAŁ.

Złota?

LUDWIK.

Głowy!

KARDYNAŁ.

Medyceuszom zarzut taki!

LUDWIK.

Tylko
Do księcia Piotra stosuję, — dla ciebie
Bym się nie wahał, bo wiem, eminencyo,
Iż godnie szedłbyś w Wspaniałego ślady,
Ale Piotr brat twój, skąpy, to rozrzutny,
Nie baczy komu tajemnice zwierza,

I dla kaprysów chwili, zniechęciwszy
Posiadających jego tajemnice
Nie każe zgładzić.

KARDYNAŁ.

Na obcej ziemi...
To nie zawsze można

LUDWIK.

Czyżby?! By powrócić
Módcz do Florencyi, na co dziś liczycie?

KARDYNAŁ.

Żołnierza mamy do czterech tysięcy
I licznych zwolenników wśród mieszczanstwa
Znudzonych rządem mnicha, oraz butą
Soderiniego i innych... a jeszcze
I wpływem Valori'ego.

LUDWIK.

Mieć jednego
Wolą, niż licznych władców. Jednak radzę
Wyprawę zbrojną na teraz zaniechać.
Jeszcze nie pora. Dam księciu pożyczkę,
Byście jednali stronników w Florencyi
I podkopali władzę Hieronima.

SCENA VII.

Ciż, z drzwi bocznych wchodzi SEMENCIO z pakie-
tem opieczętowanym w rękę; na widok Kardynała
wstrzymuje się i wzrokiem pyta księcia; Ludwik

wstaje i podchodzi ku niemu, bierze papiery i staje
przy oknie na lewo, tak, iż śledzący go Kardynał
nie może widzieć jego twarzy.

LUDWIK (do Kardynała).

Wybaczyć chciej, eminenenco, mój sekretarz
Przynosi wieści na które czekałem.

KARDYNAŁ (do siebie).

O! o, tu się nie śpi na różach...

SEMENCIO

(do Ludwika, oddając pakiet).

Goniec z Florencyi spieszył oddać pakiet
Gońcowi z Niemiec.

LUDWIK (biorąc papiery).

Od kogo?

SEMENCIO.

Z San Marko.

LUDWIK.

Gdzież jest ów goniec?

SEMENCIO.

Ujęty, rozpacznie
Bronił się i w walce poległ.

LUDWIK.

A głupcy!

Zabijać gońca! Wielkiej wagi jednak
Muszą być pisma, skoro ich tak bronił...
(rozrywa pieczęć)

Savonaroli listy do cesarza
I króla Francyi... Co on pisać może?
(czyta)

»Obwołać sobór — innego papieża
Obrać i Borgiów usunąć skandale...«
Ten mnich oszalał!
Myśl wielka, myśl śmiała,
Myśl chrześcijańska, lecz me plany psuje.
Nieocenione listy! Hardy mnichu,
W mem ręku jesteś! Weźmie je kardynał
Hieronim, z żywych wymazan szeregu.

SCENA VIII.

Ciż, KSIĘŻNA wchodzi z drzwi na prawo.

KSIĘŻNA (rozradowana).

Nasz syn ocalon! Czy słyszysz, Ludwiku,
Niebezpieczeństwo przeszło, jak obiecał
Ojciec Hieronim. Usnęła dziecina
O tej godzinie właśnie, kiedy święty
Przeor z San Marko modły zań odmawia.
Od dni dziewięciu dziś koniec nowenny.

LUDWIK

(kładąc pakiet na stole, do siebie).
Za dziecko moje modlił się w tej chwili...

KSIĘŻNA.

Ty się nie cieszysz? Porzuć państwa sprawy,
Bądź chociaż chwilę ojcem! O, w uśmiechu
Dziecka jest więcej szczęścia, niż dać mogą
Wszystkie korony świata.

LUDWIK

(z pobłażliwym uśmiechem).

Tak dla matki!

Oboje, księżno, jedną miłość mamy
Dla dzieci naszych, trudy nie jednakie;
Ty główkę chorą ochładzasz i tulisz,
Ja myślę by jej nie zbrakło korony.
Idź, miła księżno; załatwiwszy sprawy,
Uścisnąć pójdę syna.

(Księżna z niepokojem spogląda kolejno na męża,
Kardynała, Semencia i papiery).

KSIĘŻNA

(zbliża się do księcia i kładzie mu rękę na ramieniu).

Jeszcze słowo...

Wdzięczności mamy dług dla Hieronima,
On słał nam leki, odprowadzał nowenny,
On nam uleczył i powrócił syna.
Ludwiku, będziesz się starał okazać
Twą wdzięczność?

LUDWIK (spuszczając oczy).

Ile będzie w mojej mocy.

KSIEŻNA.

Ty możesz wiele, lecz mąż świątobliwy
Nie potrzebuje dóbr ziemskich.

(cicho i błagalnie)

Przynajmniej

Nie ślij nań zbirów.

LUDWIK.

Księżno!?

KSIEŻNA.

Jego życiu

Już nie zagrażaj! Na niewdzięcznych spada
Grom Bożej kary... a my... mamy dzieci!

LUDWIK.

Co ty śmiesz mówić? Skąd to przypuszczenie,
Abym ja zbirów?... Kto ci to powiedział?

KSIEŻNA (cicho).

Tyś sam mi mówił...

LUDWIK.

W uniesienia chwili

Mówi się czasem rzeczy... Dość, przyrzekam,
Iż wszelkich starań dołożę by wynieść
I wynagrodzić Ojca Hieronima,
Jak zasługują jego czyny...

KSIEŻNA

Dzięki!

(odchodząc, do siebie).

Straszny ten mąż mój, każde jego słowo

Jak zimny sztylet me serce przeszywa,
Zmiłuj się Boże nad nim i nad nami.

(wychodzi na prawo).

SCENA IX.

Ciż, prócz KSIEŻNY.

KARDYNAŁ (wstając).

Czy masz mi, książe, co więcej powiedzieć?

LUDWIK.

Racz, eminencyo, wybaczyć! Moja żona
Wieść mi przyniosła, iż syn nasz najstarszy
Śmiertelnie chory, którego już miałem
Za straconego, do zdrowia powrócił.

KARDYNAŁ.

Podzielam radość księstwa i rozumiem
Siłę rodzinnych uczuć. Zaraz spieszę
Do brata mego ażeby w czas jeszcze
Wstrzymać od zbrojnych go kroków.

LUDWIK.

Najszczerzej

Zyczę Piotrowi powrotu do władzy.

KARDYNAŁ.

Dzięki raz jeszcze za pomoc i radę.
(wychodzi).

SCENA X.

LUDWIK, SEMENCIO nieco w głębi.

LUDWIK (do siebie).

A to fatalność! Co począć? Co począć?
Księżna przez swoją zabobonną wiarę
W cuda i modły, krępuje mi ręce...
Dla niej on święty. Nie wie, iż ten święty
Nietylko Borgiów lecz mnie może zwalić...
Semencio!

SEMENCIO.

Jestem.

LUDWIK.

Czy tu nie ma kogo
Z agentów tajnych księcia Valentinois?

SEMENCIO.

Jest tu Fra Lauro i już od dni kilku
O posłuchanie prosi.

LUDWIK.

Co za jeden
Ow Frate Lauro?

SEMENCIO (cierpliwie).

Mnich, Dominikanin.

LUDWIK.

To wiem, lecz pytam ciebie jaki człowiek?

SEMENCIO.

Człowiek w nim zamarł, jeżeli był kiedy...
Erudyt, mowca — zresztą habit mniszy
Nadziany nienawiścią.

LUDWIK.

Mądry?

SEMENCIO.

Chytry.

LUDWIK.

Więc powiedz mu, by przyszedł tu niezwłocznie.
(Semencio odchodzi).

SCENA XI.

LUDWIK (sam).

Niewiasty sądzą, iż władając państwem
Można za serca iść popędem. Władza
Dla nas, co dyadem mamy ani z łaski
Bożej, ani z wyboru narodu,
A tylko siłą, lub raczej podstępem
Zdobyty, trudna jest do utrzymania,
I jedną tylko rękojmnią pewności,
Plebs trzymać grozą, tak jak na łańcuchu
Zwykle się trzyma zażarte brytany.
Spuścić z łańcucha — wnet na nas się rzuci.

SCENA XII.

LUDWIK. — FRA LAURO wchodzi przez drzwi główne; układny, pokorny, ręce na piersiach złożone.

FRA LAURO.

Pokoj temu domowi...

LUDWIK

(zwraca się ku niemu).

Co to? Święty?...

FRA LAURO.

Z przyzwyczajenia.

LUDWIK.

Hm! człowiek pobożny

W usługach Cezara Borgii?

FRA LAURO

(wznosząc oczy w górę).

Na każdym

Miejscu i zawsze można Bogu służyć.

LUDWIK (patrzając nań).

Dobry. — Takiego właśnie mi potrzeba.

Usiądź, Fra Lauro, — wszak tak się nazywasz?

FRA LAURO.

Generał Dominikanów, sekretarz
Jego Świętobliwości.

LUDWIK.

O! persona!

Mam wolną chwilę, pogadać możemy...
Z czemże to książę Cezar cię przysłał?

FRA LAURO.

Mój książę pragnie nawiązać poufne
Praktyki z pierwszym dzisiaj dyplomata
I gwiazdą rodu Sforzów.

LUDWIK.

Bez metafor,

Praktyki jakież cel?

FRA LAURO.

Alians w przyszłości.

LUDWIK.

Przeciwko komu?

FRA LAURO.

Przeciw drobnym księstwom

I republikom włoskim, — by półwysep
Podzielić na dwa państwa, dla dwu rodów,
Sforzów i Borgiów.

LUDWIK.

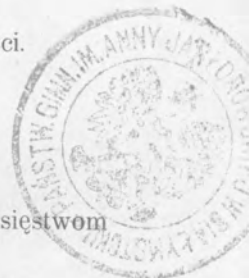
Myśl niezła, lecz środki?

FRA LAURO.

Co do tych właśnie chcę się porozumieć,
Sądzę, iż trzeba zacząć od Florencyi.

LUDWIK.

Chciałby dla siebie.



FRA LAURO.

Genuę i Wenecję
Dla ciebie książę...

LUDWIK.

Ażeby się dzielić,
Potrzeba naprzód zdobyć one grody.
Florencyi wziąć dziś niepodobna prawie.
Miasto obronne i dobrze rządzone.
Aby je podbić, trzeba przedewszystkiem
Zwalić Savonarolę.

FRA LAURO.

O, Duch święty
Przemówił przez cię książę! Lecz jak zwalić?...

LUDWIK.

Jabym nie pytał, gdybym był papieżem...
Jaka tam u was karność, nie pojmuję.
Mnich, co wykonał posłuszeństwa śluby,
Staje się sędzią, nazywa papieża
Żelazem rdzawem, Rzym zwie Babilonem,
A wy milczycie! O lada pisemko
Sypią się u was cenzury i kłątwy,
A tu milczycie.

FRA LAURO.

Bo Savonarola
Niestety prawdę mówi.

LUDWIK.

Niech więc papież

Przywdzieje włosienicę i niech czyni
Kornie pokutę.

FRA LAURO.

On dziś przygnębiony
Utratą syna. Śmierć księcia Gandii
I z ręki brata...

LUDWIK.

Dziwny jest ten Cezar
By wciąż zabijać krewnych! Lecz mieć musiał
Powody ważne — a mnie nic do tego.

(pokazując na papiery)

Patrz, gdzie idziecie: on, Savonarola,
Już tak dalece czuje się na siłach,
Iż o reformy radykalne woła.
Oto śle listy: jeden do cesarza,
Do Francyi króla drugi, by co rychlej
Zwołali sobór powszechny, aby złożyć
Z stolicy świętej Aleksandra.

FRA LAURO.

On pisał?
On to napisał? On wart ognia stosu!
Lecz jak przeszkodzić? Florencję rozburzyć!
Wśród tortur zgładzić zuchwałego mnicha!

LUDWIK.

A! a! a! Florencję chcesz burzyć?
Lecz pierw ją zdobyć trzeba! To nie zamek
Lada barona, co dość kopnąć nogą
Aby się w proch rozleciał. Dziś to miasto

Jest rządne, silne dzięki tym ustawom,
Które Hieronim nadać miastu umiał.
Proroka zwalić gdy lud w niego wierzy,
To nie jest w Borgiów, ani ludzkiej mocy.

FRA LAURO.

A więc co czynić?

LUDWIK.

Idź, zaraz do Rzymu,
(daje mu papiery)
Tajemne listy doręcz papieżowi,
I powiedz, że go proszę, aby przysłał
I to najrychlej dla Savonaroli
Kapelusz kardynalski.

FRA LAURO.

Czyż podobna!
Buntownikowi.

LUDWIK.

Wszak o listach onych
Nic nie wie papież. Rozumiesz?
(Fra Lauro czyni znak głową)
Hieronim
Mąż święty, — niechże go zatrzyma w Rzymie,
W Rzymie malarya... mnich słabego zdrowia...
Tam złe powietrze... jest także i woda
Niezdrowa bardzo — Borgiom dobrze znana...
(ciszej i konfidencyjnie)
Takiego wroga pozbyć się pocichu,
Wierz mi, najlepiej.

FRA LAURO.

O, można zarówno
Wroga sztyletem, jak uśmiechem zabić.
Lecz w razie gdyby godności odmówił?

LUDWIK.

Jest plebs florencki, równie niezawodny,
Ale kosztowny środek...

FRA LAURO

(wstając i chowając papiery).

Zaraz jadę.

Jakże związek książęcy?

LUDWIK.

O tem próżno mówić,
Dopóki żyje mnich.

FRA LAURO.

Nie będzie długo
On żył.

LUDWIK.

Tem lepiej dla was.

FRA LAURO.

I dla książąt!
(żegna księcia ukłonem i wychodzi lecz już nie
tak pokorny).

SCENA XIII.

LUDWIK (sam).

I któż śmierć mnicha mnie przypisać może?
O kardynalski kapelusz dlań proszę,
I o tem zaraz powiem mojej żonie.
Skoro go zgładzą, swoboda upadnie,
Piotr Medyceusz weźmie rząd Florencyi.
Wnet go przegonię, ja zagarnę miasto...
Borgie są na to by sprzątnęli mnicha...
Czyn mój pokryje wieczna tajemnica.
Ale jest jednak świadek niepotrzebny,
Ów Frate Lauro, pamiętać należy,
By nie piastował tajemnic zbyt długo.

(robi notatkę w leżącej księdze)

SCENA XIV.

LUDWIK, — ASTROLOG wchodzi przez drzwiczki na
prawo.

LUDWIK.

Masz już horoskop?

ASTROLOG.

Zaniechaj twe plany,
Źle wróżą gwiazdy. Tam twe oko sięga,
Gdzie skrzydła orle donieść cię nie mogą.
Odosobnioną gwiazda twoja księżę,
Mars z jednej strony, Saturn z drugiej grozi,

Ci, co sprzyjają dziś, zmieniają się we wrogów...
Zwycięzsz wprawdzie lejąc krwi potoki,
Ale twój koniec...

LUDWIK.

Na tronie?

ASTROLOG.

W więzieniu.

LUDWIK.

Kto cię przekupił aby mnie zatrwożyć?

ASTROLOG.

Twe wrogi raczej ślali by zachęty.

LUDWIK.

W moich zamiarach nie zmienić nie mogę...
Rozum pewniejszy, niż twe horoskopy.

(Zasłona spada).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Ulica we Florencyi wychodząca na plac della Signiora, na prawo portyk, — na lewo ulica jedna i druga, — w głębi widać część Palazzo Vecchio i placu na którym ułożone stopy, tak zwane della vanita; na placu lud. Przechodzi ulicą kilka kobiet w strojach wieśniaczek i kilku mieszczan: złotnik, szewe i inni.

PIERWSZA KOBIETA (do drugiej).
Madonna Santa! Co za tłum na placu!
Ani w Lorecie większego nie bywa.

DRUGA KOBIETA.
Z Fiesole biegnę, zostawiwszy w domu
Od piersi dziecię. Mówił mi spowiednik,
Iż tu szatańskie dzieła palić mają,
Sto dni odpustu kto faszyn dorzuci.

PIERWSZA KOBIETA.
Zapewne straszne rzeczy?

TRZECIA KOBIETA.

Cyrografy
Na duszę, dzieci krwią pisane, oraz
Zaklęcia, czary, co przywodzą grady.

PIERWSZA KOBIETA.

Ojciec Hieronim ma nad piekłem władzę.

DRUGA KOBIETA.

Błogosławiony mąż!... I czarownice
Może też palić będą? U nas Nina
Jest, wiesz ta krzywa, co sprowadza burze.

PIERWSZA KOBIETA.

Żebyż to można ujrzeć cudotwórcę,
Co z Madonną rozmawia!

ZŁOTNIK.

Cudotwórca!?
Żebraków karmi nam wydartym groszem,
Rozmawia z Bogiem, jak ja. Nikt z żyjących
Madonny nie oglądał.

SZEWEC.

Mądry srodze,
W Medyceuszów psiarni brał nauki!
Madonny nikt nie widział? He! A Dante,
Czy nie był w piekle i czyściu i raj?

ZŁOTNIK

(skonfudowany, nadrabiając miną).

Ba! Jeden Dante!

(usuwa się w tłum, — w tej chwili nadchodzi
orszak tłumu ze sztandarem).

LUD (wołając).

Cześć Savonaroli!

Niech żyje wolność! Jezus naszym królem!

DRUGA KOBIETA.

Idźmy za nimi.

WSZYSCY.

Cześć Savonaroli!

(Z pod portyków idąc ze stron przeciwnych, wychylają się ostrożnie GWIDO VESPUCCI i LORENZO TORNABUONI w czarnych płaszczach i maskach).

SZEWC

(oglądając się na Lorenza).

Ten czarny ptaszek z za miasta powraca,
Kurz ma na szatach i twarz swą ukrywa
Pod maską, równie czarną jak i dusza.

(wychodzą wszyscy).

SCENA II.

GWIDO¹ VESPUCCI i LORENZO TORNABUONI.

GWIDO (półgłosem).

Vittoria!

LORENZO.

Medyceusz!

(poznają się nawzajem i zbliżają).

GWIDO.

Z Sienny wracasz?

LORENZO.

Piotr Medyceusz jest już w Towernelli,
I dzisiaj w nocy...

GWIDO.

Mój pałac gotowy

Aby go przyjąć.

LORENZO

(patrzac na plac, ściska pięście).

Już książę wie o tem.

O kilka godzin zapóźno, by zalać
Te stopy krwią Fratesków! O, przekleństwo!

GWIDO.

Nie złorzecz słowom, one nam ułatwią
Zamach tej nocy. Ludek utrudzony
Swym własnym wrzaskiem i długim czuwaniem,
Zaśnie kamiennym snem i w pętach
Zbudzi się jutro...

LORENZO (w zamyśleniu).

Nie raz je potargał!

GWIDO.

Za słabe były! Obsadzono bramy?

LORENZO.

Jest naszych dwustu u bramy San Pietro.

GWIDO.

Kędyż są klucze?

LORENZO.

W sali mego brata
Wieszają na noc przy tarczy herbowej.

GWIDO.

To nieprzyjemnie. Twój brat, Alessandro,
Jest przeciwnikiem Piotra.

LORENZO.

Więc dlatego
Dziś wieczerzamy właśnie w jego domu.
W czasie bankietu łatwo chwycić klucze.

GWIDO.

Tak, bardzo dobrze; masz listę skazanych?

LORENZO (daje mu listę).

Weź ją, bezpieczniej by była u ciebie.

(pokazując mu papiery)

Ci tutaj na śmierć, a ci na wygnanie.

GWIDO (patrzac na listę).

I Popoleschi? Wszak on Medyceusz?

LORENZO.

Nazwisko zmienił, by schlebiać ludowi,

Zginie tej nocy, zaś Savonarolę
Pod strażą zaraz odeślem do Rzymu.

GWIDO.

A to znów po co?

LORENZO.

Borgiów rodu pomoc
Jest za tę cenę.

GWIDO.

A to co innego.
Borgie potrzebne nam są, a mnich wcale.

LORENZO.

Czyż tylko tyle? By wolność przytłumić,
Trzeba koniecznie sprzątnąć tego mnicha.

GWIDO.

Zwracają na nas oczy, — lud zaczyna
Warczeć, jak brytan spuszczone z łańcucha.

LORENZO.

Zejdziem się wieczór w Aleksandra domu.

(wychodzą).

SCENA III.

W głębi nieco ludu przychodzi. Z jednej ulicy wychodzi FRANCISZEK VALORI ze swym orszakiem, — z drugiej MARSILIO TICINO, oparty na ramieniu KS. PICO DELLA MIRANDOLA, — pierwszy, starzec

pochylony wiekiem; drugi, piękny młodzieniec. —
LEONARDO, CREDI, BACCIO BOTICELLI, MACHIAVELLI.

VALORI (do księcia).

Witaj mi książę, nie wiedziałem zgoła
Żeś jest w Florencyi.

MIRANDOLA.

Tylko co przybyłem,
Do ciebie szliśmy, gdyż przywożę wieści,
Ważne i groźne dla ukochanego
Naszego mistrza, ojca Hieronima.

TICINO.

Powiedz mu w domu, tutaj nie jest miejsce
Na podobne rozmowy.

(do Valori'ego, ujmując jego rękę)

Ty mi powiedz

Co znaczą stosy? Miałem Hieronima
Za zwolennika nauki Platona,
Miałem za mędrca go, za filozofa.
Mógłżem przypuścić, że umysł tak wzniosły,
Znów fanatyzmu rozdmucha zarzewie,
I dzieła sztuki niszczyć się ośmieli?

VALORI (oglądając się).

Ciszej, Ticino, by cię lud nie słyszał.

TICINO (z dumą).

W wolnej Florencyi jestem.

VALORI.

Tak jest, wolnej,

Ale przez kogo? Naszych ustaw równie
Jak pomyślności, twórcą jest Hieronim;
Nie sądź ty jego czynów, bo mąż Boży
Nic poziomego uczynić nie zdolny.
By lud zabawić w dni karnawałowe,
A od zwyczajnej rozpusty odwrócić,
Na stosy rzuca księgi i obrazy
Treści bezwstydnej, bez żadnej wartości.
Wierz, iż artystów grono go otacza,
I ci dzieł pięknych zniszczyć by nie dali;
On ich zachęca aby myśl podniosłą
Łączyli z piękną formą swych utworów.

TICINO (zamyślony).

Dziwny to człowiek ów Savonarola!
Kto go zrozumie? Ja go nie rozumiem.
Zmienił rząd miasta, zmienił obyczaje,
Chce zmian w kościele, i nareszcie sztukę
Skierować pragnie w niebywałe tory...
Zuchwały Tytan.

OKRZYK ZA SCENĄ.

Śmierć niecnym tyranom!
Precz Medyceusz! Śmierć wszystkim spiskowym!
Pałace zdrajców zburzyć!

VALORI.

To nie zwykłe

Ludu okrzyki. Coś nadzwyczajnego
Wzburzyło mieszczan.

TICINO.

Lud fala ruchoma...
Podnosi Bogi i Bogi obala.

MIRANDOLA.

Niosą tu ku nam jakiegoś człowieka,
A raczej cień człowieka, tak jest blady
I okrwawiony.

VALORI (do swoich).

Niech mi go przyniosą,
Jeżeli zdrajca — zamknąć go należy,
Jeśli ofiara — otoczyć opieką.

(do Mirandoli)

Mówiłeś, książę, iż złe niesiesz wieści?
My i tak w ciągłej żyjemy obawie
O Hieronima życie, i wždy kilku
Z naszych otacza go i strzeże. Sądzę
Iż nowy zamach...

MIRANDOLA.

Czujność waszą zdwojcie,
Gdyż wściekłość wrogów jego się zdwoiła.

TICINO (do Mirandoli).

Pójdźmy stąd, książę, one wrzaski tłumu
Równy mi wstrętne jak i krwawe sceny.

VALORI.

Proszę was idźcie do mojego domu.
Ja wnet przybędę, aby twoich, książę,

Wysłuchać wieści, i o bezpieczeństwie
Uwielbianego mistrza się naradzić.
(Ticino odchodzi).

SCENA V.

VALORI, LUD, kilku prowadzi i podtrzymuje LAM-
BERTA D'ANTELLĘ. — SZEWC, RZEŹNIK.

SZEWC.

Valori! Wolność nasza zagrożona!
Piotr Medyceusz zbliża się do miasta.

RZEŹNIK.

Precz z tyranami! Myśmy potokami
Przelanej naszej krwi wolność zdobyli!

LUD.

Precz z tyranami! Do broni! do broni!
Valori czuwaj! Broń miasta Valori!

VALORI.

Tak, śmierć tyranom i ich zwolennikom!
Lecz chciej pamiętać, o florencki ludu,
Iż sąd w Signorii, a nie na ulicy.

WIELE GŁOSÓW.

Na co tu sądy? Do broni! do broni!
Piotr u bram miasta.

VALORI.

Skąd wiadomość macie?

SZEWIC (wskazując na Lamberta).
Ten nieszczęśliwy ostrzegł. — Jego pytaj,
On wie o wszystkim.

VALORI (do d'Antella).

Imię twe?

D'ANTELLA.

Gdy żyłem,

Znało mnie wielu: Jam Lambert d'Antello.

VALORI.

Medyceuszów najwierniejszy sługa.

D'ANTELLA.

Powiernik Piotra! Spójrzij na przetarte
Od kajdan ręce, spójrzij na te nogi
Ze stawów wyszłe. Oto są tyranów
Dary dla głupców, co im wiernie służą.

VALORI.

Nagroda czynów godna.

D'ANTELLA.

Z moim bratem

Dla Piotra myśmy wszystko poświęcili,
Ojczyznę nawet... A on, on nikczemnik,
By siostrę naszą shańbić, nas obydwu
W więzieniu zamknął. Brat wyzionął ducha
Wśród tortur sznura; mnie rzucono
W zamkową fosę, biorąc me omdlenie
Za śmierć. — Litośni podjęli mnie ludzie,

I nieco sił nabywszy, pospieszyłem
Aby was ostrzedz. Zmieńcie zaraz strażę
Przy bramie świętego Piotra, — to są zdrajcy
W zмовie z tyranem. Piotr już jest w Vercelli.

LUD.

Wymień imiona zdrajców! Śmierć nikczemnym!
Ich domy zburzyć i wyciąć rodziny!

VALORI

(cicho do d'Antella).

Nie mów, na Boga! Powiesz ich imiona
W Signorii, — teraz milcz, by nie wywołać
Wściekłości ślepej tłumu.

(do ludu)

O! florencki,

Wszechwładny ludu, szanuj własne prawa!
Ty jesteś sędzią, lecz nie na ulicy...
Idę natychmiast zwołać wielką radę,
Przed nią d'Antello uczyni zeznanie.

RZEŹNIK

(do tłumu, wskazując na Valori'ego).

On jest patrycyusz, on zdrajców osłonić
Od kary pragnie.

VALORI.

Ludu! ja przysięgam

Na święte ojczyzny imię, na niewinne
Mych dzieci głowy, iż zbrodniarze,
Ktokolwiek oni są, chociażby krewni

Lub bracia moi, nie unikną kary.
D'Antellę z sobą do Signorii biore.

(do swoich)

Wy pospieszajcie do bramy San Pietro
I straż uwięźcie. Obsadzić natychmiast
Pewnymi ludźmi wszystkie bramy miasta.
Nietylko wpuścić niewolno nikogo,
Lecz i nikogo też wypuścić z niego.

(z orszaku Valori'ego odchodzą. — Do ludu)

Tak, zdrajcy których wymieni d'Antello
Ujść nie zdołają i sąd ich nie minie.

LUD.

Niech żyje Valori!... Czuwajmy wszyscy!

(Zasłona spada).

ODSŁONA DRUGA.

SCENA VI.

W pałacu Aleksandra Tornabuoni, piękna sala z balkonem wychodzącym na Plac Signorii — drzwi na prawo i na lewo. — ARABELLA bogato wystrojona, za nią MAGGIOR DOMO.

ARABELLA

(wchodzi ze drzwi na prawo i rozgląda się z podziwieniem).

Nie czeka w sali? U wschodów nie wita!..
Kędyż Don Sarolo?

MAGGIOR DOMO.

Dotąd nie powrócił
Z Signorii, sędzę, iż nadzwyczajnego
Coś go wstrzymało.

ARABELLA

To więcej niż dziwne,
Zaprosił abym z balkonu patrzyła
Na widowisko, gdy zapalą stosy.
Przybywam w przezeń oznaczonym czasie,
A pana w domu niema!

MAGGIOR DOMO

(prysuwa jej wygodne krzesło, stawia przy niej stolik).

Przybyć mają
Rodziny Strozzych, Ridolfich i Nerich,
Wdowa Capponi, młodzi Guiciardini.

ARABELLA.

Przybędą pewnie, lecz w tej chwili pusto.

MAGGIOR DOMO (do siebie).

Madonna tak się spieszyła, by chwilkę
Sam na sam spędzić ze swym wielbicielem,
I tak przykrego doznaje zawodu.

(głośno)

W pałacu naszym zanudzić się można;
Może Madonna zechce widzieć freski.

ARABELLA.

Dzięki. Chwil kilka spocznię tu, zapewne
Niedługo zbiorą się i inni goście.

(Maggior Domo odchodzi).

SCENA VII.

ARABELLA

(sama — rozglądając się).

Wspaniale mieszka stary Gonfalonier,
Stary to prawda, ale tak bogaty,
Na co ja liczę? Rozumniej by stokroć
Zostać wielbioną małżonką bogacza,
Niż próżno płonąć miłością szaloną
Dla żonatego, może dla zmiennika...
Rozumu głosu, kiedyż serce słucha?
Dla mnie na świecie jest tylko Valori.
Wciąż mnie unika — spotkać go nie mogę
Ani na chwilę, choćby w obcym domu...
Przyjść tutaj musi; przyjaźnią tak ściłą
Z Tornabuonim zdawna połączony...
Przyjdzie tem pewniej, gdy kartkę odbierze,
Którą przez wierną Mariettę posłałam,
Mogłaby wrócić już.

SCENA VIII.

ARABELLA — MARIETTA czarno ubrana.

ARABELLA.

Jesteś nareszcie!

Byłaś, co mówił? Gdzie jego odpowiedź?
Jak go zastałaś? Obdarzył cię hojnie?

MARIETTA (mrukliwie).

Obdarzył? pięknie! Miałam latać poco,
Oto jest list wasz.

ARABELLA (drżąc i blednąc).

On listu nie przyjął.

MARIETTA.

Ni mniej, ni więcej — przeczytał i oddał...
»Powiedz twej pani — rzekł — iż ubolewam
»Iż jej życzeniom nie uczynię zadość,
»Dziś towarzyszyć pragnę mojej żonie,
»Której tak mało chwil poświęcić mogę«.

ARABELLA.

Okrutnik! Zdrajca! Gdzież jego przysięgi
Miłości wiecznej, która przetrwać miała
Dłużej, niż życie. (płacze).

MARIETTA.

At, nie należało
Mnie tam posyłać. Ogólnie wiadomo,
Iż on przebywa wciąż z Savonarolą,
I wskutek męża pobożnego wpływu,
On się nawrócił i pojednał z żoną!

ARABELLA.

Wpływ tego mnicha jak wezbranej rzeki
Gwałtowna fala, niszczy łąki, kwiaty,

Tak też nam życia wszelką radość niszczy!
Czarę rozkoszy z dłoni nam wytrąca,
Na młode czoła szary popiół sypie
Pokuty wiecznej i śmierci za życia!

SCENA IX.

ARABELLA. — Przez drzwi główne wchodzi GUIDO
VESPUCCI i LORENZO TORNABUONI, w świetnych
strojach.

(Marietta się wymyka)

GWIDO

(do Lorenza, wskazując na siedzącą Arabelle).

Jak bizantyński obraz, wyzłocona,
Na gości czeka piękna Arabella.

Czy przyszła pani domu?

(zbliża się do Arabelli z ukłonem)

Czy mi wolno

Kuzynce powinszować?...

ARABELLA

(drgnęła ujrawszy go nagle, odpowiada opryskliwie).

Czego?...

GWIDO.

Gniewna?

ARABELLA.

Zdziwiona tylko. — Przecie się winszuje
Sukcesów spadku, lub zemsty nad wrogiem,
Że zaś nic z tego...

GWIDO.

Przepomniałaś, pani,
O najświetniejszym z tryumfów, o jasnej
Aurorze szczęścia, pochodniach hymenu!
Widząc cię tutaj — tak piękną...

ARABELLA.

O, szkoda!

Poezyi tyle kwiatów wysypałeś
Daremnie... Mógłbyś układać sonety,
I zaćmić sławę Laury wielbiciela!

GWIDO (który usiadł).

Więc twa obecność?

ARABELLA.

Zarówno jak twoja

I innych gości, nie weale nie znaczy.
Wszystkich nas tutaj zaprosił gospodarz,
Abyśmy z ganków obszernych pałacu
Patrzyli na plac, gdy zapalą stosy...

GWIDO.

Taaak...

ARABELLA.

Nie wierzysz?

GWIDO.

Uchowaj mię Boże!

Rozsądny człowiek zawsze temu wierzy,
Co mówi piękna dama.

LORENZO.

Bardzo dziwne,
Iż brata dotąd nie ma.

ARABELLA.

Maggior Domo
Mówi, iż dotąd bawi on w Signorii.

LORENZO.

To bardzo dziwne, coś się stać musiało.

ARABELLA.

Lorenzo zawsze ponury jak chmura,
Lecz chmura nawet ma — uśmiech błyskawic!...

LORENZO.

I ja się jutro śmiać będę. Lecz dzisiaj
Stosy mię drażnią. Ha! do tego przyszło
Iż jeden nędzny mnich Florencyi panem.

ARABELLA.

Jakże są różne obu braci zdania!
Nasz Gonfalinier uwielbia proroka.

GWIDO

(którego niecierpliwi zachowanie się Lorenza, by od-
wrócić uwagę Arabelli, przysuwa się do niej).

A ty kuzynko?

ARABELLA.

Ja go również cenię.

GWIDO.

Jak ja?

ARABELLA

(spojrzawszy na Gwida).

Być może... Z zapaleniem stosów
Zwlekają długo.

GWIDO.

Bo czekają nocy,
Aby z efektem większym spalić grzechy
Płoczej Florencyi.

LORENZO (do Gwida).

Ty żartować możesz,
Nie mogę pojąć...

GWIDO

(ciska mu gniewne spojrzenie i przysuwa się do
Arabelli).

Wiesz, piękna kuzynko,
Aleksandrowi ja zazdroszczę...

ARABELLA (z roztargnieniem).

Czego?

GWIDO.

Twych względów, przyszłego szczęścia...

ARABELLA.

O! proszę,
Nie chcej udawać, że widzisz coś więcej
Nad twoją Lenę.

GWIDO.

O! o! mi canzona!

Uwielbiam wszędzie piękno. — Co za ramię!
Biust jak Boticellego cudnej wiosny...
Powiedz mi proszę, jakże się to stało,
Iż nie zaliczył cię Savonarola
Do dzieł gorszących sztuki?

ARABELLA.

Snać do żywych
Jeszcze się nie wziął, kiedy ty nie płoniesz.

GWIDO (z emfazą).

Dla ciebie płonę!

ARABELLA

(z tłumioną złością, którą tonem żartobliwym pokrywa).

Idź do Hieronima,

Aby cię wodą pokropił święconą!...
Skuteczny środek, ręczę, wnet z różańcem,
W grubej kapicy, pójdziesz na mszę dzwonić,
Jak twój przyjaciel Valori.

GWIDO (patrzac na nią, do siebie).

Więc to ona!

(głośno)

Dziwacznie wieści, krążyły po mieście,
Iż się dlatego Valori nawrócił,
Iż jedna z jego kochanek, zapewne
W zazdrości szale, chciała jego żonie

Podsunać leki, — z onych radykalnych,
Co leczą wszelkie cierpienia — na wieki...
Zbladłaś kuzynko?...

ARABELLA.

Gorąco w tej sali

I do rozmowy wybierasz tematy
Fraterków godne.

LORENZO

(zbliżając się do Gwida, półgłosem).

Ja nie wiem jak możesz
W czezej paplaninie przyjemność znajdować,
W chwili...

GWIDO

(wstał i ujmując jego rękę, odciąga go na bok).

Ty mnie zmuszasz do paplaniny
Twem zachowaniem! Ona wciąż badawczo
Na cię spogląda, — musiałem odwrócić
Ile możliwości uwagę...

SCENA X.

Ciż, wchodzi spiesźnie ALEKSANDER TORABUONI
i zbliża się do Arabelli.

ALEKSANDER.

Jakżem winny!

Przebacz Madonna!...

ARABELLA (z kokieterią).

Nie łatwo przebaczyć,
Czas wydał się tak długim.

GWIDO (kłaniając się).

Dziękujemy...

Dla nas bardzo pochlebnie...

(śmieją się, prócz Lorenza).

Mnie każda minuta

Wiekiem się zdała. Pełen roztargnienia,
Mój urząd bardzo spełniałem niedbale,
Myśl ma tu była — i jakby szum fali
Słyszałem tylko wciąż huczące głosy
Signorii naszej.

LORENZO.

Jednak zająć musiało

Coś niezwykłego? Coś słyszałeś przecie?

ALEKSANDER.

Pobicia sprawa, jakich tysięcy w mieście:
Wnieśli na salę jakiegoś człowieka
Krwia zbrozonego. Pono dawny sługa
Medyceuszów, — na to jedno imię
Zawrzało w sali, powstał hałas taki,
Iż nikt własnego nie mógł słyszeć głosu.

LORENZO.

Nie słyszałeś jak się ów człek nazywa?

ALEKSANDER.

Ponoś d'Antella Lamberto, bo ciągle
Brzmiała ta nazwa.

ARABELLA (do Aleksandra).

Jakże się wyrwałeś?

ALEKSANDER.

Nadszedł Valori, — przemówił i zwolna,
Jakby oliwę kto rozlał po falach,
Tak uciszyło się to ludzkie morze.
Złożywszy w sali rannego, lud zaczął
Wychodzić zwolna, i ja się wymknąłem,
Lecz nie tu koniec jeszcze mych utrapień,
Ledwie próg przeszedł, ktoś za rękę chwyta,
Patrzę Fra Lauro, z Rzymu tu przysłany
Teolog, mówca, nudziarz nad nudziarze.

ARABELLA.

Odprawić mnicha i skończona sprawa.

ALEKSANDER.

Nie jest tak łatwo, — sekretarz papieża...
On zaś widocznie ma w tem swoje cele,
Bo póty nudził aż się do mnie wprosił.

(wchodzą MAGGIOR DOMO ze służbą, — rozsuwają
zasłony w głębi, tak, iż widać odbłask płonących
stosów. Przez drzwi główne wchodzą goście, któ-
rych Aleksander wita).

MAGGIOR DOMO.

Stosy płoną.

ALEKSANDER

(zwracając się do Arabelli).

Raczy przejść Madonna.
(wszyscy wychodzą na obszerny balkon, pozostają
tylko Gwido i Lorenzo).

SCENA XI.

GWIDO (do Lorenza).

Sławny spiskowiec! Każdy z twojej twarzy,
Mógłby wyczytać: »oto zamach knuję!«
Szczęściem iż brat twój tak mocno zajęty,
Swą złotą gaską, iż nie patrzy na cię.

LORENZO.

Ty nie wiesz, czemu tak straciłem głowę,
Lambert d'Antella, to Piotra powiernik,
Którego w chwili kaprysu uwięził,
A może brał na męki.

GWIDO.

I cóż z tego?

LORENZO.

Przez niego długo szły nasze układy,
Ciebie on nie zna, lecz ja i Ridolfi
Pecci, dwóch Nerich, jesteśmy zgubieni,
Jeśli on mówić będzie.

GWIDO.

A cóż znowu?

Mógłśes przypuścić, by oddychał jeszcze
Człowiek znający takie tajemnice?
Twojemu bratu coś się przesłyszało...
Rozpogódź czoło — idźmy za drugimi,
Aby na siebie nie zwracać uwagi.

(wchodzą na galeryę).

SCENA XII.

Po małej chwili wchodzi FRA LAURO i zatrzymuje
się patrząc na płomień stosów.

OKRZYK ZA SCENĄ.

Cześć Savonaroli! Cześć Savonaroli!

FRA LAURO.

Więc uwielbiany, — więc potężny jeszcze!
Słusznie osądził ksiązę Medyolanu...
Odbija dziwnie jego postać w bieli
Na tle płomiennem. Zuchwalec szalony,
Co z pierwszą świata potęgą bój toczy...
Na stosie jego miejsce.

OKRZYK ZA SCENĄ.

Cześć Savonaroli!

FRA LAURO.

Odpowiedziała Florencyja Rzymowi...
O, tak, przemocą zwalić go nie można.
Lecz kto on taki, ów mnich, co porywa
Tłumy wymową, tak różną od naszej?
Czy to marzyciel naiwny, czy może
Przebiegły hipokryta? Czy fanatyk,
Czy człowiek sławy i potęgi chciwy?
Jeśli ambitny, to go skusi może
Kardynalski kapelusz. Lecz jeżeli
Nazbyt ostrożny, odmówi? Potrzeba
Stosunki liczne nawiązać w tem mieście.

Uwielbia go tu wielu, — bez wątpienia,
Jeszcze go więcej ludzi nienawidzi...
Niechętnych odkryć, — namiętności wzburzyć,
A ślepy motłoch sam swe bóstwo zwali.

SCENA XIII.

Wchodzą ALEKSANDER, za nim GWIDO.

ALEKSANDER (do Fra Lauro).

Dostojny gościu, witaj! Chciej pospieszyć,
(wskazuje balkon)
Ojciec Hieronim przemawia — i u mnie
Zebrany licznie patrycyat.

Poznasz wielu.

(wskazując na Gwida)

Oto nadchodzi jeden z moich gości,
Gwido Vespucci, grzesznik zatwardziały,
Lecz najświetniejszy cavaliere miasta.

FRA LAURO.

Także wielbiciel wymowy proroka?

GWIDO.

Wogóle mało co wielbię na świecie,
A najmniej pono to Grachów w habicie.

FRA LAURO (z udaną pokorą).

Mieszać się w rządy księżom nie wypada.
Tron dla książęcia, a cela dla mnicha.

GWIDO.

Jest księdzem papież a siedzi na tronie.
No, w filozofię nie bawmy się mnichu:
Hieronim mówi, nie słysząc kazania,
Utracić mógłbyś herezyi dowody
I wrócić z niczem.

FRA LAURO

(składając ręce i zawracając oczyma).

Żartu nie rozumiem.

Hieronim wielki mówca i teolog,
Imię me może mu się na co przyda,
Jestem Fra Lauro, sekretarz papieża
I zakonu generał.

GWIDO.

A, va bene!

Proszę odwiedzić mnie.

ALEKSANDER.

Pójdźmy więc proszę,
Fra Lauro mowy w końcu nie usłyszysz.

FRA LAURO.

Każde z słów mistrza jest wielkim potokiem.
(wchodzą na balkon).

SCENA XIV.

GWIDO

(sam, rozgląda się uważnie po ścianach).
Nudziarza przecież już raz dyabli wzięli!

Na gwar bankietu niebezpiecznie liczyć,
Za późno może być. Gdzie tu te klucze?

(chodzi i patrzy na ściany)

Lorenzo mówił, iż są tuż przy tarczy.

Aha! już widzę — lecz wiszą wysoko,

Gdy rzucę szpadą, narobię hałasu...

Spróbujmy jednak!

(słychać za sceną szczęk broni, — Gwido się cofa)

A co to ma znaczyć?

Szczęknięły jakby halabardy, słysząc

Krok zbrojnych... Czyliż wzięto bramy,

I Piotr jest w mieście?

SCENA XV.

GWIDO, — wchodzi HALABARDNICY BARGELLA, DOWÓDZCA tychże, — za nimi wsuwa się przelekle MAGGIOR DOMO i spieszy na balkon.

JEDEN Z HALABARDNIKÓW
(chwytając za ramię Gwida).

W imieniu Signorii!

GWIDO

(który miał w ręku szpadę, przebija go).

Idź do piekieł! (inni chcą go ująć).

DOWÓDZCA.

Odstąpcie, to nie ten. (do Gwida)

Jak śmiałeś, panie?

GWIDO.

A jakże wy śmiecie

Przestraszać ludzi?

DOWÓDZCA.

Tę pomyłkę, panie,

Wybaczyć mogłeś, ale ranić ciężko...

Śmiertelnie może!...

GWIDO.

Nie miałem zamiaru...

Sam sobie winien ów stróż bezpieczeństwa,

Iż ludzi trwoży.

DOWÓDZCA (do swoich).

Opatrzyc mu ranę.

(dwóch wyprowadza rannego, — do pozostałych)

Osadzić wszystkie wejścia...

(do Gwida)

Gdzie Lorenzo

Tornabuoni?

GWIDO.

Nie jest moją żoną,

Bym go pilnował.

DOWÓDZCA.

Idźcie na galerię

Przytrzymać wszystkich. — Pośród nich być musi

I obwiniony.

SCENA XVI.

Z galeryi wychodzi wzburzony ALEKSANDER, LORENZO, FRA LAURO, ARABELLA i inni patrycyusze i damy.

ALEKSANDER (do Dowódcy).

Co to za gwałt jest? Jak nachodzić śmiecie Gonfaloniera dom.

DOWÓDZCA.

Tem gorzej, panie,
Jeżeli zdrajcy ojczyzny się kryją
W Gonfaloniera domu...

ALEKSANDER.

Jakto? Zdrajcy?!

DOWÓDZCA

(opierając ręce na ramieniu Lorenza).

Lorenzo Tornabuoni, z rozkazu Signorii, jesteś mym więźniem.

ALEKSANDER.

O! za cóż?

DOWÓDZCA.

Za zdradę Republiki.

ALEKSANDER (chwytnąc się za głowę).

Przebóg, bracie
Cóżś uczynił?

LORENZO.

Bezczelność tych ludzi
Skarconą będzie.

DOWÓDZCA (do Lorenza).

Milcz! tyś sam bezczelny!
(podając pismo Aleksandrowi)

Signorii rozkaz. Lamberto d'Antello
Przed sądem złożył listy twego brata,
Pisane do Piotra Medyceusza,
W których przyrzeka otworzyć mu bramy
Miasta, a termin oznaczył tej nocy.

(Obecni okazują zdziwienie i przerażenie, cofają się od Tornabuonich. Aleksander pada na krzesło, zastaniając oczy rękami. — Lorenza otaczają strażę).

ALEKSANDER..

O, hańba! hańba! Zdrada w moim domu!

DOWÓDZCA (do straży).

Nad głową więźnia skrzyżujcie swe miecze,
Aby go lud nie rozdarł..

(do obecnych)

Wszyscy inni

Wyjść teraz mogą.

(wyprowadza Lorenza, sala się wypróżnia).

ALEKSANDER.

Tego dożyć miałem
Aby rodzony mój brat i jedyny,

Com go jak syna ukochał i chował,
Tyrantstwa jarzmo niósł na wolne karki
Współziomków swoich!? Florencyo! Florencyo!
Dla zasług moich, musisz mu przebaczyć!...
On winien, prawda, lecz mi serce pęka...
(płacze, ukrywając twarz w dłoniach).

(Zasłona spada).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Sala w pałacu Vespucci'ego — Drzwi na prawo i na lewo; drzwi wchodowe w głębi. Ku przodowi sceny sztalugi, na których obraz zasłonięty; krzesła, fotel. Sala jest w stylu XV wieku, pięknie ozdobiona; stoły kosztowne, fotele i t. d. Przy drzwiach głównych stoi CHŁOPAK bosy, typ ulicznika. GWIDO wychodzi z za drzwi na lewo, twarz zmęczona, ubranie w nieładzie, świadczą o nocy spędzonej przy bankiecie. Za sceną słychać gwar i śmiechy.

GWIDO (do chłopca).

Z czem cię przysłano?

CHŁOPIEC.

Więźniowie prosili,
Bym wam tę kartkę doręczył.

GWIDO.

Któż jesteś?

CHŁOPIEC.

Wnuk więziennego stróża. Więźniowie
Dali mi pieniądz złoty, obiecali

Dać więcej, skoro będą wolni. — Proszą
Pokornie, panie, o słówko pociechy.
Racz im okazać litość, dobry panie,
Oni tak płaczą... a Messer Lorenzo
Umarły więcej, niż żywy.

GWIDO.

Nie mogę
Ja do nich pisać... Powiedz im, że czuwam,
Niech się nie trwożą. — A ty zaś umykaj,
Widzisz, iż pełno gości w moim domu.

SCENA II.

GWIDO (sam).

Ja mam ratować ich, kiedy drzeć muszę,
Iż lada chwila który z nich mnie wyda...
Mileżą w nadziei, iż im pomódz mogę.
Lecz któż przewidzieć zdoła, jak torturę
Zniosą ci ludzie, tak rozhartowani
Życiem wśród zbytków, wygod i rozkoszy?
Jedno ich słowo a jestem zgubiony...

SCENA III.

GWIDO, — z drzwi na lewo wchodzi POPOLESCHI.

POPOLESCHI.

Szukam cię, Gwido, by pomówić z tobą,
(wskazując na salę)

Zdała od owej pijanej czeredy.
(Gwido wskazuje na fotel, — siadają na lewo przy
stole).

Pozwól, iż spytam, dlaczego tak głośno
Bawisz się Gwido, gdy ważą się losy
Naszych przyjaciół, krewnych?

GWIDO.

Nie znam sprawy,
Sądzę, iż nie im seryo nie zagraża.

POPOLESCHI.

Jakto? Więc nie wiesz, że im dowiedziono,
Iż Piotra chcieli wprowadzić do miasta?

GWIDO (udaje zdziwienie).

Tak, dowiedziono?

Ale w takim razie
Cóż cię obchodzi może los spiskowych?

POPOLESCHI.

Wszak to patrycyat! Nazwę odmieniłem,
Nie z niecnym Piotrem nie chcąc mieć wspólnego,
Lecz przeto w żyłach krwi nie mogłem zmienić.
Patrycyusz jestem. Zarówno nie znoszę
Tyranii księcia, jak tyranii tłumu.
Patrycyat rządzić winien, i dlatego
Winniśmy wszyscy trzymać się za ręce,
Ty, jako prawnik, mógłbyś powód znaleźć
By odroczone sąd.

GWIDO.

Kosztę mej głowy
Ocalić winnych? Znasz-że ty spiskowych?
Wiesz-że coby cię, albo mnie czekało,
Gdyby Piotr kiedy powrócił do władzy?
(otwiera kluczem, który ma przy sobie, szkatułkę
na stole i wyjmuję papier, — podając mu)
Mój wierny sługa, zauszniom Piotra,
Wykradł to pismo.

POPOLESCHI (czytając).

Co? lista skazanych?
Patrz, Medyceusza ręka: »Na śmierć
»Przez uduszenie Popoleschi. W domu
»Ściąć Valori'ego i wygnąć rodzinę...
»Gonfalonier... Tornabuoni...« jakto?
Wygnanie tylko?

GWIDO.

Wszak to brat Lorenza,
Z tego wnosilem, iż ów młodzian musi
Mieć chyba jakie u Piotra zasługi.

POPOLESCHI.

Nikczemni!

GWIDO.

Pragniesz ocalać spiskowych?

POPOLESCHI.

O nie, ta karta zamiary me zmienia...
Gdybym był mocen zaraz ściąć bym kazal,
Lecz wszelkie formy zachować należy.

GWIDO.

To też zostawmy bieg sprawiedliwości...
Lecz skoro wyrok zapadnie, natychmiast
Wypełnić kaźcie. — Pośpiech zaś zwalimy
Na Valori'ego i Fra Hieronima,
Oraz na wszystkich Fratesków.

POPOLESCHI.

Wybornie!

Genialna rada, by dwóch przeciwników
Powalić jednym ciosem! Lecz niełatwo
Wykonać, — brat Lorenza wszak jest dotąd
Gonfalonierem.

GWIDO.

Z urzędu się zrzucił,
Zamknął się w domu oddany rozpaczy.

POPOLESCHI.

A to nam bardzo ułatwi zadanie.

GWIDO.

Za karą śmierci jest większość,
Zatem natychmiast na Signorię spieszę.

SCENA IV.

GWIDO (sam).

Śmierć ich zaskoczy, zanim mnie wydadzą.
Dziś do wieczora, ufni w pomoc moją,
Mnie nie oskarżą. A odetchnę jutro...
Spokojność okupuję kosztem tyłu
Ofiar... o czyliż to ja ich zabijam?

Mysleli innych zgładzić, sami giną...
Nie zmienię dla nich prawa. Czy dzień pierwej,
Czyli dzień później — cóż znaczy?...
Dzień życia!

Minuta nawet znaczy... Za dni kilka
Zmieni się Wielka rada, — i nowo obrani
Mogliby skazać winnych na wygnanie
Jedynie... (z postanowieniem)

Zginąć muszą — i to szybko.
(uderza się w czoło)

Ha! toż o jednej przepomniałem rzeczy:
Za pośrednictwem Valori'ego mógłby
Uprosić Sandro, by Savonarola
Od kary śmierci skazanych ocalił...
Potrzeba temu zapobiedz.

Ah! Arabella...

Głupia i zemsty nad mnichem spragniona!...
Rade otrucia Valori'ego żony
Zrzuciwszy na Lorenza... o, wybornie...
A kłębek dalej już sam się potoczy.

SCENA V.

W chwili gdy Gwido nakłada leżący na krześle
płaszcz i chce wyjść, wchodzą z sali bankietu
DOFFO SPINI, BOTICELLI i inni goście mocno pod-
chmieleni.

DOFFO.

Cóż to, uciekasz? Do milion piorunów!
Każ-że dać wina! Umieram z pragnienia.

GWIDO.

Patrz jak wysoko wóz Feba na niebie,
Do jutra dalsze odłożmy libacje.

DOFFO.

Przeklęty skąpiec! Żałuje nam wina!...

JEDEN Z BIESIADNIKÓW.

Protestujemy! Nikt tu z nas w Florencyi
Nie sprawia takich biesiad.

DRUGI Z BIESIADNIKÓW.

Brednie gada,
Jak Bachus spił się Doffo.

DOFFO (wyzywająco i drwiąco).

A tyś trzeźwy?

DRUGI Z BIESIADNIKÓW.

Nie jestem pijany, bo go nie zwię skąpcem!
Gwido rozrzutnik większy od Luculla,
I od Nerona i od wszystkich razem
Mieszkańców słynnego Sibaris.

DOFFO.

Trzeba
Ożenić go z Lukrecją Borgia! — Piękna
To będzie para.

GWIDO.

Ty, piękny przyjaciel,
Dobrze mi życzysz. Ja, jak król francuski,
Nie lubię patrzeć na mego następcę.

TRZECI BIESIADNIK.

Lukrecya z księciem D'Este zaręczona.

DOFFO.

W miesiąc po śmierci męża.

DRUGI BIESIADNIK.

Może przedtem,
Bo dlaczegoż by zginął mąż...

DOFFO.

Tak — dlaczego?
Uwaga słuszna.

PIERWSZY BIESIADNIK.

No, wyobraź sobie,
Co za festyny będą na igrzysku.
Warto pojechać.

DOFFO (wzdychając).

A pieniędzy nie ma.

GWIDO.

Pożycz Popoleschi.

DOFFO.

Łatwiej pono
By, duszę potępieńca wyrwać z paszczy
Lucyferowej, niż skud od lichwiarza!

GWIDO.

Jeśli mu wasze przyrzeczenie głosy
Na Gonfaloniera...

DOFFO.

Wszak nie wakuje
Jeszcze ten urząd.

GWIDO.

Zrzekł się Tornabuoni
Z powodu brata.

DOFFO.

A tak słusznie, słusznie,
Brat jest pod sądem... Gwido, nie dasz wina?

GWIDO.

Na dzisiaj dosyć.

DOFFO.

Niech cię zduszą dyabli!
Idę do siebie ugasić pragnienie,
Ale słuchajcie... (zatacza się) mówicie żem pijany,
A mnie przychodzą myśli całkiem trzeźwe.
Zejdźmy się wszyscy u Botticellego,
A że gorąco, wdziejem rzymskie szaty
Białe i lekkie. — A nasze dziewczęta
W strojach przejrzystych, olimpijskich bogiń,
Wam się ukązą. Ha! ha! dla gorąca...

WSZYSCY.

Wybornie! brawo! niechaj żyje Doffo!!!

DOFFO.

Gwido! przyprowadź że raz twoją żonę.
Kilka miesięcy już jej nie widziałem,
Tak ją pod kluczem trzyma.

GWIDO.

Była chorą...

DRUGI BIESIADNIK.

Co? Lena chora? A to chyba z nudy!
Wypuść raz przecież niebogę z klauzury
A ozdrowieje.

PIERWSZY BIESIADNIK.

Ja o zakład idę,
Że i tej nocy jej nie przyprowadzi.

GWIDO.

To przegrasz zakład. — Ujrzysz ją tej nocy,
I wszystkich olśni.

DOFFO.

Cha! cha! cha!... udaje,
Udaje humor a w duszy się wścieka...
Cha! zakochany!

WSZYSCY.

Cha! cha! zakochany!

DOFFO.

Bywaj zdrów Gwido, raczej, do widzenia!
(wychodzą śmiejąc się).

SCENA VI.

GWIDO (sam).

Tak, zakochany i to... w kurtyzanie.

Wściekłość ogarnia mnie...

Ha, dlaczego ona

W mem sercu pierwsza obudziła pożar
Szalonej namiętności? O! piękniejszej
Niemasz na świecie! — Kocham się w jej włosach,
W jej oczach, ustach, ramionach, kibici!
Ogarnia rozpacz, kiedy innych oczy
Zwrócone na nią widzę, — i dziś muszę
Ją na bezecny bankiet zaprowadzić,
Szyderstwem smagan, jak piekielnym biczem!
I będę musiał patrzeć, jak ci wszyscy
Jej wdzięki będą pożerali wzrokiem!
A ona, hołdom rada, śmiać się będzie.

(idzie do drzwi na prawo i woła)

Katarzyna!

SCENA VII.

GWIDO. — KATARZYNA wychodzi z za drzwi z pal-
cem na ustach.

KATARZYNA.

Signore, ciszej.

GWIDO.

Chciej się widzieć z Leną.

KATARZYNA.

O, niepodobna, panie. Niebożatko
Usnęła ledwo nadedniem, — noc całą
Gorączkę miała.

GWIDO.

Kłamstwo! wiem, że zdrowa.

KATARZYNA (udaje, że płacze).

Przysięgam, panie, kamień by się wzruszył,
U mężczyzn zawsze jednakie kochanie:
Jak pies mu tańczyć musi na dwóch łapach,
A gdy już nie ma siły do zabawy,
I ledwo dycha, jeszcze kopnie nogą!

GWIDO.

Milez, czarownico! Słuchając słów takich
Uwierzyć można iż się jest potworem!
Twe kłamstwo sprawdzić brak mi teraz czasu,
Lecz pomnij, iż nikt mnie nie zwodził dotąd
Bezkarnie. A więc powiedz zaraz Lenie,
Ażeby zdrową była. Dzisiaj w nocy
U Boticelli'ego ma być bankiet.
My rzymski strój przywdziejem, a niewiasty
Olimpu bogiń szaty. Niechaj Lena
Wystąpi jak Diana. Brylantowy
Półksiężyc jej przyniosę, — lecz pamiętaj,
Iż do wieczora powinna być zdrową.
(ciska jej piorunujące wejrzenie i wychodzi przez
drzwi w głębi).

SCENA VIII.

KATARZYNA (sama).

Jezus, Marya! krew mi w żyłach skrzepła,
Przeszył mnie wzrokiem jak gdyby sztyłem.

SCENA IX.

Z za drzwi na lewo wychodzi LENA, czarno ubrana
i czarnym, długim, przejrzystym welonem owinięta,
nie patrząc na Katarzynę, idzie do sztalugi, odślania
obraz i patrzy nań chwilę.

LENA (patrząc na obraz).

Jeszcze go nie było,

Może nie przyjdzie...

KATARZYNA.

Dobrze żeś wróciła,

Twój Gwido wściekły! Ja jeszcze drzę cała,
Taki wzrok cisnął gdym mu powiedziała,
Żeś była chorą i dotąd spoczywasz.
Dła niego zabić człowieka, to tyle
Znaczy, co nadzieć na szpilkę motyla.

LENA.

Żle, żeś kłamała, Katarzyno miła,
Cóż mnie obchodzić może gniew człowieka?

KATARZYNA.

Zanadto, Leno, twej piękności ufasz,
Powiedzieć kazał, iż bankiet tej nocy.
Gdzie? już nie pomnę, tak byłam strwożoną,
Ty masz strój przywdziać Diany, przyniesie
Ci brylantowy półksiężyc.

LENA (wznosząc oczy w górę).

Przed nocą

Przywdzieję jeszcze kosztowniejsze szaty...

KATARZYNA.

Znalazłaś hojniejszego?

LENA.

Pana świata!...

KATARZYNA (do siebie).

Co ona mówi? Czyliżby do Rzymu?
Wzięta na Borgiów dwór? No, no, proszę...
Z ulicy taka jak i ja dziewczyna.
(wychodzi cicho).

SCENA X.

LENA

(sama, zrzuciła welon i usiadła, patrząc na obraz).

Minęła rozpacz, — tak mi cicho, błogo...
Uklęłam drżąca — podniósł mię mąż boży,
Ukoił serce głos Savonaroli,
Gdy z ewangelii piękny wzór mi stawił,
Płaczącej Maryi z Magdali upadłej,
A tak wysoko pokutą wzniesionej,
Iż skroń grzesznicy lśni w świętych koronie.
W klasztoru murach więc znajdę schronienie
I łzami zmażę życia mego winy.
Żegnaj na wieki zatem, Katarzyno,
Od dziś już nasze rozchodzą się drogi,
Oby cię także Najwyższy oświecał.

SCENA XI.

LENA, — wchodzi przez drzwi główne BACCIO DELLA
PORTA.

BACCIO (do Leny).

Raz ostatni
Przychodzę nudzić cię. Obraz skończony...
(siada przed sztalugą, bierze pędzle i paletę)
I tylko koło ust muszę poprawić
Rys niepochwytny, co mi wciąż umyka,
Ten wyraz bólu, co twarz zalotnicy
Tak niepojętym urokiem otacza.

LENA.

Me lica dając onej męczennicy,
Tyś mistrzu duszę moją odmalował.

BACCIO.

Cudowna Leno, jeżeli masz duszę,
To ją przedstawić by można w postaci
Bachantki albo Danai, co zbiera
Deszcz złoty w dłonie.

LENA.

Baccio! spojrzij na mnie,
A sztydzić może nie stanie ci serca...

BACCIO.

Płaczesz? dlaczego?

LENA.

Żałuję przeszłości!...
Tak mi boleśnie, że nie jestem biedną,
Albo niewinną dziewczyną!

BACCIO.

Co? Fryne

Florencka zabaw i zbytku nie syta,
Za niewinnością tęskni? Nie do wiary!
Czarodziej jaki cud podobny działał?

LENA.

Ty coś pod maską szalonej Hetery
Odgadnąć umiał serce bolejące!...
Twój obraz zbudził mnie. Poznałam siebie,
O, w mej naturze nie było, by w kale
Uciech się tarzać. — Nędza mnie popchnęła...
Wyrosłam sama na miejskiej ulicy,
Sierota, biedna, z litości żywiona
Zebrany chlebem, — aż nadeszła chwila
Iż pijany bogacz znalazł, że jest piękną...
Garść złota rzucił za chwilę rozkoszy...
Ja byłam głodna... drżałam w noc styczniową,
Sprzedałam siebie za odzież i strawę...

BACCIO (wzruszony).

Dość! dość już, Leno!

LENA.

Nie lękaj się, Panie,
Miłości słowem ciebie nie obrażę;

Ja proszę tylko byś czasem bez wzgardy
O pokutnicy wspomniał, — o tej, którą
Aspazją nową zowią, która rzuca
Dziś przepych życia i rozbija czarę
Rozkoszy ziemskich, by ją ukochany
Bez wstrętu wspomniał.

BACCIO.

Zwyciężyłaś, Leno,
Jeśli chodziło ci o me wyznanie...
Ale ty może grasz tylko komedę?

LENA.

Oh!

BACCIO.

Lena go słucha z zachwytem, z rękami złożonemi
jak do modlitwy).

Ja cię kocham od dawna, szalenie!
Ten obraz był mi jedynie pozorem,
By patrzeć na cię. — O! za miłość oną
Jam sobą gardził i co dzień przysięgał
Nie wracać więcej, i codzień powracał!
Starzyć mi nie mógł nigdy szaf zmysłowy.
Artystą jestem, mam serce człowieka
I mą wybraną czciłbym na kolanach,
Jak Alighieri swoją Beatrycę.
Lecz jakże mówić o miłości czarach,
O tajemnicach serca, dusz marzeniach,
Niewieście, którąm widział przy biesiadzie
W Bachantki stroju, upojoną winem,
Hołdami rozpustników?

LENA.

O, mój Baccio,
Czyliżem mogła o bezmiernem szczęściu
Zamarzyć nawet, by dla mnie zabiło
Przezyste serce zacnego człowieka.
Dzięki ci, dzięki za tę szczęścia chwilę,
A teraz żegnaj, — idę do klasztoru.

BACCIO.

Ty, do klasztoru? Nigdy! Tyś jest moja!
Moją na wieki!

LENA.

Nas tu przepaść dzieli,
Nie wyrównana niczem — przeszłość moja!
Nie kalaj ust twych całując Bachantkę,
Pomódl się za mnie Baccio — i zapomnij!...

BACCIO.

Zapomnieć? Leno, jest-że to w mej mocy?
Dziwnie upartem jest niewinne serce...
Ja nie zapomnę... Ty masz słuszność, Leno,
Nas przeszłość twoja dzieli... Żegnaj, Leno,
Ja nie zapomnę, — wskazałaś mi drogę.
Gdy w twym kościele kiedyś wzniesiesz oczy,
W górę na obraz, w ołtarzu Madonny,
I spytasz kto ów obraz wymalował,
To ci powiedzą: Fra Bartolomeo,
Co niegdyś zwał się Baccio della Porta.
(wychodzi szybko, mocno wzruszony).

SCENA XII.

LENA, ukrywszy twarz w dłoniach, płacze gwałtownie, wchodzi GWIDO i na jej widok staje zdziwiony.

GWIDO.

Co to, Moretta? Ty płaczesz! Dlaczego?
Zaprawdę śmieszny jestem, te łzy twoje
Na seryo biorąc! — Jaktó? łzy i Lena...
To jakby płomień słońca w noc się zmienił.
(bierze ją za rękę niecierpliwie)
Dość tej komedyi, na milion szatanów,
Weselszą mogłaś wybrać chwilę i czas inny.

LENA.

Przeklęty, zostaw mnie!

GWIDO.

O! ty się gniewasz?
Cóżem zawinił, nie byłem dość czuły?...
Troski obległy mnie jak czarne kruki...
Na włosku wisi moja cześć i życie.
Przyszedłem w twojem objęciu zapomnieć
Obawy moje — sumienia wyrzuty,
A ty odpychasz! — Zakład uczyniłem,
Iż całą młodzież rozkochasz tej nocy,
Iż piękną będziesz jak Venus. Dyadem
Przyniosłem, godny królowej.
(chce jej włożyć we włosy brylantowy półksiężyc).

LENA (odtrącając jego rękę).

Szatanie!

Tys duszę moją kalał i znieważał,
Lecz nieśmiertelnej zabić nie zdołałeś!

GWIDO (śmiejąc się).

Co? ty masz duszę? Wynalazek nowy,
Tys sama duszą jest każdej biesiady,
Gdy z czarą w dłoni, śmiejącami usty,
Jak Pean śpiewasz...

(chce ją objąć, ona go odtrąca)

Co to jest? Przeklećcie!

Kto między nami stanął?... Słuchaj, Leno!
Mnie możesz zdradzić jutro, a następnie
W każdej godzinie i każdym spojrzeniem,
Jako twój zwyczaj, — lecz tylko nie dzisiaj,
Tylko nie dzisiaj. Dziś jam wpół szalony.
Kogo ty kochasz? Kogo? powiedz imię...
Kto ci nademnie więcej rzucił złota?
Doffo czy Sandro, czy święty Valori?
Szatanie, gadaj!

LENA.

Puść mnie, ty szaleńcze
Litości godny!

GWIDO (wściekły).

Litości, od ciebie
Hetero nędzna! Z błota podniesiona
Ty ulicznico! Ha, masz do wyboru:
Kochanka imię, lub ten ostry, zimny
Sztylet utopię w twym zdradzieckim sercu.

(Lena wrywa mu się i biegnie ku drzwiom
głównym, które się nagle otwierają).

SCENA XIII.

Ciż, wchodzi SAVONAROLA, za nim PRZEŁOŻONA
i ZAKONNICE.

LENA

(padając na kolana przed Savonarolą).

Ratuj mnie, ojcze!

SAVONAROLA (do Przełożonej).

Twojej ją opiece

Poruczam, wielebna matko.

PRZEŁOŻONA (obejmując Lenę).

O, biedna,

Pójdź w me objęcia!

GWIDO.

Przez piekielne larwy!

Skąd prawo?...

SAVONAROLA (wyciągając nad nią rękę).

Ona należy do Boga!

GWIDO.

Zemszczę się krwawo, — pamiętaj proroku...

(Zakonnice otoczyły Lenę i wychodzą z nią wraz
z Savonarolą).

(Zasłonu spada).

ODSŁONA DRUGA.

SCENA XIV.

Dziedziniec zewnętrzny w klasztorze San Marko pełen kwiatów, róż kwitnących, krzewów, posągów starożytnych, między innymi posąg Jowisza. — Na prawo w cieniu portyku siedzi SAVONAROLA przy stole, zarzuconym księgami i papierami, i pisze — po chwili kładzie pióro. — FRA DOMENICO.

SAVONAROLA (do Domenica).

Gdy mi wzbroniono żywym uczyć słowem,
Myśl ma zostanie tu — i może kiedyś
Jako gorczycey ziarnko, gdy upadnie
Na żyzny grunt, plon też stokrotny wyda.

DOMENICO.

Przeczytaj proszę, mistrzu, coś napisał.

SAVONAROLA (czyta).

»Nie znikło z ziemi hipokrytów plemię,
»Co u ołtarzów klęka, a powstawszy,
»We krwi bliźniego zanurza swe dłonie,
»I imię Boga wzywa sercem czarnem,
«Jak otchłań piekieł. Dzisiejsi kapłani
»Korzą się usta, a wyniosli w duchu,
»O skarbach, wpływie i potędze marzą.
»Jeżeli myśli nie zmienia, dzień przyjdzie,
»Iż znikną prawa władców i kapłanów,
»I tłum ołtarze i trony obali«.
(przestaje czytać i zamyśla się)

A ludzkość, utrudzona, szukać pójdzie
Znów innych ideałów. Może inny
Podniesie kościół?..

Nie powstrzymać rzeki,
Co od swych źródeł pospiesza do morza;
I nie zatrzymać ludzkości, co wedle
Nauki Zbawcy, ciągle naprzód kroczy,
By wśród walk, zwycięstw, błędów i zachwytów,
Najwyższą odzwierciedlić doskonałość Boga.

DOMENICO.

Czemuż nie czekać nam w spokojnej celi,
Spełnienia prawa bożego na ziemi?

SAVONAROLA.

A! bo mi serce bliźnich obłęd rani,
I chciałbym skupić ich pod znakiem krzyża!

SCENA XV.

SAVONAROLA, — na prawo z klasztoru wychodzi
MARSILIO TICINO, postępuje powoli, opierając się
na kij. — Domenico zamyślony odchodzi.

TICINO.

Savonarola, gdzie są moje bogi?

SAVONAROLA.

Czemu mnie pytasz?

TICINO.

Płoneły twe stosy...

SAVONAROLA.

Nie niszczy piękna, kto prawdy czcicielem;
Spojrzyj, nietknięte znajdziesz twoje bogi...

TICINO

(z radością, idąc ku posągom).

Widzę was znowu jasne słońca dzieci,
Widzę cię znowu Zeusie gromowładny,
Z oblicza twego jasny duch Hellady
Przemawia do mnie! (całuje posąg).

SAVONAROLA.

Martwe są twe bogi!

I pocałunki twoje ich nie wskrzeszą.
Pogańskie bogi, to świata Cezary,
Z Olimpu swego szczytu, bezlitośnie
Patrzą na ludzką nędzę, ludzkie błędy.
Inną nad sercem litości ma władzę
Ów Bóg miłości, który z śmiertelnymi
Płakał i bolał — i dał za nich życie.

TICINO.

W Galilejczyka wierzysz?

SAVONAROLA.

Z duszy!

TICINO.

W kościół?

SAVONAROLA.

Nie dzisiejszy...

TICINO.

A z dzisiejszym śmiesz walczyć?
Ten kościół jest potęgą. Zginiesz...

SAVONAROLA.

Moja

Myśl nie zaginie...

TICINO.

Jakaż jest myśl twoja?

SAVONAROLA.

Chrystus sam przyniósł braterstwa zasadę,
To czynnik nowy, starczy na czas długi,
Ale potrzeba aby Kościół pomniał,
Iż się wśród ludu zrodził i dla ludu...
I papieżowi przystoi pasterski
Kij, a nie berło. On powinien szczerze
Dłoń podać wolnym włoskim republikom,
Tyranów przegnać tak obcych jak swoich,
I sto miast włoskich w jeden splótszy wieniec
Wiecznego związku, zasiąść w Kapitolu
Obok konsulów rzymskich.

TICINO (z entuzjazmem).

Cajo Graccho!

Wielki duch rzymski pod mnicha kapturem.
Krew moja skrzepla znów w żyłach zagrała
Na myśl tę cudną. Italia złączona,
Italia wolna! W książąt już nie wierzę.
Lorenzo wielkim był — i nic nie zdziałał...

Niechże Italii geniusz skroń twą chroni,
Wiktorya laurem uwieńczy tve czoło!
Sprowadź na ziemię, co było marzeniem
Umysłów wszystkich wyższych i co Dante
Ściagał po kręgach piekieł, czyśca, raj,
A wielkim będziesz ponad wszystkich wielkich,
I serce moje z tobą! Lecz, Savonarola,
Religią siejesz, a fanatyzm wschodzi
Wśród ciemnych mas, — bacz, by potwór owy
Nie pożarł ciebie. — Serce me się trwoży...
O kilka wieków przyszedłeś za wcześniej.
(ściska rękę Savonaroli i odchodzi).

SCENA XVI.

SAVONAROLA (sam).

»O kilka wieków przyszedłeś zawcześniej«.
Czyż nie zdziałalem nic? Czyliż przez życie
Jak cień przeszedłem? Ślad jednak zostanie...
Florencyi dałem rząd, co ją szczęśliwą,
Swobodną czyni. Jeśli jeszcze zdołam
Sprawić, by sobór powszechny ukoń
Sumienia wiernych, potrójną koroną
Uwieńczył czoło godne tej korony,
Wtedy, o Panie, chętnie złożę głowę,
Prosząc, byś sługę strudzonego raczył
Już stąd odwołać, po skończonej pracy.

SCENA XVII.

Wehoda CREDI, BACCIO DELLA PORTA i kilku zakonników, niosąc zasłonięty niewielki obraz, który odkrywają pokazując Savonaroli.

CREDI.

Baccio przynosi ci, ojcze wielebny,
Ostatni utwór swój.

BACCIO.

I czeka z drżeniem
Wyroku twego.

SAVONAROLA

(patrzac w obraz z zachwytem).

Baccio! ta Madonna

Nie miała dotąd równej!

BACCIO.

Mnie mówiono,
Iż li pozwalasz malarzom bizanckie
Kopiować wzory.

SAVONAROLA.

O, bynajmniej! Nie chcę
Jedynie, aby na oltarz wnoszono
Portrety niewiast nazbyt znanych w mieście,
Artysta bowiem jeśli dla świątyni
Swoj obraz tworzy, pamiętać powinien,
Iż nie jest jego jedynem zadaniem
Zabawiać oczy. Wtedy on kapłanem,
On kaznodzieją, bowiem sprowadzając
Na ziemię promień niebiańskiej piękności,
Odrywa myśli ludzkie od poziomych

Uczuć i chęci i podnosi dusze.
Piękność i cnota to jedno, malarzu.
Piękność oblicza wtedy doskonała,
Gdy twarz uroczą czysty duch oświeca.
Przecudną twa Madonna.

BACCIO.

Otuchę mi wlałeś.

W zbolełe serce, obraz ofiaruję
Do kościoła San Marko, — jako pierwszy
A skromny dar — od Fra Bartolomeo...

SAVONAROLA.

Ty chciałbyś habit przywdziać?!

BACCIO.

Tak!

SAVONAROLA

(patrzac nań przenikliwie, do obecnych).

Odnieście

Natychmiast, proszę, obraz do kościoła.
Niech go poświęci zaraz brat Benedykt,
I w dobrem świetle umieści na prawo.
(Credi i zakonnicy odchodzą).

SCENA XVIII.

SAVONAROLA, BACCIO.

SAVONAROLA

(który Baccia ujął za rękę).

Chcesz mnichem zostać? Skąd postanowienie?

BACCIO.

Stokroć szalony, komu się wydaje,
Iż świat ten pusty potrafi ukoić
Płomienne serce! Zostanę kapłanem,
By wcielać piękna, prawdy ideały,
Zdała od ludzkich namiętności szalów!
Daj mi ten habit co od świata dzieli,
Białą twą szatą odziej mnie, przeorze!

SAVONAROLA.

Tę szatę wdziewać niebezpiecznie, synu,
W rozpaczy, albo w zniechęcenia chwili...

BACCIO.

Skąd wiesz, mój ojcze, iż?... czyliż i ciebie
Uczucie ziemskie zagnało w te mury?

SAVONAROLA

(nasuwając kaptur na oczy).

Umarłem dawno dla świata. Dwadzieścia
Lat noszę habit.

BACCIO.

Czy znalazłeś szczęście?

SAVONAROLA.

Shczęście jest w niebie.

BACCIO.

Spokój?

SAVONAROLA.

Ten jest w grobie.

BACCIO.

Ja cierpię bardzo, — pozwól mi pozostać,
Nie jest to rozpacz, ani ból chwilowy,
Ukochać mogę jeszcze — tylko ciebie...

SAVONAROLA.

Przyjaźń szlachejnych, ta nie jest złudzeniem.
Wejdz w nasze grono; jeszcze ci zostało
Tak wiele w życiu, bo wiara i sztuka!

(ściska go).

BACCIO.

Dzięki ci ojcze. — Za tydzień przybędę
Skoro dokończę rozpoczęte freski,
A teraz jeszcze wejdę do kościoła,
Wypłakać serca boleść u stóp krzyża.

(odchodzi).

SCENA XIX.

SAVONAROLA stoi chwilę głęboko zamyślony, z kła-
sztoru wchodzi szybko KS. PICO DELLA MIRANDOLA.

SAVONAROLA

(ujrzawszy go, spieszy ku niemu).

O! co za radość dla mnie cię powitać,
Najmilszy książe!

PICO

(bardzo wzruszony, ściska go).

Ojcze! ojcze drogi!

Gdybym ja mógł być dla ciebie tak miłym,
Abyś usłuchał mojego błagania!

SAVONAROLA.

Coś niezwykłego zaszło — tyś strwożony...
Cóż żądasz?...

PICO.

Uchodź...

SAVONAROLA

Ja? Ja mam uchodzić?

PICO.

Póki czas jeszcze... Droga każda chwila!
Wczoraj poufny ten list otrzymałem
Od florenckiego posła, który w imię
Signorii w Rzymie, upraszał, by zdjęto
Z ciebie interdykt, kazać dozwolono.
Zechciej posłuchać:

(siadają przy stole, — czyta)

»Na samo wspomnienie

- »Savonaroli, wszystko kipi w Rzymie.
- »Nie chmura mała, ale straszna burza
- »Nad Hieronima głową się zebrała,
- »Przestrzeż go książe, iż pisane listy
- »Przezeń do Francji króla i cesarza
- »O nadużyciach Borgiów, i z żądaniem
- »By sobór obrał innego papieża,
- »Są w Aleksandra rękę, mu przesłane
- »Przez księcia Medyolanu«.

SAVONAROLA.

Przebóg!

PICO (czyta dalej).

»Aby co rychlej opuścił Florencję
»I pod opiekę cesarza się schronił«.

SAVONAROLA.

Tegom się ciosu jednak nie spodziewał..

PICO.

Usłuchaj rady twych wiernych przyjaciół..
W Niemczech lub Francji, rozwiniesz twe plany,
Dokonasz dzieła reformy Kościoła,
Przez sobór.

SAVONAROLA.

Przecz mię ty kusisz, młodzieńcze!?

Wiesz-że ty jaka walka tu się toczy?
Każdemu wrodzon instynkt ocalenia...
Uciekać?... Książę, uciekać nie mogę!

PICO.

Savonarola, cofać się nie pora...
Naprzód iść musisz. Kto staje w poł drogi,
Niechybnie zginie. My młodzi przy tobie
Będziemy walczyć, aby Kościół boży
Był dla ludzkości wzorem, nie skandalem.
Ty nam utworzysz Kościół oczyszczony,
Kościół prawdziwy.

SAVONAROLA.

Gdybym ja był pewny!
Lecz nie. Nie wszyscy pójdą nowym torem,

Czas, nawet błędów uświęca powagę.
Gdybym im przywiódł nowego papieża
Z pomocą obcych wojsk, Italii miasta
Gotowe bronić Borgii, jako swego
Książęcia. — Krew by musiała popłynąć,
I to krew własna.

Stokroć lepiej, moja

Niechaj popłynie. Pragnąłem reformy
Tutaj zrodzonej, stąd podanej światu.
Italia wolna i świata mistrzyni,
Marzeniem mojem była. — Ah! nie życia
Żal mi, o, książę, lecz tego marzenia;
Gdy się rozbiło — i cóż warte życie?!...

PICO (błagalnie).

Ojczy! to nie jest twe ostatnie słowo!

SCENA XX.

Ciż. — FRA BENEDETTO.

FRA BENEDETTO (do Savonaroli).

Przybyły z Rzymu sekretarz papieża,
Generał Dominikanów was pragnie
Widzieć.

PICO.

Fra Lauro! co słyszę? O, nieba!
Zausznik Borgiów, dusza zaprzędana
Książęcia Cezara!

SAVONAROLA (do Benedetta).

Powiedz, że go czekam.

(Fra Benedetto odchodzi).

PICO.

Co ty zamierzasz, ojcze?

SAVONAROLA.

Chwila próby

Nadeszła dla mnie. Żegnaj! drogi książę,

Błogosławieństwo Boże na twą głowę,

(żegna go).

Żegnaj mi, synu, i pamiętaj o mnie!

PICO.

Ja nie odjadę, — może zmienisz zdanie,

Pojedziesz ze mną. — Dobry Bóg cię natchnie,

Byś uratował twoje drogie życie.

(raz jeszcze go ściska i odchodzi płacząc).

SCENA XXI.

Wchodzi FRA LAURO. Savonarola się wyprostował i stoi z ręką o stół opartą, spokojny i poważny.

FRA LAURO.

Cześć Savonaroli! Cześć Savonaroli!

Onym okrzykiem brzmi Florencya cała,

Więc temi słowy witam cię, przeorze.

SAVONAROLA.

Nie dla uczczenia mnie przysłano ciebie.

(wskazuje na krzesło, — siadają).

FRA LAURO.

Czy sądzisz, bracie, że jestem twym wrogiem?

Czemu tak sądzisz? I mnie świat przyznaje

Wymowy nieco. Stąd bardziej niż inni

Ocenić talent twój jestem w możności,

Przyznaję chętnie, iż jeszcze dość chluby,

Być drugim mówcą po Savonaroli.

SAVONAROLA.

Z czemże cię Borgie przysyłają do mnie?

FRA LAURO.

Powiadasz Borgie? Sądzę, iż papieża

Tak nie nazywasz. — Obecnie jest jeden

Już tylko książę Borgia — Cezar...

SAVONAROLA.

Kędyż brat jego młody książę Gandii?

FRA LAURO.

Wypadek smutny...

SAVONAROLA (surowo).

Zbrodnia... Bratobójca

Cezar, czy poniósł zasłużoną karę?

Bynajmniej — zawsze on przy ojca boku,

Co płaszczem Piotra śmie okrywać zbrodnie.

FRA LAURO.

To jednak dziwne, iż to mówisz do mnie...

SAVONAROLA.

Kapłanem jestem, moim obowiązkiem
Przestępstwa jawne gromić z kazalnicy.
Jako Ambroży karcił, wobec ludu,
Teodozyusza zbrodnię, ja tak samo
Mówiłbym śmieie w obliczu papieża.

FRA LAURO.

Inne dziś czasy, dzisiaj niebezpiecznie
Wytykać błędy możnych tego świata.

SAVONAROLA.

Potężnym lepiej schlebiać ?

FRA LAURO.

Albo milczeć,

Nad nimi sądy zostawiając Bogu.

SAVONAROLA.

O tak, — wy macie dwie miary, dwie wagi,
Wy macie gromy tylko dla nędzarzy!
Gdy głodny biedak skradnie kawał chleba,
Aby swe dzieci od śmierci ocalić,
Krzyzycie »zbrodnia«! Ale jeśli władca
Swobodny naród zakuje w kajdany,
Jeśli wódz miasto zrabuje i spali,
Jeżeli papież kupioną tyarę
Występkiem kala, zbrodniami poniża:

Milczycie wtedy, pobielane groby!
Faryzeusze bez serca i duszy!

LAURO

(patrzac nań z podziwem).

Tyś wielkim mówcą, o Savonarola!
Ty może nawet jesteś wielki człowiek...
Lecz nie znasz świata. One ideały
O których marzysz, wzrosły w twojej duszy,
Lecz się na ziemi nigdy nie wcieliły.

SAVONAROLA.

Gdyby się nigdy nie były wcieliły,
Następca Piotra nie władałby światem.
Krwia i pokorą, modlitwą i łzami,
Wzrósł chrześcijanizm, nie złotem, i mieczem.
Próżno zaprzeczasz, były one wieki,
Gdy Kościół krył się w cieniach katakumby;
Z drewnianej czary pił kapłan krew Pana,
Lecz serce jego było szczerozłote;
Dzisiaj to wszystko do gruntu zmienione,
Kielichy złote a z drewna kapłany.
Jakież to podmuch wieje na tych wzgórzach
Odwiecznej Romy, iż wzorem Cezarów,
Każdy oszaleć musi, co pochwyci
Tam panowania berło w swoje dłonie!?

LAURO.

Czy Kościół kiedy był tak doskonałym?
Czy mógł zwyciężyć jedynie męczeństwem?

Nie wiem, lecz wątpię. — Nie wszczynajmy sporu
O przeszłość, która złą czy dobrą była,
Już przeminęła. Jak do matki łona
Nie wraca człowiek, tak i instytucya,
Raz wszechpotężna, nie zrzeknie się władzy.
Składa się Kościół z ludzi nie z aniołów,
I jaka ludzkość, tacy jej kapłani.
Usterki, błędy usuwać należy;
Uwagi czynić w formie memoriału
Wolno każdemu, lecz składać jedynie
Kornie u stopni papieskiego tronu.
Kto w pysze możnych potępia czynności,
Przysięgę świętą obedyncji łamiąc,
Tego Kościoła muszą zmiażdżyć gromy.

SAVONAROLA.

Grozić możecie. Wszak nietylko klątwy,
Lecz i miecz świecki na wasze usługi.
Groźcie! By ludzka myśl was nie sądziła,
Tę myśl zabijcie! Zatrzymajcie w biegu
Stuleci fałę, co płynąc nad światem
Rozwija umysł ludzki. Używajcie siły...
Walczcie ze światłem torturą i stosem.
Ale zadrzyjcie! Wybije godzina,
Iż ludzkość, wieki pod grozą trzymana,
Zerwie się, przejrzy, rozerwie łańcuchy,
Pękną sklepienia zmurszałego gmachu,
I pył pogardy, jak popiół pokuty
Pokryje czoła wasze!...

Ja pragnąłem

Ocalić Kościół. W tem jest moja wina...
(w natchnieniu)
O, Romo! jesteś niemocą złożona,
Ty jesteś chorą usque ad mortem! Jeśli
Chcesz się ocalić, zaniechaj twej dumy,
Zrzecz się frymarki i chęci władania,
Bo oto bije przeznaczeń godzina,
W gruz mają runąć ołtarze i trony...
I oto widzę anioła zniszczenia,
Jako na nowo zwraca miecz ku ziemi,
Milionów znacząc grób.

FRA LAURO

(który nań patrzył z przestrachem).

Ty miewasz chwile

Jasnowidzenia. — Przepowiednie twoje
Aż nazbyt często dotąd się spełniały...
I kuryę widmo przyszłości zatrważa.
Ty jeden mógłbyś, a więc zaradz zlemu...
Papież ci drogę reformy otwiera,
Śląc ci przezemnie książęcą purpurę,
Kapelusz kardynalski.

SAVONAROLA.

Mnie! Purpurę!

FRA LAURO.

Tak jest, natychmiast jedź ze mną do Rzymu,
Wpłyniesz na Aleksandra.

SAVONAROLA.

Ja mam wpłynąć?

Któż ów Aleksander?
Czy to mnich korny, chwilowo zbłąkany?
Czy kapłan, świata ujęty pokusą?
To książe władzy i potęgi chciwy,
To panujący co nie zna oporu.
Chcecie ażeby florencki lud, zacny
Ale burzliwy, zostawion bez steru,
Znów stał się pastwą niezgód i zaburzeń;
By w ręce Piotra wpadła republika.
Jam ludu trybun. — Nie dla mnie purpury...
Głowie mej jedno nakrycie przystoi:
Wieniec męczeński moją krwią czerwony.

FRA LAURO (wstając).

Ha! będziesz go miał, szalony mnichu,
Świetniejszy jeszcze niżli się spodziewasz!
Na lud twój liczysz? W stanowczej godzinie
Ujrzysz po czyjej ten lud stanie stronie!

(tonem urzędowym)

Przeorze kongregacji San Marco, — twój
Od dziś klasztor pod interdyktem, ty zaś
Zawieszon w twoich obowiązkach, póki
Herezyi nie odwołasz, i w pokorze
Do stóp papieża nie padniesz. Jeżeli
Publicznie kazać jeszcze się ośmielisz,
Pod inkwizycyi sąd pójdziesz, — oto
Papieski reskrypt.

SAVONAROLA.

By mnie pewniej zgubić!
Wzbraniacie kazać. — Jam na śmierć jest gotów.

Wierzę, iż w sądach bożych, niezbadanych,
Mój zgon potrzebny, by Kościół odrodzić.
Wy zwyciężycie dzisiaj, — przyszłość moją!
(Żegna Fra Laura znakiem ręki; — ten patrzy nań
chwilę z wyrazem podziwu i wychodzi zmieszany).

SCENA XXII.

SAVONAROLA

(sam, patrząc za odchodzącym).

Bogu i ludziom wstrętna, obłudnicza
Faryzeuszów rasa! Na niej cięży
Krew sprawiedliwych, proroków zabitych,
I na niej ciężą łyż całej ludzkości.

SCENA XXIII.

SAVONAROLA, — z kościoła wchodzi ZAKONNICY,
podtrzymując na pół przytomnego FRA SILVESTRA.

FRA DOMENICO, FRA BENEDETTO.

FRA DOMENICO (do Savonaroli).

Sylwester miał widzenie. Omdłałego
Znaleźliśmy w kościele.

FRA SILVESTRO.

Ciemni ludzie,
To nie omdlenie było, a widzenie...
Najwyższy z tronu chwały zstąpić raczył
Do niegodnego sługi. Ja wleciałem

Ponad siedmiu nieb kręgi. Hieronimie!
Anioła twego widziałem, — nas obu
I Domenica skuł złotym łańcuchem
Nierozzerwalnym, na śmierć i na życie...
Przez mię obwieszcza ci, iż już wybiła
Godzina przeznaczenia. — Bóg nas woła!
Śmierć twa tryumfem będzie!

SAVONAROLA.

Uspokój się i pomódl...
Miły bracie,

FRA SILVESTRO (jakby w obłędzie)
Trzeba cudu!

Od ciebie czeka go świat!

ZAKONNICZY.

O, tak! cudu!
Niech Bóg poświadczy, żeś ty Jego sługą,
Potwarcom zamknie usta.

SAVONAROLA.

Mili bracia,
Grzeszycie ciężko, gdyż grzechem śmiertelnym
Jest kusić Boga. On swą moc objawia
Jak i kiedy chce. Skąd ten szaf dziecinny?

FRA BENEDETTO.

Gonzano codzien bezkarnie urąga
Niemocy naszej.

FRA DOMENICO.

Ciemny Franciszkanin
Codzien z ambony woła, iż fałszywym
Prorokiem jesteś! Codziennie nas wzywa
Aby z nas który, jeśli wierzym w ciebie,
Wszedł z tobą na stos. Ja pójdę, ja wierzę,
Iż ucznia twego, tak jako biblijnych
Młodzianków, nie tknie ogień, a oszczercę
Los zasłużony spotka.

FRA SILVESTRO.

Idę z tobą,
My skuci na śmierć i na życie!

SAVONAROLA.

O! Boże!
Najcięższa to z prób twoich! Miły bracie,
Idź do twej celi, w imię posłuszeństwa.

FRA SILVESTRO.

Tys jest prorokiem, ale Bóg nad tobą,
I tam iść musisz, kędy jego woła.
Na próbę ognia jesteśmy gotowi...
Już stosy płoną — lud ciska zarzewie...
Męczarnia krótka, wiekuista chwała!...
Niebiańska jasność... U góry trzy koła...
Wznoszą się, płyną, aż do tronu Boga!...
(pada omdlały, obecni go podnoszą).

FRA BENEDETTO (do Savonaroli).

Czy to od Boga, ojcze?

SAVONAROLA.

On jest chory....

(obecni zajęci Sylwestrem, wraz z Benedyktem)

(do siebie)

Gorzej iż w chwili takiej ja złamanym
Czuję się — jak żeglarz gdy mu wśród burzy,
Ster wyrwą z dłoni strwożeni majtkowie!...

(Zasłona spada).

AKT CZWARTY.

SCENA I.

W botedze Botticelli'ego. — Niewielki pokoik, od sali przedzielony w głębi sceny zasłoną, mogącą się zsuwać lub rozsuwać dowolnie. — Pełno obrazów i przedmiotów sztuki; drzwi na prawo ukryte, na lewo wejście z ulicy; ku przodowi sceny stół, przy którym siedzą pijąc wino, które im Boticelli dolewa: ZŁOTNIK, STOLARZ, SNYCERZ, MOZAISTA, oraz FRA LAURO.

ZŁOTNIK (do Fra Lauro).

Gdy żył Lorenzo było tu inaczej,
Szedł dobrze handel, żyło się wesoło...
A teraz, — teraz rządzą nami mnichy,
I Florencya się modli.

FRA LAURO.

Najmniej, sądzę,
Złotnicy ucierpieli. Do kościołów
Kielichów trzeba, montrancy...

STOLARZ

(śmiejąc się uderza pięścią o stół).

Trafileś

Wybornie w sedno! Nasz ojciec Hieronim
Nie chce by złoto świeciło w kościele,
Rozdać je biednym woli.

FRA LAURO.

Gdy za czasów

Lorenza tutaj byłem, inny całkiem
Florencya miała pozór, inne życie!
Orszaki książąt sunęły przez miasto,
Codzień bankiety, codzień widowiska;
Jako strumienie do rzek niosą fale,
Tak tu spływało cudzoziemców złoto,

STOLARZ.

Lorenzo tyran był, i tak naprawdę
Lud nie miał wcale z tych blasków pożytku.

SNYCERZ.

Słusznie uczynił też ojciec Hieronim,
Iż w chwili zgonu nie dał rozgrzeszenia.

STOLARZ.

Ponieważ prorok żądał, by on wrócił
Florencyi wolność, a księżę odmówił.

FRA LAURO.

Savonarolę za proroka macie?

STOLARZ.

Wszak on nam tyle przepowiedział rzeczy!
A jako wszystkie dotąd się sprawdziły
I wam wiadomo. I któż przyszłość zdoła
Przewidzieć, jeśli Bóg go nie oświeci.

FRA LAURO (jakby do siebie).

Czyż Bóg koniecznie? I szatan jest duchem,
A tu na ziemi wielką jego władza.

OBEJNI (przerażeni).

Przebóg! Ty sądzisz?

FRA LAURO.

Ja nie wiem, ja nie wiem.
Nieraz się widzi jak wróg ludzkiej duszy,
Przybiera różne formy...

STOLARZ.

At, dzieciństwo!

Gdy szatan ludzi kusi, nie przybiera
Świętego postaci. Ojca Hieronima
Zły duch się lęka jak święconej wody!

FRA LAURO.

I ja tak sądzę, lecz wątpiących wielu
Tak tu, jak w Rzymie...

BOTICELLI

(nalewając wino siedzącym przy stole).

Słuchajcie go pilnie,
Teolog wielki.

FRA LAURO.

Otóż mi się zdaje,
Iż teraz właśnie odpowiednia chwila,
Aby Najwyższy nam przez cud objawił,
Swą dla proroka łaskę. Fra Lenzano
Jak wicie wezwał ojca Dominika,
Z San Marko kongregacyi, by z nim razem
Jutro, na placu, przeszedł przez płonący
Stos.

SNYCERZ.

To szaleństwo!

FRA LAURO

(wznosząc oczy w niebo).

O! dla chrześcianina
Jest to akt wiary! Będzie to sąd boży...
Kto z próby ognia wyjść zdoła bez szwanku,
Za tym przemówi Bóg i da świadectwo
Prawdzie. — Więc jutro zbierzcie się na placu
Pallazzo Vecchio, — i tam się dowiemy
Bez wątpliwości, czy Savonarola
Prorokiem bożym jest, czy też szalbierzem.
Ja za świętego go mam, ale dodać muszę
Iż niemasz zbrodni straszniejszej nad czary...
Jeden czarownik może miasto całe
Zgubić zarówno na duszy i ciele.
Więc kto takiego służalca szatana
Zabije, albo przynajmniej skaleczy,
Otrzyma odpust zupełny, chociażby
Był mężobójcą, — nietylko dla siebie,

Lecz i dla swojej też całej rodziny.
Kto czarownika zaś chciałby ratować,
Ten pójdzie w piekiel wieczyste płomienie!

MOZAISTA.

Któż mógł przypuścić, iż miasto spokojne
Ma się teatrem stać zaburzeń nowych!

ZŁOTNIK.

Twierdziłem zawsze, iż pod rządem książąt
Bezpieczniej było.

SNYCERZ (zamyślony).

Trzeba się zgromadzić...

(do Fra Laura)

O którym czasie mają płonąć stosy?

FRA LAURO.

O czwartej, piątej z południa, godzinie.

ZŁOTNIK (wstając).

Dyabłów i czarów ja się tak obawiam,
Iż pewno oka całą noc nie zmruję.

BOTICELLI.

Panowie, muszę zaryzykować botege,
Strażnik godzinę dziewiątą wygłasza.
(Wszyscy prócz Fra Laura wstają, wychodzą na
lewo).

STOLARZ (po cichu do snycerza).

Te wszystkie czary, to rzymska intryga-
Aby lud wzburzyć.

SNYCERZ.

I zabić proroka.

Musimy czuwać...

STOLARZ.

A! co za nieszczęście!

(wychodzą).

SCENA II.

FRA LAURO, — BOTICELLI, który sprząta próżne
kielichy.

BOTICELLI.

No, hojną ręką rzuciłeś zarzewie,
I wątpliwości i obaw wśród tłumu,
I dzień jutrzejszy rozstrzygnie o doli
Florencyi równie, jak Savonaroli.

FRA LAURO

(ocierając pot z czoła).

Tak ciągle gadam po wszystkich winiarniach
O sztukach czarta i potędze czarów,
Iż mnie samemu zdaje się chwilami,
Iż za plecami memi dyabeł stoi.

BOTICELLI

(ogląda się z trwogą i żegna się nieznacznie).

Jakkolwiek próba ogniowa wypadnie,
Umysły ludu tak są podniecone,
Iż jutro rozruch wypadnie uliczny,

I tłum się rzuci na klasztor San Marko.
Jesteście pewni?

FRA LAURO.

Takich burd na setki
Widziałem w życiu. Gdy grunt już gotowy,
W pół darmo sprzedać, albo rozdać wina,
Urządzić spektakl — rzucić kilka imion
Na pastwę tłumu, rabunku nadzieję;
A samopału proch, iskrą dotknięty,
Tak nie wybuchnie, jak wściekłość motłochu.
Gdyby w tumultcie mógł Hieronim zginąć?

BOTICELLI.

Co stać się może, to przewidzieć trudno...
Chciałbym jedynie, by zwalono rządy
Fratesków, bo mi handel psują, — zresztą
Pal ich tam licho! Chciałbym się upewnić
Jako interes nasz...

FRA LAURO.

Pojedziesz ze mną,
Nadwornym będziesz malarzem. Dla księcia
Cezara, biorę twe cudne obrazy
Amora, Ledy, za jaką chcesz cenę...
W Rzymie są hojni. Dla donny Lukrecyi
Ozdobisz pałac świetnemi freskami,

BOTICELLI (śmiejąc się).

Odtworzę wszystkie Olimpu boginie,
Jeżeli ona zechce mi być wzorem.

FRA LAURO.

Ktoś puka, żegnaj! — Schodzą się aktorzy...
(oddala się, z westchnieniem)

Ah! bankiet będzie cudny, jaka szkoda
Iż ją, niestety, nie mam w nim udziału.
(wychodzi przez drzwi od ulicy).

SCENA III.

BOTICELLI zasłania lampę, otwiera drzwi ukryte,
wchodzi ARABELLA ze drzwi ukrytych na lewo —
czarno ubrana i w masce.

ARABELLA.

Nikogo nie ma?

BOTICELLI.

Jeszcze nikt nie przyszedł.

ARABELLA.

Zakupić pragnę obraz twojej Ledy,
I pragnę pierwiej słyszeć o niej zdanie
Franciszka Valori'ego.

BOTICELLI.

Wątpię, czy przychylnie
Dla mnie być może. — On, zwolennik Frata,
Madonny tylko czci.

ARABELLA.

O, mniejsza o to,
Wszak możesz mi ją sprzedać za sto skudów?

BOTICELLI.

Chętnie, mój obraz jest tu, i zostawiam
Swobodę wszelką aby go obejrzeć.
(wychodzi).

SCENA IV.

ARABELLA

(sama — patrząc za Boticellim).

Domyślny i dyskretny, istna perła.
(siada w cieniu)

Ow zacny Gwido wyborną dał radę,
Mogę i serce odzyskać kochanka,
I jeszcze wrogów przysporzyć mnichowi.

SCENA V.

ARABELLA z głębi usuwając zasłonę, dla przejścia,
tak, iż widać salę silnie oświetloną i stoły bankie-
towe. — Wchodzi VALORI i zatrzymuje się chwilę,
nie mogąc zrazu dojrzeć Arabelli.

VALORI (do siebie).

Kto mnie tu wezwał, i po co? Sądziłem
Iż mnie Vespucci wzywa, by złagodzić
Wyrok zapadły na jego przyjaciół.
Cóż to, jak widzę, bankietować mają
Jako ich zwyczaj, i mnie zawezwali
Na uczestnika zabaw!...

ARABELLA.

Albo zbrodni...

VALORI.

Ty, pani... tutaj!

ARABELLA.

Ostrzedz cię przychodzę.

VALORI.

Ostrzedz? Bezczelna! po tem co się stało
Śmiałaś mnie wezwać?

ARABELLA.

Widzieć cię musiałam,
Nie mogłam wiecznie zostać pod zarzutem.

VALORI.

Dość tej komedyi... Nędzna trucicielko!

ARABELLA.

Gdybyś mnie jeszcze był kochał, ów pozór
Nie byłby starczył, — wówczas miłość twoja
By przemówiła za mną, — tyś potępił,
Nie wystuchawszy...

VALORI.

Cóż mogłaś wymyśleć
Na twą obronę? Gdy jad kupowałaś
U jednej z onych nędznic, co frymarczą
Onemi, wiedziałaś za co jej płacisz...

ARABELLA.

Skąd wiesz, iż ona kupiłam truciznę?
Mnie proszek dano jako środek pewny,

Aby twa żona, pogardziwszy światem,
Wolała żyć w klasztorze, niżli z tobą.

VALORI.

Dziecinna wiara... ale myśl występna!

ARABELLA.

Lecz nie zbrodnicza. Całą moją winą
Szalona miłość, co mię pozbawiła
Rozwagi wszelkiej. I któż z nas nie wierzy
W potęgę filtrów, albo eliksirów,
Na duszę ludzką, lub serca uczucia?

VALORI.

Któż jest ów zbrodniarz, co śmiał w ręce, gorzej
Niżeli dziecka, szalem oślepionej
Kobiety, dawać podobną broń?

ARABELLA.

Go już sąd boży. Dosiągnął

VALORI.

Zginął?

ARABELLA.

Żyje...
Ale jest jednym z tych pięciu skazanych.

VALORI.

Który?

ARABELLA.

Ja więcej powiedzieć nie mogę,
Przysięga usta wiąże... Słyszę kroki,
Uchodźć muszę. — Nie ja cię wezwałam,
Przybiegłam ostrzedz, iż cię prosić mają
O życie tych spiskowców. To zbrodniarze,
Co ocaleni ciebie zechcą zgubić...
Przebacz mi! błagam, nie odwracaj oczu...

(płacze)

Ja tak bez granic jestem nieszczęśliwa!
Powiedz przynajmniej, iż mnie nie uważasz
Za tak występłą.

VALORI.

Może.

ARABELLA.

Że pozwolisz

Widzieć cię czasem?

VALORI (odwracając twarz).

Nie!

ARABELLA.

Jakżeś okrutny!

(wychodzi przez drzwi ukryte).

SCENA VI.

VALORI (sam, — patrząc za nią).

I tę kobietę tak nigdy kochałem,
Dziś, ledwo pomnę. Mojego anioła,

Tę moją tkliwą żonę, otruć chcieli.
Sądziłi pewno, zwolennicy Piotra,
Iż Arabelli wpływ mój umysł zmieni,
I do ich partyi zbliży. Nikczemnicy!
Lecz który z tych spiskowych dał truciznę?
Tornabuoni Jan, ten u niej bywał...

SCENA VII.

VALORI, — z drugich drzwi bocznych wchodzi ALEKSANDER.

ALEKSANDER (zmieniony i wzruszony).

Przybyłeś! dzięki!... Nie skłamał Vespucci,
Iż mi przychylnym jesteś.

VALORI.

Dosyć dziwne,

By o przyjaźni mej dla cię upewniać
Miał cię Vespucci, dawny wróg nas obu!

ALEKSANDER.

Tak, byłeś moim przyjacielem, póki
Cię nie ogarnął szal demokratyczny!

VALORI (z podziwem).

Co ty mówisz, Sandro?

ALEKSANDER (z ironią i gniewem).

O, dzisiaj świetnym
Okazałeś się mówcą. Twa wymowa

Signorię przekonała. Ty wolności
Szermierz, żądałeś krwi. Pięć głów spadnie
Młodych i lekkomyślnych, lecz kochanych,
Nadziei pełnych. Pięć domów szlachejnych,
Nie obcych tobie, z tobą spokrewnionych,
Pohańbi topór kata. Tyś zapomniał,
Przed twoim okiem był tylko ów potwór
Zbiorowy a krwi chciwy: Republika
Co stać powinna na głowach uciętych,
Rozdartych sercach ojców konających,
Jak Ugolino, gdy patrzył na dzieci
Umierające z głodu.

VALORI.

Ojców wina
Gdy dzieci swoje na zdrajców chowają!

ALEKSANDER

(który się zachwiał jakby ugodzony).
A! coś ty wyrzekł?

VALORI.

Tyś brata wychował,
Nie wławszy w serce miłości ojczyzny...
I mnie obwiniasz, potępiasz ustawy,
A nie zbrodniarza, co wojną domową
Chciał znów wyludnić miasta.

ALEKSANDER.

Ty masz słuszność,
Lecz cóż mnie przyszłość ma obchodzić miasta?
Potomstwa nie mam — ten jeden.

VALORI.

Aleksandrze,

Boleści twojej wiele się wybacza...
Ja ją podzielam. Do Jana nie miałem
Wcale niechęci. Cóż dziś mogę?
Prawo potępia go.

ALEKSANDER.

Kto dał ustawę,
Ten i odmienić ją może...

VALORI.

Szalejesz!
Savonarola przecież nie jest królem,
By ułaskawić mógł...

ALEKSANDER.

Może w Signorii
Wyjednać zwłokę wyroku. Czas wiele
Odmian przynosi. Niechby odłożono
Choć do miesiąca spełnienie wyroku!
Znaleść się mogą świadkowie, dowody,
Iż Jan był więcej płochy, niżli winny,
I śmierci wyrok zmienią na wygnanie.

VALORI.

Czy znasz ty wszystkie czyny twego brata?

ALEKSANDER.

Czyny?... Ja nie wiem...

VALORI.

Chcesz, aby Hieronim

Naraził swoją zagrożoną głowę,
W obronie zdrajców? Nie dość gromów Rzymu,
Jeszcze przeciwko niemu chcesz podburzyć
I lud florencki? — Ale idź do niego...

ALEKSANDER.

Zdrajca w mem rodzie, i ja z taką plamą
Mam stanąć przed nim, co uosobieniem
Jakby ojczyzny i mego sumienia!?
Nie — ja nie mogę... Lecz ty pójdz do niego,
Powiedz, iż stary Gonfalonier błaga
O życie brata.

Niech mi go ocali!

Zmienny jest umysł ludu — dziś krwi pragnie,
Jutro skazanych na śmierć pomścić zechce.
Niech to uczyni!

(z największą egzaltacją)

Bo ja sam, Valori,

Przestanę wierzyć weń, i w szale rozpaczy
Zemszczę się krwawo.

VALORI (niechętnie).

Spróbuję, lecz nie wiem,

Uważ, iż mamy kilka godzin czasu
Zaledwie — ścięci mają być tej nocy.

ALEKSANDER.

Tej nocy? Przebóg! komuż zależało
Na tym pospiechu?!

VALORI.

Ich współnikom!

Idź do pałacu i uczyni starania,
By egzekucję do jutra wstrzymano.

ALEKSANDER.

Spieszę, lecz pomnij, jeżeli on zginie,
Popłynie wiele krwi jeszcze w Florencyi.

(Zasłona spada i po krótkiej chwili podnosi się,
odsłaniając salę bankietu.

ODSŁONA DRUGA.

SCENA VIII.

Sala bankietowa urządzona na sposób rzymskiego »triclinum«. — Mężczyźni w strojach rzymskich, spoczywają na niskich rzymskich łóżach. Kobiety siedzą w kostyumach różnych bogiń, — wszyscy w wieńcach. Dużo świeczników, kwiatów, kadzielnic; — ku przodowi sceny, na prawo, drzwi wchodowe; na lewo, na małym ołtarzyku, posągi Weneri i Bachusa. DOFFO SPINI, kilkunastu biesiadników, wszyscy podchmieleni. — FLORA, BACHANTKA, NIMFA, przy podniesieniu kurtyny słyhać śmiechy i gwar, po chwili wchodzi przez drzwi na lewo w głębi: GWIDO VESPUCCI, jak zwykle, ubrany w czarny jedwab i aksamit.

DOFFO (z puharem w ręku).

Tych nieobecnych, co złamali słowo,

Niech Plato skaże na męki Tantara!
Non raggionani di lori.

(do służącego)
Paszтет podaj!

GWIDO

(wzburzony, wściekły, lecz udający wesołość).

Salve, o Doffo! Widzisz że się stawię,
Więc mnie nie dotknie twoja anatema!
Zaraz na twoją cześć toast wygłaszam:

(chwyta puhar i pije)

Od wszelkich ciosów niech wzdę chronią bogi,
Twe czoło zdobne wieńcem i łysiną...

FLORA (śmiejąc się).

Jakże niewdzięcznie dotknąć amfitryona
Z najsłabszej strony.

DOFFO.

Nie dotknął mnie wcale,
Cezara liczą do mych antenatów...

(kładąc rękę na głowie)

I to dziedzictwo.

BACHANTKA.

Zamiast panowania,
W spadku łysiną! Jaby m kwitowała.

BIESIADNIK PIERWSZY.

Dlaczego Gwido nie wdział rzymskiej szaty?

BIESIADNIK DRUGI

(śmiejąc się szydęrczo).

On jest w żałobie po swych przyjaciółach,
Których ściąg mają!

DOFFO.

Za świadków was biore,
Zakład wygrałem! On nie przywiódł Leny.

WSZYSCY.

Świadczy my wszyscy, cudnej Leny niema!

GWIDO.

Możecie wygrać jeszcze zakład drugi:
Sto skudów stawię, jeśli z was kto zgadnie
Kędy jest Lena?

FLORA.

W Remulusa grodzie?

BACHANTKA.

Porwana przez Cezara.

NIMFA.

U beja Algieru?

BIESIADNIK PIERWSZY.

W haremie u sultana?

BIESIADNIK DRUGI.

Utonęła w winie.

BIESIADNIK TRZECI.

Skradziono jej brylanty?

DOFFO.

Nie, wy wszyscy

Nie znacie Gwida, — smok zazdrości!

O zakład idę, że nieszczęsna Lena

Jęczy pod ziemią przez zbirów strzeżona,

Jak druga Pija dei Tolomei.

GWIDO.

Nikt z was nie odgadł, — Lena jest w klasztorze.

WSZYSCY.

Ona? w klasztorze! żart gruby! A! chyba

Sam ją zamknąłeś...

GWIDO.

Weszła dobrowolnie.

DOFFO.

Cha! cha! rywala znalazłeś w Jehowie!

Jakże go zgładzisz?

GWIDO.

Są tu jego słudzy,

Co radość życia psują.

WSZYSCY.

Śmierć frateskom!

GWIDO.

I prorokowi ich!

BOTICELLI (do Gwida ciszej).

Lud usłyszeć może,

Jeszcze nie pora.

GWIDO (głośno).

Teraz czas zabawy,

Na później zemsta! Dzisiaj chcę zapomnieć,

Dzisiaj chcę szaleć! Któraż z was, boginie

Zechce pocieszyć mnie?

KOBIETY.

My wszystkie!

GWIDO.

Wszystkie?

To znów za wiele!

FLORA.

Szczęścia nigdy nadto...

GWIDO.

O! o! o! szczęście... Hołd złoży Wenerze

Bachus i Amor, to jedyne bogi.

Śpiew.

Dziś tylko pewne, więc pijmy wino,

Całujmy usta Franceski,

Rozkoszy pasmem niech dni nam płyną,

I niech się wściekną Frateski!

Ponurych bogów księżom zostawmy,

Niech ciemne modlą się mnichy,

A my się bawmy, a my się bawmy,

I wychylajmy kielichy!

Przodkowie nasi mędrkami byli,
Umieli korzystać z bytu:
Miłość i wino gdy postawili
W swoim Olimpie u szczytu.

Wesoło bracia, w górę puhary!
Niech okrzyk leci w niebiosy;
Składajmy u stóp nasze ofiary,
Bacha i matki Erosa!!
(wylewają czary na ołtarz).

SCENA IX.

Ciż, — przez drzwi na prawo wchodzi SAVONAROLA, staje jakby zdumiony; obecni, pomieszani, cofnęli się nieco. — SIMONE FILIPEPPI brat BOTICELLI'EGO.

SAVONAROLA.

Pogańskim bóstwom składacie ofiary...
Do waszej miary, młodzi patrycyusze,
Ten kult przystaje. Lecz jakżeście śmieli
Wdziać Rzymian szaty? Ach, ojców puścizna
Za wielką dla was, drżące karłów plemię!
Wdziać szaty łatwo, — lecz kędyż są serca?
Potężne rzymskie serca, co przed wrogiem
Nie znały trwogi, ani w domu pana?
Wy niewolniki za jarzmem stęsknione,
Wy korne sługi Franka lub Teutona,
Wam-że to sięgać po Rzymu puściznę?
Wam-że to Rzymian przedrzeźniać zwyczaję?

Cezary świat zdobyli, zanim oszaleli,
A waszym czynem jedynie szaleństwo!...

DOFFO.

Savonarola! Twe miejsce na Forum!...

SZMER WSRÓD BIESIADNIKÓW.

Co za wymowa! Nigdy go nie słyszał!

GWIDO

(mierząc Savonarolę wściekłym wzrokiem).
Po coś tu przyszedł? nikt cię nie zapraszał.

SAVONAROLA.

Gdy jest zebranie, przychodzę po kweście,
I gdym przemówił w miłosierdzia imię,
Nikt mnie w Florencyi dotąd nie wygonił.

GWIDO.

Nie dość ci świątyń do kazań, i głupiego
Motłochu na słuchaczy?

DOFFO.

Niechaj mówi.

PIERWSZY BIESIADNIK.

Gniewać się trudno, — on prawdę powiedział.
(zrzuca z głowy wieniec laurowy).

GWIDO.

Więc go słuchajcie, jeżeli was bawi...
Posypcie głowy popiołem.

NIMFA (do Bachantki, ciszej).

Jak wściekły

Vespucci! Lenę zapewne nawrócił
Ojciec Hieronim.

SAVONAROLA.

Przyszedłem poprosić,

Abyście dali z tego co wam zbywa
Cząsteczkę dla tych, którzy nic nie mają.
Nie zawsze nędza występku jest córą.
Są na tej ziemi tak straszne niedole,
O których dzieciom szczęścia się i nie śni...
Jakże tu mówić wam, tutaj zebranych
W wykwintnej sali, przy sutym bankiecie,
Strojnym w jedwabie, z uwieńczonym czołem,
Iż tam, za progiem, są pół nadzy ludzie,
Z zapadłem okiem i myślą zagasłą,
Którzy konają z głodu! Wasi bracia,
Wasi rodacy, równe wam istoty.
Wstrętną jest rzeczą patrzeć na nędzarzy...
Słuchać o nędzy nie nawykłe uszy,
Pieszczone rytmem Lorenza piosenek,
Albo wykwintną retorów wymową.
Lecz biada! biada, jeśli nie przejrzycie,
Bo tłum, ten ciemny, wzgardzony, — to fala,
Co bije wściekłe o pałaców mury.
Nędza, to lawa kipiąca wulkanów,
Co niewidzialna długo wre pod ziemią,
Aż buchnie nagle i grody obali!
Baczcie więc, baczcie, ażeby jęk ludu

Nie zamienił się na ryk lwa pustyni...
By między wami dla których zabawa,
Rozpusta płaska, jedynym jest celem
Marnego życia, a onym tam tłumem,
Nie rozwarła się przepaść, — by lud pijany
Zemstą, a ciemny, nie chciał tej przepaści
Wypełnić w chwili szaleństwa gruzami
Pałaców waszych, trupami szczęśliwych!
Bo wasz to zbytek i wasza bezmyślność,
Podnieca zbrodnie i występki ludu.

DOFFO (do siebie).

Czas wielki sprzątnąć tego, co wygłasza
Podobne zdania.

BIESIADNICY I KOBIETY

(składają na tacę swe klejnoty i pieniądze, — ko-
biety płaczą).

Masz, ojcze wielebny,
Zachowaj miasto od klęsk tak okropnych,
Szpitale załóż i domy ochrony.
Niech wszyscy piją wino, byle dali
Mi wypić moje.

DOFFO (składając też datek).

He! masz, masz, trybunie
Masz i mój datek; my się dobrze znamy,
Pamiętaj o mnie.

SAVONAROLA.

Dziękuję, panowie,
W imieniu biednych. Radbym podziękował

Bogu za łaskę, gdybyście zechcieli
Odmienić życie.

GWIDO (do obecnych).

Po co go słuchacie?

Ja mu nie nie dam. Ten Dominikanin
Ma dość pieniędzy na swoje intrygi...
Myślałem dotąd, iż tylko gawiedzi
I białogłowom on zawraca głowy,
Ze wstydem widzę że i was omamił.

(Savonarola, podczas tych słów, wezwał skinieniem
Boticelli'ego i oddaje mu tacę z uzbieraną kwestą).

SAVONAROLA.

Tobie powierzam, Messer Boticelli,
Ubogich mienie, złóż-że jutro rano
W Gonfaloniera ręce, niech je rozda
Rodzinom biednych, którzy chorych mają.

GWIDO.

Mnie nie oszukasz kłamanemi cnoty,
Nie wierzę w Boga, ni w cnoty człowieka.
Cóż cię obchodzić może los ludzkości,
Albo los kraju? Odwieczni kuglarze!...
Kapłan Izidy, Jowisza, Chrystusa...
Różnica nazwy, oszustwo tożsamo,
Typ jednakowy... Ludzi odsyłają
Po wieczne szczęście do przyszłego życia,
By sobie skarby na ziemi gromadzić.
Praktyczni ludzie, jak mi Bachus miły!

SAVONAROLA.

Kędyż te skarby moje są, Vespucci?
Oprócz tej szaty i kilku ksiąg starych,
Nic nie posiadam.

GWIDO.

Tyś nie złota chciwy,
A chciwy sławy. Ty chcesz, by przed tobą,
Jak przed Mojżeszem ongi, świat się korzył.
Ty się najgłupszej uchwyciłeś sprawy,
Jaka pod słońcem jest, — lud chcesz podnosić,
Lud uszczęśliwiać. Ujrzymy niedługo,
Jaki rezultat twoich starań będzie...
Chyba że jutro, przy ogniowej próbie,
Cud zdziałasz.

SAVONAROLA.

Nie znasz zgoła mej doktryny,
Boś nigdy kazań, ni pism mych nie czytał.
Ja szczęścia pragnę klas wszystkich. — Florencyę,
Włochy, świat, jedną objąłem miłością!
Szczęście ludzkości widzę tylko w walce
Z namiętnościami i zwycięstwie ducha,
Ponad zwierzęcym instynktem człowieka,
Jak uczył Chrystus.

GWIDO.

Górno brzmiące słowa!
Słowa, to liczman lśniący bez wartości,
Na targu życia żadnej wagi nie ma.

SAVONAROLA.

Wszak śmierć, za prawdę, nie będzie czczem słowem?
Ty się nawrócisz, gdy będę umierał.

(wychodzi).

BOTICELLI

(zamyślony, usuwa się w głąb).

Może ma słuszość ów Frate, spokojny,
Gdy my się w walce szarpiemy bez końca.

SCENA X.

Ciż, prócz Savonaroli; — kobiety posmutniały, wielu
z biesiadników pozrzucało z głowy wieńce; — chwila
milczenia.

DOFFO.

Naprawdę prorok, gdy swój zgon przeczuwa.
Gdybym pod ręką miał ostrze sztyletu,
Nie wyszedł by stąd żywy ten burzyciel.
(wraca na swoje miejsce).

GWIDO (również).

Mnich, jako widzę, mocno was zatrwożył
Obrazem zemsty ludu. Kto podnieca
Ow lud? Kto w ręce plebsu oddał władzę?
Kto w onej trzodzie była myśl rozbudza,
Jak Galilejczyk ongi w drżącym tłumie
Pokornych niewolników? On jedynie...
Savonarola! Skoro go zgładzimy,

Florencki motłoch wróci do łańcucha,
I grozić nam przestanie.

JEDEN Z BIESIADNIKÓW.

Jak go zgładzić,
Gdy miasto za nim?

DOFFO.

Użyjem tych samych,
Nad których dołą on tak się rozczuła...
Ha! lud proroków swych chętnie zabija,
I z próby ognia korzystając właśnie,
Na jutro rozruch już mamy gotowy.
By liczbę zwiększyć tych tumultuantów,
Przyslijcie służbę waszą zbrojną w kije,
Noże i miecze, — w szturmie na San Marko
Zabiją mnicha i spokojność wróci.

BACHANTKA.

Nieznośni ludzie z was. — Po co właściwie
Wy nas wezwali tu? Tyle dobrych rzeczy
Jest tu na stole, a nic jeść nie można,
Z tą wieczną polityką!

FLORA.

Accidenti!

Te wieczne partye.

DOFFO.

Macie słuszość dziewczki,
Mnie w gardle zaschło. Hej! podajcie wina!
(Boticelli nalewa).

GWIDO (podnosząc kielich).
Piję na rychły zgon Savonaroli!

SCENA XI.

Ciż, wchodzi ALEKSANDER TORNABUONI przez drzwi
w głębi z chustką skrwawioną w rękę, blade z roz-
wianym włosom.

ALEKSANDER
(rzucając chustką w twarz Gwida).
Rzuć ten płyn mdlawy, nędzny sybaryto,
Pij krew przelaną!

GWIDO.
Splamiłeś mi szaty!

ALEKSANDER.
Szaty obmyjesz tak jak tve sumienie...
Lecz plamę z mego imienia kto zmaże?
Kto zgładzi z serca ból, a z mózgu pamięć?

DOFFO.
Czyliż by brat twój?

INNI BIESIADNICZY.
Czyliżby spiskowi?

ALEKSANDER.
W tej chwili padli pod toporem kata.
WSZYSCY (zrywając się).
Zgroza!

ALEKSANDER (wskazując na Gwida).
A ten ich współnik bankietował!
I pewno w duchu rad, iż już zginęli!...

GWIDO.
Mnie, Aleksandrze, o ich śmierć obwiniasz?
Ich potępiły prawa miastu dane
Przez Hieronima, — on mógł ich ratować,
Przeklinaj jego!... Wiesz czyja wymowa
Signorię przekonała? Ten Valori,
Ten twój przyjaciel na ich zgon nastawał,
Na nim poszukaj krwi!

ALEKSANDER (jakby pijany).
O tak, Frateschi!
Valori i Savonarola! Zemsty!

DOFFO.
My nad zgładzeniem mnicha już od dawna
Pracujem. Jutro przez nas wymyślona
Ogniowa próba skończy się rozruchem,
Zabiją tego proroka.

ALEKSANDER.
To dobrze!
Jeżeli jutro ten kuglarz nie padnie,
Rozbiję klasztor i wyrżnę Valorich!

JEDEN Z BIESIADNIKÓW
(podając mu kielich).
Napij się wina.

ALEKSANDER (odpychając kielich).

Jam jest i tak pijany.

(chwyta ze stołu chustę skrwawioną i do ust
przyciska)

Tą krwią pijany, tą krwią co przysięgam
Pomścić, aż we krwi zabójców ochłonę!

(Zasłona spada).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Sala biblioteki w klasztorze San Marko. — Na prawo dwoje drzwi wchodowych, na lewo wielkie okna, raczej drzwi oszklone balkonu, — w głębi półki z księgami, — pośrodku długi stół, zielonym suknem pokryty, na którym stoją manuskrypty i księgi.

SAVONAROLA

(sam, — patrząc przez okno i ręką wskazując na horyzont).

Oto wspaniały i godny jedynie
Stwórcy jest kościół. Lampą Mu to słońce,
Na złotych sznurach wiszące płomieni,
Ołtarzem ziemia, a ofiarą czyste
Człowieka serce. O! Italio moja,
W tobie szmat nieba rzucił Bóg na ziemię,
A zbrodnie ludzkie w piekło cię zmieniły!
Chciałem odrodzić, uszlachetnić, zbawić...
I nie zdołałem. Zbawiciel nas uczył,

Iż słowo ludzkie to siew — niewiadomo
Kędy upadnie i jaki plon wyda.
Ja siałem miłość Boga i bliźniego,
A zszedł fanatyzm! Oto dzień wczorajszy
Śmiertelny cios mi zadał — chcieli cudu...
Wołali abym cud uczynił! Boże!
Jakże ty ciężką zesłałeś mi próbę!
Mój lud przeciwko mnie... a zaś ci sami,
Co ku mnie łzawe obracali oczy,
Gdym do nich mówił o dobroci Pana,
Ci sami, wczoraj, miotali przekleństwa,
Zniewagi, groźby... Za co? ... Księża moi
Stanęli, w płomień stosu iść gotowi...
Zląkł się i ukrył tylko Franciszkanin...
A lud mnie groził... Zwyciężyli wrogi.
Bądź wola twoja, Panie!... Ten, co widział
Jak ja, zniszczone długich lat starania,
I w proch rozbite szczytne ideały,
Temu straszniejszym od śmierci jest życie!

SCENA II.

SAVONAROLA, SODERINI, DAVANZATI, BACCIO DELLA
PORTA.

SODERINI.

Spieszmy wszyscy, ojcze Hieronimie,
By cię upewnić, iż masz wielu wiernych
I czcią dla ciebie przejętych przyjaciół,
Gotowych bronić twojej drogiej głowy.

SAVONAROLA (ściskając ich ręce).
Dzięki! Co widzę? Messer Davanzati
Wdział zbroje, jakby w czas wojenny.

DAVANZATI.

Trzeba

Na wszystko być gotowym.

BACCIO.

Nigdy w życiu

Nie przypuszczałem, aby lud florencki
Tak się mógł zhańbić! Wszak Dominikanie
Ze swym przeorem trzy godzin czekali
Na próbę ognia. I Fra Domenico
Wszystkim żądaniom wrogów czyniąc zadość,
I szaty zmieniał i krzyż święty złożył,
Kiedy przeciwnik jego, Franciszkanin,
Ukrył się drżący i Signorię błagał,
By zawieszono próbę. Wbrew tym faktom
Florencki lud, niewdzięczny, ojca swego
I dobroczyncę potępia.

DAVANZATI.

Nie do wiary,

Co się z tym ludem stało! Jakiś dziki
Szał go ogarnął? Gdyby nie me straże,
Wracającego w swe klasztorne mury
Fra Hieronima, byliby zabili...

SAVONAROLA.

Mój lud przeciwko mnie! Ah, ból uczułem,

Jaki rozdzierał Zbawiciela serce,
Kiedy hebrejski tłum wołał »ukrzyżuj!«

SODERINI.

Lud jest, jak zwykle, li ślepem narzędziem
Przewrotnych ludzi, co go wyzyskują
Dla własnych celów zemsty albo dumy.
Oddawna pośród motłochu nurtują
Wysłańcy Borgiów i księcia Ludwika...
Lecz to najgorsze, iż obietnicami
Signorię skusić zdołali, a w mieście
Znów górę wzięła arrabiatów partya,
Przez rozpustnika Doffo prowadzona.

SCENA III.

Ciż, BINI i VALORI, obaj bardzo zatrwożeni.

BINI.

Spieszymy do cię, mistrzu, z ostrzeżeniem:
Snują się w mieście podejrzone twarze,
Po szynkach lud się gromadzi, — słychać krzyki
Grożące śmiercią, tak zwanym Frateskom.
Napad gotują na klasztor San Marco,
I ciebie, ojcze, mianują oszustem,
Który prorokiem się głosił, a cudu
Uczynić nie mógł.

(Savonarola stoi błądy i milczący)

DAVANZATI.

Z grózb onych powodu,

Zebrałem nieco naszych do kościoła,
I broni trochę rozdać im kazałem.

SAVONAROLA.

Coś ty uczynił! Przebóg! My orężem
Odpierać byśmy mieli przeciwników?
My zakonnicy, Bogu poślubieni...

VALORI.

Myśmy przybyli by ciebie ocalić...
Nie raz to pierwszy niecą te rozruchy
Medyceusze i inni książęta,
By przez zabójstwo ojca Hieronima
Zgładzić florencką wolność! Połączeni
Działają podle, — i my się połączmy
W świętą falangę, ażeby ocalić
Niewinną głowę prawodawcy.

WSZYSCY.

Do krwi
Ostatniej kropli, bronić go będziemy.
(podają sobie ręce).

SAVONAROLA

(kładąc dłoń na ich połączonych rękach)

Gdybym ja mógł tak wszystkie wyższe duchy
Połączyć w jedność — ale nie w mej sprawie...
Jam tylko szermierz w tym licznym orszaku
Walczących o przyszłość lepszą, — jedna głowa
Nie wiele znaczy.

BACCIO.

Tys jest odrodzenie,
Tys jest Włoch przyszłość.

SAVONAROLA.

Ja się omyliłem,
Sądząc, iż w mocy jednego człowieka
Ludzkość odmienić. Na to wieków trzeba,
Wytrwałej pracy wielu zacnych ludzi,
I krwi przelanej wielu sprawiedliwych.
Mnie zgładzić mogą, ale nie zdołają
Mej myśli zabić. Może moje ciało
Do jutra będzie tylko zimnym trupem...
Do was obecnych zwracam moje słowa,
Innym je nieście. Idźcie po tej ziemi,
Tej naszej pięknej a rozdartej ziemi,
Nie z nożem mordy, nie z głownią pożogi,
Ale z miłości i jedności słowem...
Niechaj Italia pierwej, niżli wrogi
Domowe, właśnie z swych granic wygoni.
W sercach wryjcie hasła nieśmiertelne:
»Wiara, ojczyzna i wolność!«
Każdy Włoch onych niech będzie szermierzem,
Nie znoście oków, chociażby je zręcznie
Pod wawrzynami ukryto. Despotyzm,
Pomnijcie bracia, jest to wieko trumny,
Zapada łatwo, — ciężko je podźwignąć...
Cicho tam pod niem, ale brak powietrza...
Spokój pozorny, lecz robak zepsucia
Tak nieruchome społeczeństwo toczy,

Aż się w zgniliznę zmieni, w proch rozsypie.
Nigdy tyrana! Jezus waszym królem!
To treść mojego życia — mój testament.

BACCIO.

O, ty nie umrzesz! Ty umrzeć nie możesz!
Czemże Florencya byłaby bez ciebie?

SODERINI.

Myśmy maluczcy, lecz jest w naszej mocy
Przechować słowa twe. I będą one
Nam sterem w życiu, pośród rozhukanych
Fal namiętności.

(słysząc za sceną tumult).

VALORI.

Co to znaczyć może?

Czyście słyszeli?

DAVANZATI.

Lud wzburzony ryczy...
Znane mi dobrze te głosy tygrysie.

SCENA IV.

Ciż, — wchodzą przez drzwi z kościoła wiodące
FRA DOMENICO, FRA SILVESTRO, kilku zakonników
i kilku nowicyuszów, z których jeden ranny z głową
owiazaną chustą, siada pół klęcząc pod ścianą na
ziemi przy ołtarzyku. Zakonnicy są bladzi i strwo-

żeni, — SAVONAROLA też niespokojny, podchodzi
ku nim.

FRA DOMENICO.

Przeorze, kościół nasz jest napadnięty!
Tłum uzbrojony w miecze i siekiery,
Drzwi chce wywalić kościoła i boczne
Klasztorne furty.

FRA SILVESTRO.

Do okien kościoła,
Tych naszych okien cudnie malowanych,
Ciskają grad kamieni; kilku naszych
I wiernych kilku, co nam pomagali
Zatarasować drzwi, jest ciężko rannych.
Co czynić mamy?

SAVONAROLA.

Modlić się, o bracia,
Aby Bóg raczył oświecić zbłąkanych,
A nas opieką otoczył.

SODERINI.

Brońmy księży!
Z założonemi rękami stać nie możemy.

DAVANZATI.

Co za nikczemność podłych arabiatów.
Ja do kościoła spieszę, z okien chóru
Spróbuję czyli strzałami z rusznicy,
Którą tam skryłem, napad przewidując,
Nie zdołam spłoszyć onych napastników.

SAVONAROLA (usiłując go powstrzymać).
Przebóg! Co czynisz! Do mojego ludu
Strzelać zamierzasz z klasztoru San Marko!

BINI.

To nie jest lud twój, to motłoch najemny!

SODERINI.

To są zbrodniarze na żołdzie twych wrogów,
My ich na chwilę zatrzymać zdołamy,
A ty, ojcze, uchodź!

VALORI

(który z balkonu się rozejrzał).

Tak jest, uchodź!

Jeszcze możliwość jest — jeszcze przez balkon,
Ta część klasztoru dotąd jeszcze wolna.

WSZYSCY (do Savonaroli).

Uchodź co prędzej!

SODERINI (podaje mu płaszcz).

Zmień szaty, za miasto

Spiesz do mej willi.

VALORI.

Skoro noc zapadnie,

My do Livorno ciebie przeprowadzim,
Tam są francuskie statki, i natychmiast...

SAVONAROLA.

Ja mam uciekać? Czyż jestem zbrodniarzem?

VALORI.

Ofiarą jesteś, którą wydrzeć wrogom
Jest obowiązkiem naszym. Wnet powrócisz,
Florenycja przejrzy.

SAVONAROLA.

Albo wy wątpicie...
(stoi jakby walcząc z sobą).

NOWICYUSZ (ranny).

Za swoje owce kładzie pasterz życie.

SAVONAROLA

(zdumiony patrzy na nowicyusza, potem do
obecnych).

Czy wy słyszycie? przez maluczkich usta,
Bóg prawdę głosi. Tutaj pracowałem,
I tu strudzoną mą głowę położę.

VALORI.

Z boleścią twoją szanujemy wolę.

BINI.

Czyliż podobna, by rząd Republiki
Nie przysłał straży, by rozruch uśmierzyć?

VALORI.

Przysłą najpewniej, — ale pomoc oną,
Przyspieszyć trzeba, bo wobec wściekłości
Motłochu, straże przyjsć mogą zapóźno...
Wkrótce możemy być zewsząd zamknięci,

Więc do Signorii śpieszę, by co rychlej
Rozruch uśmierzyć.

SODERINI.

Niezupełnie ufam
Signorii gorliwości. — Idę z tobą,
Aby co rychlej tu przysłać me straże.

SAVONAROLA (podając im ręce).

Żegnajcie druhy!

(obejmuje i ściska Valori'ego)
Żegnaj mi, Francesco.

VALORI (do Savonaroli).

Dlaczegoż ty mnie tak żegnasz, mój ojczy? —
I łza z twych oczu padła na me czoło?

SAVONAROLA.

Żegnaj Francesco! Niech ci Bóg nagrodzi
Twą stałą przyjaźń dla mnie! Może więcej
Was już nie ujrzę, — pamiętajcie o mnie.

(Obaj, wzruszeni bardzo, ściskają Savonarolę i od-
chodzą przez balkon, który za nimi zamykają).

SCENA V.

Ciż, prócz Valori'ego i Soderini'ego.

SAVONAROLA (do księży).

Idźcie, o bracia mili, do kościoła,
Śpiewajcie psalmy. — Zabierzcie z ołtarzy

Najświętszą hostyę, aby w chwili szafu
Lud nie znieważył świętości.

FRA SILVESTRO (drżący).

Przypuszczasz,
Iż napastnicy wdrzeć się zdołają?

SAVONAROLA.

Nie wiem, tu jest bezpieczniej i zapewne
Signoria pomoc nam przyśle.

FRA DOMENICO.

Idźmy bracia,
Hałas wciąż rośnie, lada chwila mogą
Wpaść bezbożnicy w poświęcone progi.

FRA SILVESTRO

(idzie za nimi błady i drżący).

O Boże wielki, zmiłuj się nademną.
A! na męczeństwo nie jestem gotowy.
(wszyscy wychodzą przez drzwi do kościoła wio-
dące).

SCENA VI.

SAVONAROLA (sam).

Nadeszła chwila próby i cierpienia...
Nie wiem, jak zginę — czy nagły cios padnie,
Czy przyjdzie skonać wśród mąk?
Ale czemuż
Najsroższy ciała ból wobec boleści

Duszy, co wszelką straciła nadzieję?
O, jak mi smutno, Boże, jak mi smutno,
Śmiertelnie smutno... Panie! Panie!
Ciężkoś mnie dotknął. — Niech będzie Twa wola,
(kłęka)

Przed nią się korzę... O jedno Cię błagam,
Skrzep mego ducha, który z przyrodzonej
Obawy śmierci drży, — z trwogi omdlewa.
Jako ja zdołam znieść śmierć i męczarnie?
Gdyż czuje żem jest w moich wrogów mocy...
Bezbronny... sam... jak ów liść suchy,
Którym pomiata wichur... Sam? Tyś przy mnie,
Czuję obecność twoją... Ty nie karę
A próbę zsyłasz, — wszak śmierć tych co prawdzie
Odwiecznej służą — ta jedna odkupia
Z dzikości jej zwierzęcej ludzkość — i oświeca
Bardziej, niż wszelka słów naszych wymowa.
(wstaje).

SCENA VII.

SAVONAROLA, BACCIO DELLA PORTA.

BACCIO.

Ojcie przeorze! Okropne nieszczęście,
Messer Francesco Valori — zabity!

SAVONAROLA.

Przebóg! co mówisz? skąd wiesz?

BACCIO.

Coraz silniej

Grożące nam niebezpieczeństwo widząc,
Gdy lud faszyny przyniósł i zapalił
U podwoi kościelnych, wraz z innymi
Weszliśmy na dach, aby dachówkami
Razić napastujących. Z dachu widno
Plac, oraz znaczną część pobliskich ulic.
Valori ledwie obszedł kościół, zaraz
Obskoczył go groźny motloch, — a w tej chwili
Nadbiegła blada Valori'ego żona,
Z włosom w nieładzie, krwią zbroczonych szatach
Wołając: »Ratuj mężu! nasze dzieci
»Pomordowano i dom chcą rozwalić!«
Z tłumu padł wystrzał i tę nieszczęśliwą
Ugodził w piersi. Valori w rozpacz
Dobył oręża, lecz wnet się rzuciło
Na niego wielu, i padł pod ciosami.

SAVONAROLA.

Czy nie zdołałeś rozróżnić morderców?

BACCIO

O, mogłem widzieć ich dobrze, — nie byli
To ludzie z gminu — i Tornabuoni
Z Rudolfim szli o lepsze, który zada
Śmiertelny cios ofierze!

SAVONAROLA.

O, mój Boże!

Odwołaj duszę moją z tego piekła,

Nie każ mym oczom patrzeć na ohydny
Przelew krwi bratniej! — Drogi mój Valori!
Duszy mej bracie! Bez przygotowania
Na sąd najwyższy musiałeś się stawić...
Bądź mu miłościw Panie! Żonę, dzieci...
Niewinne dzieci zamordować śmiano!...
O!...

(zakrywa oczy ręką, aby ukryć łzy).

SCENA VIII.

Ciż, wchodzą: FRA DOMENICO, niosąc nakryty kie-
lich, który składa na ołtarzyku. Zakonnicy wylękli,
bladzi, śpiewając psalmy. Za nimi wchodzą płaczące
kobiety i dzieci, mężczyźni niektórzy uzbrojeni. —
DAVANZATI. — Przez drzwi otwarte do kościoła,
które zaraz zamykają, wciskają się kłęby dymu.
Savonarola stoi ciągle nieruchomy — jakby nie
widząc co się w koło niego dzieje.

WIELE GŁOSÓW.

Przeorze! drzwi podpalił, — niedługo
Ogień ogarnie kościół.

DAVANZATI.

Nie wiem zgoła
Co dalej czynić... Tłum klasztor okrzyknął,
Wchodowe drzwi już płoną!

SAVONAROLA.

Tak jest, płomień

Zniszczenia Włochy ogarnął... W płomieniu
Topnieją mitry, tiary i korony...
Rzym kupą gruzów... Italia cmentarzem?
Za ojców winy — przez długie stulecia
Naród nasz dźwiga okowy niewoli!
Módlmy się bracia! Nie o nasze życie
Błagajmy Boga, lecz by litościwym
Był dla ojczyzny naszej, i przelaną
Krew naszą raczył przyjąć na ofiarę!
(Wszyscy obecni otaczają Savonarolę płacząc, wielu
całuje jego szaty. — Słychać silne pukanie do ze-
wnętrznych drzwi biblioteki, oraz głosy):
»Otwórzcie w imię Signorii«.

DAVANZATI.

Nareszcie zda się odsiecz nam przysłano...
(do Savonaroli)
Co mam uczynić?

SAVONAROLA.

Nie jesteśmy sami...
Mógłby z motłochu kto w imię Signorii
Przemawiać do nas, by przez drzwi otwarte
Wpadłszy, obecnych wyrznać. — Spytaj pierwej
Kto są, i z jakim przychodzą rozkazem,
Oraz, czy rozkaz na piśmie?

DAVANZATI

(idzie do drzwi i po chwili wraca z papierem).
Tak, ojcze,
Od Signorii rozkaz, w którym piszą,

Ażebyś, ojcze, wraz z Fra Domenikiem
I Fra Silvestrem stawił się niezwłocznie
Wobec dostojnej rady — i, by wszyscy
Obecni święte opuścili mury.

SAVONAROLA (biorąc papier, przegląda).

Dziwny to rozkaz, lecz słuchać należy,
Podwoje otwórz Davanzati.

OBECNI (z płaczem).

Ojcze!

O! nie opuszczaj nas! Nie dawaj wiary
Tym nikczemnikom! Oni cię zabiją!

SAVONAROLA.

Z przyczyny mojej nie chcę, by płonęła
Krew mych współbraci, skoro mogę
Ofiarą życia mego, spokój wrócić...
Nie pora zwlekać dłużej — drzwi otwórzcie!

SCENA IX.

Ciż, wchodzi GIOVACHIMO, KOMENDANT BARGELLA,
za nim strażę, — do drzwi otwartych cisnie się lud
rozbestwiony.

LUD (wołając).

Śmierć oszustowi! Śmierć czarownikowi!

SAVONAROLA (do Komendanta).

Otom ja gotów na rozkaz Signorii

Stawić się, — przy mnie też Fra Domenico.
Twojej opiece zdaje, komendancie,
Kościoła całość, Zakonników życie.
Pójdźmy...

GIOVACHIMO.

O! nie tak, wielbny przeorze,
Coś był tu sprawcą gwałtów i rozruchów,
Nie z skargą tobie stawać przed Signorią,
Lecz jako obwiniony...

SAVONAROLA.

Ja! I o cóż
Mnie obwiniają?

GIOVACHIMO.

Hm! zaraz się dowiesz...
Mnie nie do tego... Kazano nałożyć
Ci branzoletki...

(biorąc okowy z rąk jednego ze straży).

SAVONAROLA.

Mnie włożyć okowy?
I to z rozkazu florenckiego rządu!

WIELE GŁOSÓW.

Brońmy go! Brońmy! Śmierć zdrajcom Frateskom!

INNE GŁOSY.

Śmierć! Śmierć Frateskom i Savonaroli!

(Tłum rozwścieczony wciska się coraz bardziej. — Zakonnicy osłaniają Savonarolę, jego zwolennicy płacząc poklękali wokoło. — Giovachimo nakłada mu na jedną rękę okowy, podczas gdy Savonarola drugą ręką błogosławi swoich).

(Zasłona spada).

AKT SZÓSTY.

SCENA I.

Sień w Pallazzo Vecchio, — na lewo drzwi wchodowe, przy których stoją HALABARDNICY, — na prawo, w głębi, wschody wiodące na piętro i drzwi do pokoi parterowych. GWIDO VESPUCCI chodzi niespokojny. — DOFFO SPINI.

GWIDO.

Przekłeta sprawa, tak długo się wlecze,
Sądzą i sądzą — a skazać nie mogą!..
Myślałem w gniewie, iż zemsta nad mnichem
Napełni serce rozkoszą.. przeciwnie..
Bezsensność trapi, gorączka mię trawi,
Chociaż raz tylko jeden byłem świadkiem,
Gdy na torturę brali Hieronima..
Ten wzrok łagodny a pełen boleści..
(chwyta się za czoło)
Zapomnieć!.. O! zapomnieć.. bo inaczej
Oszaleć przyjdzie..

(wchodzi DOFFO SPINI przez drzwi na prawo).

— 161 —

GWIDO (idąc ku niemu).

Wszak byłeś na sądzie?

DOFFO.

Dziwaczne miewasz Gwido roztargnienia;
Sądzisz iż moją dożywotnią funkcyą
Jest na tortury brać Savonarolę?

GWIDO.

Masz słuszność, funkcyą twoją się skończyła,
Odkąd go sądzą, z Rzymu tu przysłani,
Papiescy komisarze.

DOFFO.

Którzy sypią
Florenckiej radzie jakby z obfitości
Rogu, łask obietnice, tak niebieskich
Jako i ziemskich. Że też, tyle warte
Mizerne życie, mizernego mnicha,
Nigdy nie sądził.

GWIDO (niecierpliwie).

Dość cynicznych żartów!

DOFFO.

Patrz, oto Messer Ceccone nadchodzi,
Co nam pomagał spisywać zeznania
Savonaroli, a teraz podobną
Usługę rzymskim komisarzom czyni..
Od niego pewne będziesz mógł mieć wieści.
(Messer CECCONE schodzi ze schodów, Gwido idzie
naprzeciw niego).

GWIDO.

Nareszcie sprawa fatalna skończona!
Mnich był szkodliwy, zgładzić należało,
Ale dni tyle przeciągać męczarnie,
Niegodnem jest Florencyi, a jedynie
Jest Kanibalów godnem!

CECCONE.

Formalności
Prawnych, o Panie, pominąć nie można.

DOFFO.

No, jakże? Wreszcie znalazła się wina?

CECCONE.

Da cosa nasce cosa... Jeśli winy
Na prawdę nie ma, można oną stworzyć.

DOFFO.

Stworzyłeś pięknie. W obydwu procesach
Savonarola przemawiał jak święty,
I tych procesów nawet wydrukować
Nie można było.

CECCONE.

Jam zgoła nie winien.
Uwzględnić proszę, iżśmy tu mieli
Z człowiekiem do czynienia cierpliwego
Nadzwyczaj ciała i silnego ducha.
Gdzie można było, od siebie dodałem,
Iż on tak działał w pysze — że lud zwodził,

W imieniu Boga mówiąc, aby łatwiej
Burzliwe miasto jego rad słuchało

GWIDO (z przekąsem).

Wieleś dokazał — lecz za takie winy
U nas nie karzą śmiercią.

DOFFO.

A! i gdyby
Nas nie wybawił Borgia swem żądaniem,
Wydania sądom kuryi winowajcy,
Uwolnić by go przyszło, — a za rozruch
Nam, sędziom, zasiąść na ławie skazanych,
Przy odnowionym wyborze Signorii.

CECCONE.

O! bądź spokojny, znalazła się wina...
Wyraz »kacerstwo« jest tak elastyczny,
Tak bliski czarów, tyle zbrodni mięści!
Wysłannik Rzymu, ojciec Romolino,
Tu przybył z góry wydanym wyrokiem...
Tortury, proces, były li dla formy.

GWIDO.

Lub też dla zemsty.

CECCONE.

Hm... i to być może...
To rzeczy ludzkie... no tak, ale dzisiaj
Był dzień ostatni. — Wyrok już wydany
A jutro rano dopełnionym będzie...

GWIDO.

Jak brzmi ów wyrok?

CECCONE.

Śmierć przez uduszenie.

Zwłoki zostaną spalone na stosie,
Na środku placu, naprzeciw pałacu.

GWIDO.

Dreszcz po mnie przebiegł...

CECCONE.

Od dłuższego czasu

Te dreszcze czuję... Utraciłem zdrowie
Przy tym procesie, — a jeszcze onegdaj
Savonarola rzekł mi: »Messer Cecco,
»Porzuć te ziemskie zabiegi i zdrady,
»Myśl o twojej duszy — masz umrzeć niedługo«.

(z trwogą)

Jak wam się zdaje, czy on jest prorokiem?

DOFFO (wstrząsając się).

Djabliż go wiedzą! Tu zimno w tej sieni,
Idźmy na słońce.

(wychodzi z Cecconem).

GWIDO

(stoi z rękami skrzyżowanymi na piersiach, patrzy
za odchodzącymi i na strugę światła która się
przez drzwi przedostaje).

Słońce jasno świeci...

O tej godzinie jutro już Hieronim

Nie będzie go oglądał. — Za wydartą
Z mych objęć kurtyzane, jam się zemścił!
Wraz z spiskowymi i moją współnietwa
Winę grób zakrył, — pod mściwymi ciosy
Ich krewnych upadł Franciszek Valori,
A z nim Fratesków partya. — Nie mam wrogów,
Bezpieczny jestem, nic mi już nie grozi...
Czemż tak ciemno i pusto w koło mnie?
Z onem bezpiecznem życiem cóż uczynię?

SCENA II.

Wchodzą te same zakonnice co w akcie drugim.
PRZEŁOŻONA, LENA — wszystkie trzymają w rękach
róże i lilie, na przodzie Przełożona i Lena. Gwido
na widok Leny mocno wzruszony, cofa się parę
kroków.

GWIDO (do siebie).

Tak, to jest Lena! Tak, to są jej oczy,
Te oczy, jakich żadna inna nie ma!
I twarz ta sama, a jaka odmienna!
Jak przezroczyta maska z alabastru,
Z za której płomień postawionej lampy
Przebija, strojąc w pozaziemskie blaski...
(namiętnie)

Leno!

PRZEŁOŻONA.

Umarła, panie, ta co była Leną.
Tu widzisz siostrę Maryę Magdalę.

LENA.
Co życzysz, panie?
GWIDO
(walcząc ze wzruszeniem).
Dla kogo te kwiaty?

LENA.
Dla skazanego na śmierć.

GWIDO.
Powiedz prawdę,
Znalazłaś szczęście?

LENA (jakby w ekstazie).
Spokój — szczęście,
Odkąd z sumieniem moim jestem w zgodzie!

GWIDO.
Z sumieniem w zgodzie...
(chwytając się za czoło) O! o! o! sumienie!...
(wychodzi przez drzwi główne).

SCENA III.

Z za drzwi na prawo wchodzi JAKÓB NICCOLINI, w stroju czarnym członka stowarzyszenia »del Tempio« i idzie ku wschodom; w tejże chwili przez drzwi główne wbiega ARABELLA, blada, przerażona, ujrawszy Niccolini'ego spieszy ku niemu.

ARABELLA
(do Niccolini'ego, wstrzymując go).
O dobry panie, racz się wstrzymać chwilę,

Odpowiedz, błagam, na moje pytanie,
Widziałam cię wchodzącym w onej szacie,
Do kogo cię wezwano?

NICCOLINI.
Z onej szaty
Wszak widzisz, pani, iż wedle zwyczaju
Pociechę mam nieść temu, co nie ujrzy
Jutrzejszego wieczora.

ARABELLA.
Lecz do kogo?
Do kogo cię wezwano? Wieść obiega,
Iż dziś ojciec Hieronim?...

NICCOLINI.
Tak jest, pani,
Cierpienia jego wszak skończyć się mają.

ARABELLA (drżąc).
Być-że to może, by ludzka zaciekłość
Aż tak daleko mogła się posunąć!?
Panie, ty mówić z nim będziesz, o błagam,
Powiedz, iż we łzach tonie nieszczęśliwa,
Co namiętności szalem uniesiona,
Użyć się dała za narzędzie wrogom
Świętego męża, może jest przyczyną
Nieszczęścia, jako też zabójstwa
Franciszka Valori'ego wraz z rodziną!
Ze ta grzesznica, we łzach i rozpacz,
O przebaczenie błaga win, tak strasznych,

Iż się nie czuje godną miłosierdzia,
Ni łaski Bożej.

NICCOLINI.

To być łatwo może,
Iż Signoria była omamiona,
I nieogłędnie dopomogła wrogom
Savonaroli, w ich niecnym knowaniach
Lecz się uspokój, — nie ty go zabijasz...
Od dawna zguba ojca Hieronima
Przez Rzym i książąt była ułożona.
Stał im na drodze, zgładzić go musieli.

ARABELLA.

Chcesz mnie pocieszyć, panie, jako zwykłeś
Na śmierć skazanych koić, — lecz mej winy,
Wściekłości mojej, nie tłumaczy wina,
Ni wściekłość innych.
(Ze wschodów wchodzi powoli Savonarola, wśród
straży, blade, ciche, w modlitwie pogrążony, — na
jego widok zakonnice płaczą).

NICCOLINI (do Arabelli).

Oto go prowadzą.

ARABELLA (nieprzytomna).

O, wielki Boże! czemu on tak blade?!
Gdzie go prowadzą?

NICCOLINI.

Z tortur do więzienia.

(Arabella usuwa się na kolana przy jednym z filarów i tak pozostaje nawpół omdlała).

SCENA IV.

Ciż, SAVONAROLA, STRAŻE. — Gdy się zbliża Savonarola ZAKONNICE i LENA klękają. — PRZEŁOŻONA podaje mu kwiaty.

PRZEŁOŻONA.

Te kwiaty tobie, ojcze, posyłają
Twoi bracia z San Marko.

SAVONAROLA

(z smętnym uśmiechem biorąc je).

Piękne kwiaty...

Zawsze lubilem je — i teraz kwiecim
Mnie żegna ziemia, gdy na moim grobie
Ich nie zasadzą — bo moje popioły
Rozniesie wicher. Woń mię orzeźwiła...
Podziękuj braciom. Z tych róż jedną
Wezmę ze sobą, — zachowam na łonie
Do chwili zgonu. Te zaś śnieżne lilie
Odnieście braciom, a z niemi ostatnie
Wyrazy moje: niech wytrwają w wierze.

(wskazując w górę)

Tam się złączymy..

(Zakonnice płaczą).

LENA.

Pobłogosław, ojcze,
Florencyi biedne niewiasty!

ARABELLA

(klęcząc i wyciągając ręce).

Błagam,

I mnie przeżegnaj i przebacz!!

SAVONAROLA.

Kto jesteś?

Nie znam cię, pani, cóż ci mam przebaczyć?

ARABELLA.

Ach! jam grzesznica! Ja się przyczyniłam
Do tylu zbrodni i nieszczęść, bezwiednie.

(chwytając się za czoło)

Rozpacz bez granic!...

SAVONAROLA.

Bóg jest miłosierny,

Jeśliś zgrzeszyła, módl się, czyni pokutę.

NICCOLINI (do siebie).

Wie o wyroku, więc go nie przerażę...

(głośno)

Czy mogę być w czem pomocnym?

SAVONAROLA.

Szlachetną

Jest misya twoja, — czekam cię w więzieniu.

(Zasłonu spada).

ODSŁONA DRUGA.

SCENA V.

W więzieniu Savonaroli, — na prawo niskie łóżko
więzienne, — na lewo ławka, na której konewka
z wodą, — po środku stolik i krzesło słomiane —
w głębi ciężkie drzwi wchodowe.

SAVONAROLA

(przy stole, składając papiery).

Tak oto stoję u wąskiego proga,
Co byt doczesny od wieczności dzieli..
I wnet się dla mnie podniesie zasłona,
Przed którą mędrców myśl stawała drżąca.

(siada i opiera głowę na rękę)

Skazany na śmierć... i któż ze śmiertelnych,
Rodząc się, na świat z sobą nie przynosi
Wyroku śmierci? Czas tylko nieznany
I rodzaj śmierci. — Czyli mi żal życia?
O, nie! Południe zaledwie przeszedłem dni moich,
A wszystkie ziemi znam, o znam, gorycze.
Kiedy wstecz spojrzę na przebytą drogę,
I mą działalność wśród tego narodu,
Nic nie żałuję, nic nie mógłbym zmienić.
Ty wiesz, o Boże, żem był Twym żniwiarzem,
Dzień mój skończony — idę po zapłatę..

(patrzac na swoje pokaleczone ręce)

Ludzie mi dali taką, jaką zwykli

Nagradzać, płacę, — od nich nie czekałem
Też wcale innej...

Do jutra me ciało

Li garścią prochu będzie, przez płomienie
Jeszcze się rychlej połączy z atomy
Wszechświata, z których początek swój wzięło,
A duch nareszcie, z ziemskich pęt rozkuty,
Wróci do onej wielkiej, tajemniczej
Pierwszej przyczyny, którą Zbawca kazał
Nazywać Ojcem. A więc, dobry Ojcze,
Przyjmij łaskawie syna, co powraca
Na łono Twoje po życiowym trudzie!
(pozostaje tak z rękami złożonemi jak do modlitwy
i oczami wzniesionemi w niebo)

SCENA VI.

Drzwi w głębi się otwierają — wchodzi NICCOLINI,
bez kaptura, staje i patrzy na modlącego się.

NICCOLINI (do siebie).

Od twarzy jego blask nie ziemski bije,
To bohaterski jest i święty człowiek.
(zbliża się i przykłęka)
Ojcze, pobłogosław mi!

SAVONAROLA.

O, mój synu!

Powstań, przyszedłeś aby mnie pocieszać,
A ty sam płaczesz. — Opuścić tę ziemię,

Wierzaj mi, nie jest największem nieszczęściem.
Za twe współczucie niech ci Bóg nagrodzi,
I długie wieki twój lud błogosławi!

NICCOLINI (wstaje, ocierając łzy).

Jeżeli, ojcze, masz jakie życzenie,
Chciej je objawić. Dołożę starania,
By je spełniono. Tym, co się znajdują
W twem położeniu, nie zwykli odmawiać.

SAVONAROLA.

Proszę cię, powiedz, czyli nie widziałeś
Mych towarzyszy śmierci, innych braci,
Silvestra i Domenica?

NICCOLINI.

Od nich idę.

SAVONAROLA.

Jakim umysłem ciężki wyrok znoszą?

NICCOLINI.

Znać po nich, ojcze, że uczniami twymi,
Lecz są jak gdyby w gorączkowym stanie,
Dominik w wielkiem uniesieniu woła,
Ze on na tryumf idzie i chce prosić,
Aby dozwolono żywym wejść na stopy;
Zaś brat Silvestro, czy słabszego ducha,
Czy ciała może, — źle znosił tortury,
Lecz po wyroku podniósł się na duchu,
Chciałby koniecznie przemówić do tłumu,
By niewinności swej i waszej dowieść.

SAVONAROLA.

Od dni czterdziestu ja ich nie widziałem,
Mnie ich fałszywe czytano zeznania,
A im zapewnie fałszowano moje.
Chciałbym raz jeszcze ich ujrzeć i wspólnie
Się przygotować w drogę co nas czeka.

NICCOLINI.

Natychmiast prośbę przedłożę Signorii,
I wrócę modlić się i czuwać z tobą.

SCENA VII.

SAVONAROLA (sam).

Jak łódź się chwieje na wzburzonym morzu,
Tak umysł ludzki w stanowczej godzinie
Waha się drżący; to nadziei fala
Na szczyt go wzniesie, to fala zwątpienia
Pograża w przepaść. Myśl o towarzyszach
Ku ziemi mię zwróciła, ponad którą
Mój duch już, w kręgach wieczystej światłości,
Szybował wolny. Biedni bracia moi!
Wierzyli mi, kochali, tyle innych
Szlachetnych serc miłością dla mnie biło.
Przyjaźń cnotliwych to węzeł jedyny,
To serca nasze tu silniej przykuwa.
I oni cierpieli tyle — a ja mam patrzeć
Na ich okrutny zgon! Ah! tu nareszcie
Z piersi zbolelej okrzyk się wyrzywa
Skargi rozpaczny!...

Przebacz Boże,
Krewkości serca! Czyż my zginąć mamy?
Wszak my padamy jak na walki polu
Upada szermierz, swojej krwi strumieniem
Zwycięstwo okupując. Krótka chwila trwogi,
A dusza w wiecznej harmonii utonie.

SCENA VIII.

Wchodzą FRA DOMENICO, FRA SILVESTRO, NICCOLINI; księża wchodzą z twarzą surową i obojętną, na widok Savonaroli ogarnia ich nagle wzruszenie i milcząc klękają przed nim.

SAVONAROLA

(podnosząc ich i ściskając).

O, bracia moi!

ZAKONNICZY.

Mistrz ukochany!

SAVONAROLA.

Niech was przycisnę do mojego serca,
Po raz ostatni.

DOMENICO.

Tyś zawsze pozostał
Ten sam, nasz święty.

(do Silvestra)

Jam nigdy nie wierzył,
By prawdziwemi były nam czytane
Zeznania jego.

SAVONAROLA.

Kreślił je Ceccone,
I nie wiem co mi podpisać kazano.
Mnie wzajem wasze czytano procesy.

FRA SILVESTRO.

Wyznaję, ojcze, iż wobec tortury
Zasłaby byłem, — w paroksyzmie bólu
Mówiłem, co mi oprawcy kazali...
Przebacz mi ojcze.

SAVONAROLA.

Słabe ludzkie ciało,
Choć duch ochotny. Jam nie sądem twoim,
Przed wspólnym sędzią mamy wkrótce stanąć,
I myślą naszą jedyną, o bracia,
By umrzeć jako na chrześcian przystało,
Bez trwogi i bez pychy. Dominiku,
Słyszałem iż się wyraził życzenie,
W płomienie wstąpić żywym. Wiesz-że, bracie,
Czyli nam serca starczy przenieść taką
Śmierć na jaką wyrok nas skazuje?
Ty zaś, Sylwestrze, zamierzasz podobno
Do ludu mówić, ażeby dowodzić
Mu niewinności naszej. Czy ty sądzisz
Iż onej nasi sędziowie nie znają?
Interes i namiętność nas skazały,
Z tymi daremna walka. Ów tłum ludu,
Co jutro świadkiem naszej kaźni będzie,
Zbiegnie się tylko widowiska chciwy,

Jak niegdyś w Coloseum lud Cezarów,
On śmierci twojej a nie słów spragniony.
Śmierć, li zniesiona z spokojną powagą,
Jakiej wzór boski nasz Mistrz nam zastawił,
Ta jedna może poruszyć sumienie,
Jeśli nie wszystkich to przynajmniej wielu.

ZAKONNICZY

(pochylają się i całują jego ręce).
We wszystkim, ojcze, będziemy postulsi.

NICCOLINI (zbliżając się).

Z boleścią, mistrzu, przypomnieć ci muszę,
Iż czas upłynął ściśle oznaczony
Rozmowy twojej z bracią.

SAVONAROLA.

Ah! dozwoliciel
Signoria mogła byśmy noc ostatnią
Spędzili, modląc się.

NICCOLINI.

Usilniem błagał
O przyzwolenie, — lecz mi odmówiono.
Lękają się...

SAVONAROLA

Czego? biednych mnichów,
Bezbronnych i znękanych?

NICCOLINI.

Oni zawsze
Myślą, iż zdziałasz coś nadzwyczajnego.

SAVONAROLA (więcej do siebie).
I tacy ludzie o mnie sąd wydali...

(do zakonników)

Zegnajcie, bracia! Niech was Wszechmogący
Wesprze w tej ciężkiej chwili, co nas czeka,
I duszom naszym da wieczny spoczynek.
Módlcie się, bracia!

DOMENICO (ściskając go).

Wnet się połączymy

Na wieki, mistrzu!

SILVESTRO.

Przez promienne koła
Popłyniem w górę jako w mem widzeniu.
(wchodzi straż i zakonników wprowadzają).

SCENA VIII.

SAVONAROLA, NICCOLINI, GENIUSZ.

NICCOLINI.

Wzruszenie siły twoje wyczerpało,
Odpocznij chwilę na tem twardem łożu.
Modlić się będę i czuwać przy tobie.

SAVONAROLA (siada na łożu).

O tak, ja jestem śmiertelnie znużony,
Lecz tak spokojny jak chyba w zaraniu,
Mojego życia, gdym na matki łonie
Usypiał. Dziwne, jako mnie w tej chwili

Obległy słodkie dzieciństwa wspomnienia.
Widzę nasz ogród w uroczej Ferrarze,
Wyniosłych drzew pełen, pełen wonnych kwiatów,
Które dla matki zrywałem i widzę
Najmilsze, słodkie jej lice zwrócone
Ku mnie, gdy mi swą dłonią miękką, włosy
Zgarniała z czoła i patrząc mi w oczy,
Pytała: »Czemuś ty smutny, mój synu?«
I widzę dziada też postać dostojną,
Gdy na kolanach mię trzymając, jasno,
Przystępnie dla słabej jeszcze malca głowy,
Tłumaczył wszystkie cuda, co na ziemi
Nas otaczają. Te prawa, któremi
Tam powiązane gwiazdy ponad nami.
Następnie uczył, jak poznawać zioła
Te które leczą i te, które trują...
Lecz wzrok mój wznosząc ponad ziemię
Tak cudną — umysł młodzieńczy utonął
W świecie nadziemskim Tomasza z Akwinu,
I duch się zbratał z anielskimi chóry,
Którem odnalazł cudnie malowane
Fra Angelica ręką w mym klasztorze.
(pochyla się coraz bardziej, podtrzymywany przez
Niccoliniego, opiera głowę o wezgłowie i usypia.
Geniusz Italii w postaci Beatryczy Danta, z palmą
w dłoni, staje przy jego łożu.

GENIUSZ.

Za życia twego bój,
O synu mój,

Błogosławię cię!
Ofiara twojej krwi nie stracona,
Ni dla ojczyzny trud,
Bo wielka twoja dusza natchniona,
Odrodzi włoski lud!
Po wiekach nędzy Italia wstanie,
Oprze się wrogów nawale;
Rzeczywistością twa myśl się stanie,
Odżyjesz w ojczyzny chwale!

(Geniusz znika, — Savonarola śpi z twarzą rozjaśnioną i uśmiechniętą, na którą padają pierwsze promienie jutrzeńki przez okno więzienne. Niccolini patrzy na niego z uwielbieniem i modli się).

SCENA IX.

Ciż, wchodzi GWIDO VESPUCCI, owinięty płaszczem, blady, — twarz jego wyraża złość i ironię. Niccolini na jego widok zrywa się i zasłaniając sobą śpiącego Savonarolę, wstrzymuje go).

NICCOLINI (przyciszonym głosem).

Co chcesz i pociś tu przyszedł, Vespucci?

GWIDO.

Mam pozwolenie Signorii, gdyż chciałem
W ostatniej chwili zobaczyć proroka,
By się przekonać, jak on pewność znosi
Niechybnej kaźni, jak klnie swe szalbierstwo,
Ze wściekłości w bólu się tarza,

I chcę mu rzucić w twarz raz jeszcze słowo,
Iż tak proroków swoich lud nagradza.

NICCOLINI.

Ciszej, na Boga, Gwido jesteś w błędzie,
Savonarola zupełnie spokojny,
Pożegnał braci, modlił się i zasnął.
Stokrotnie gorszym byłby od szatana,
Ktoby chciał zmacić tę ostatnią chwilę
Przedśmiertną męczennika.

GWIDO (zmienionym głosem).

On się modlił?...

(z wyrazem przerażenia)

Za cóż mi go zabili?...

(zbliży się cicho i przypatruje śpiącemu).

Jak spokojny,

Jakie promienne i jasne oblicze!...

Przemawia przez sen...

SAVONAROLA (we śnie).

Włochy zjednoczone,

Potężne, wolne.

GWIDO.

O ojczyźnie marzy,
Nikczemną, podłą spełniłszy zbrodnię.
(chwyta się za głowę, blady i drżący opiera się
o poręcz krzeselka).

SAVONAROLA (budząc się).

Gdzie jestem? Jeszcze ponure więzienie,

Tak cudnie śniłem przed chwilą. Italii
Geniusz był przy mnie. Nie płacz Niccolini,
Ja wkrótce będę wolny z oków ziemi,
Ale Florencję, Rzym czeka zniszczenie.
Po latach długich cierpień i niedoli
Italia będzie wolną, zjednoczoną,
Pod berłem królów dostojnego domu.

NICCOLINI (łkając).

Ah! ojcze! ojcze! mamże zgon twój przeżyć?

SAVONAROLA.

W tym wielkim gmachu odrodzenia będzie
Mój zgon też cegłą.

(Słychać szcęk broni, strażę więzienne wchodzi,
pozostawiając drzwi otwarte).

SAVONAROLA (idąc ku nim).

Jam na śmierć jest gotów...

(do Niccolini'ego)

Zegnaj mi, synu!

NICCOLINI.

Do ostatniej chwili

Cię nie opuszczę.

GWIDO

(drżący i wzruszony, zbliżając się).

Ojcze Hieronimie,

Czy ty poznajesz mnie?

SAVONAROLA (bardzo łagodnie).

Gwido Vespucci,

Tak, zwyciężyłeś, panie.

GWIDO.

Tys zwycięzcą,

A ja zgębiony błagam przebaczenia.

SAVONAROLA.

Niech ci przebaczy Bóg i twa ojczyzna.

(Przez drzwi wchodowe widać cisnący się
i wrzeszczący tłum).

GŁOSY WŚRÓD TŁUMU.

Heretyk! oszust! Na stos z nim! na stos!
Śmierć oszustowi. Ha! ha! ha! Niech prorok
Siebie wybawi! niechaj cud uczyni!...

SAVONAROLA

(cofa się ze wstrętem, idzie do stolika, bierze mały
krzyżyk drewniany, patrzy nań chwilę i do ust
pryciska).

Zbawiciel znosił też same zniewagi
Od ludu, który pragnął uszczęśliwić,
Przebac im Boże! Florencyi błogosław!

(Savonarola i Niccolini ze strażami wychodzą; na
widok Savonaroli tłum milknie i cofa się).

SCENA X.

GWIDO

(sam, — patrzy za odchodzącym).

Ow plebs florencki przez nas podniecony,
Przez nas noc całą pojony w winiarniach,
Cofnął się drżący, choć na krótką chwilę
Wstrząśnion widokiem męczennika twarzy.
O tak, czarownik on, co świat zwycięża
Największą siłą, bo wielkością duszy!

(słysząc za sceną znów wrzaski tłumu).

Śpi w piersi ludzkiej tygrys okrucieństwa,
Nauką wieszczów, mędrców ukołysan;
Przekleństwo wieków na głowę zbrodniarzy,
Co potwór ony w piersi ludzkiej budzą!
(przykleka przy krześle i głowę ukrywa w rękach).
Życie bym oddał, aby go ocalić.
I nic nie mogę, nic... jestem bezsilny.
Tak jak ja teraz, pogrążona w żalu,
Przez długie lata płakać zaślepienia
Florencya będzie, iż w szaleństwa chwili
Zabić swojego prawodawcę dała!

(Zasłona spada).

KONIEC.

DANIEL

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH
Z PROLOGIEM

OSOBY:

DANIEL, prorok izraelski.
BALTAZAR, król Assyryi.
BEROZES, satrapa Babilonu.
CYRUS, król Persów.
ARCHIMAG BELLURA.
JEHUA, arcykapłan izraelski.
JOACHIM, książę izraelski z rodu Dawida.
LIJA, jego żona.
SARA, ich córka.
AARON, ojciec Liji.
AFREJA, niewolnica Sary.
GUSTAP, eunuch Baltazara.

Magowie, kapłanki Melitty, dworzanie króla i Sary, chór Izraelitów i Izraelitek, wojsko assyryjskie i perskie, lud.

Rzecz dzieje się w Babilonie.

PROLOG.

Izba w domu Joachima. Stół nakryty i wieczerza sabatu zastawiona; świecznik sześcioramienny zapalony. Drzwi na prawo i na lewo, w głębi drzwi skryte. JOACHIM, LIJA, JEHUA.

SCENA I.

LIJA (do Joachima).

Błogosławiony niech będzie Jehowa,
Co cię w opiece swej potężnej chowa,
Iż cię z pielgrzymki na górę Syonu,
Szczęśliwie wrócił do Twojego domu!

JOACHIM.

Dzięki Mu, jako obyczaj chce stary,
Na górze świętej spełniłem ofiary.
Nieraz sądziłem pośród przygód drogi,
Iż już nie wrócę pod ten dach ubogi,
By z wami spożywać paschę.

JEHUA.

Szczęśliwy,
Stokroć szczęśliwy, kto Syonu mury

Mógł choć raz ujrzeć! Kto na szczycie góry
Świętej odpoczął, pod oliwek cieniem,
I jordanową zwilżył usta wodą!
I cóż świątynia?

JOACHIM.

Stos gruzów...

JEHUA.

Twój gniew Jehowa! A pałac Dawida? Strasźliwy

JOACHIM.

Zburzony...

JEHUA.

A też drzewa święte,
Cedry olbrzymie, co jeno ze drzeniem
Salomon do budowy swej świątyni
Używał?

JOACHIM.

Cedry Libanu wycięte.

JEHUA.

O! miłosierdzia czyż Pan nie uczyni?
Nie będziez kresu nieszczęśliwej doli?
Czyż Pan nas całkiem na zagładę wyda?
Cóż bracia nasi?

JOACHIM.

Pustką Syon stoi,
Mała gromadka zgnębiona w niewoli,
Po domach płacze. Na ulicach miasta,
Na rynkach, placach, dziki chwast wyrasta.

Na gruzach niegdyś wspaniałej świątyni,
Hieremiasz, płacząc, smutną lutnię stroi,
W żałobnej pieśni opiewa niewolę,
Rozpacz pobitych, własnej piersi bole.

JEHUA.

Czy nie dość kary, o Panie nad Pany?
Prawie wiek cały dźwigamy kajdany,
Dwa pokolenia obca ziemia kryje,
A to nieszczęsne, co obecnie żyje.
Z niskąd nie widzi ulgi, ni pociechy.
Nigdyż Jehowa proroka nie wzbudzi?

JOACHIM.

Nie bluźń! Ów prorok jest już w myślach ludzi.

JEHUA.

Jest? Któż on?

JOACHIM.

Dzisiaj lud cały pokłada
Wszelkie nadzieje na młodym Danielu.
Jeden, Zuzanny ów sąd opowiada,
Inny szlachetność i życie bez skazy,
Pośród zepsucia dworskiego zarazy.
Stary Hieremiasz nie spuszcza zeń oka,
Jako z przyszłego Judei proroka.

JEHUA.

Wielka powaga jest słów Hieremiasza;
Lecz zdala wszystko lepiej się wydawa...

Daniela owa przesadzona sława.
Był czas, żem również patrząc w jego czoło
Jasne i czyste i w owe zrenice,
W których się bóstwa odbijały blaski,
Z podzięką k'niebu podnosiłem lice,
Mysząc, iż wreszcie zawitał dzień łaski,
Ale...

JOACHIM.

Jakie ?

JEHUA.

On pierwszy po królu,
W onym gwarliwym babilońskim ulu.
On dzierży władzę. — Jakże jej używa ?
Czyliż niewola mniej jest uciążliwa ?
Czyliż szanują naszych domów progi ?
Czyż ucisk wiary choć trochę mniej srogi ?
On sam niestety targa przepis święty,
I w liczbę magów ma być dziś przyjęty!

JOACHIM.

To niepodobna! Może pozór myli,
On w rękę wrogów?... Może go zmusili ?

JEHUA.

Tu go wezwałem i wnet wybadamy,
Czy w nim proroka, czyli zdrajcę mamy.

JOACHIM.

Ufajmy Panu, — On nawet wśród kary,
Dobroci swojej udziela nam dary.

Kiedy pozwala nam w rodzinnem kole
Zabyć na chwilę narodowe bole.
Lijo! gdzie Sara? Czemu nie przybywa
Powitać ojca? Dziewica lękliwa
Rozkazu czeka? Wołaj, niech przybędzie,
A radość moja dziś zupełną będzie.

LIJA

(zakrywając twarz dłońmi).

Niestety!

JOACHIM (do siebie).

Jedno Jehowa mi dał ono dziecię,
Lecz to najdroższy jest mój skarb na świecie.
Jam ją przeznaczył w duszy dla Daniela,
Lecz gdy mu inna droga się rozściela,
Chętnie ją twojej Jehua opiece,
Miłości syna twojego polecę.
Lecz chociaż radbym mój szczep półuschnięty
Odżywić znowu i igrać z wnuczęty,
Trudno mi jednak przyjdzie ta odwaga,
Oddać w dom męża, jak zakon wymaga,
Moją jedyną...

JEHUA (ocierając spiesznie łzy).

Marność! Marność świata.
Wiernego serca nie zachwieje strata...

JOACHIM.

Strata? Co mówisz?

(ze współczuciem obejmuje rękę arcykapłana)

Czy syn twój?

LIJA (z jękiem).

O, biada!...

JOACHIM.

Cóż się stało? Nikt nie odpowiada?
Gdzie Sara?

LIJA (łkając).

Niemasz jej...

(chwila milczenia).

JOACHIM.

Wyrok Jehowy

Niech będzie pochwalon. — Jam znieść gotowy,
Kiedy ona umarła!

LIJA.

Ona żyje,

Lecz zmarła dla nas.

JOACHIM.

Cóż ta mowa kryje

Za tajemnice?

LIJA.

Przebac mężu drogi!

Łzem ci prawdę ukryła na chwilę
Przy twym powrocie, w te nieszczęsne progi.
Próżno na spokój udany się się...
Choć lud nasz cały udręcza los srogi,
Nikt nie był bardziej od nas nieszczęśliwy.

JOACHIM (tuląc ją).

Małżonko Lijo, wspomnij wzór Racheli.

LIJA.

A! jej synowie tylko poginęli,
Ona szczęśliwa!...

JOACHIM.

Cóż dowiem się jeszcze?

JEHUA.

Wśród babilońskiej bezwstydu zarazy,
Trudno gorszące usunąć obrazy
Przed młodych okiem...

LIJA.

Tu gdzie zepsucia przepaście bezdenne,
Te ich obrzędy, ich śpiewy, ich mowy,
Wszystko zapala młode, lekkie głowy,
Jak naszej Sary. Kiedy włos jej pieszczę,
Warkocz układam, albo gładzę lice,
Ona, zwracając płomienne źrenice,
Pyta mnie: »Matko! powiedz, co to szczęście?«
A ja jej na to: Córko, to zamęcie
Według praw bożych i miłość matczyna,
Nasz święty zakon, twój kraj i rodzina.
A ona pyta; »A złoto i władza?
A zemsta matko, co sercu dogadza?«
Milkłam strwożona i u stóp Jehowy
Błagałam, by odwrócił od jej głowy
Nieszczęście wszelkie.

JOACHIM.

Cóż, i cóż się stało?

LILJA.

Znikła, — przecucie moje nie kłamało.
Uciekła z domu.

(podając kawałek papyrusa Joachimowi).

To jej pożegnanie.

JOACHIM.

Liter nie widzę — racz arcykapłanie...

JEHUA (podchodzi i czyta).

- »Matko, bądź zdrowa! — Idę do świątyni
 - »Wielkiej Melitty, miłości bogini.
 - »Wszak jestem piękną, piękność wiele może,
 - »Mogę się oprzeć aż w królewskim dworze.
 - »Jeśli go ujrzysz, powiedz Danielowi,
 - »Iż go Jehowy ręka nie uchowa;
 - »Skoro się zdołam podobać królowi,
 - »Jako liść z drzewa spadnie jego głowa!...«
- O zgrozo!!!...

JOACHIM

(zatacza się i pada na krzesło).

Córka moja nierządnicą!!!...

Wszystko znieść mogłem, lecz jako Bóg żywy,
Tego nie mogę! Przodków cnoty świecą,
Ponad korony. — O, ja nieszczęśliwy!
Wróg twardą dłońią zdarł nasze purpury,
A ono jeszcze rozdarła raz wtóry!...

(bardzo rzewnie)

Uczyłem czytać ją z kart biblii świętych,

Kołysałem ją pieśnią proroków natchnionych,
Uczyłem cnoty, zaparcia, pokory.
Zon patryarchów miała w matce wzory.
A żaden bogacz z Fenicyanów ziemi,
Nigdy nie czuwał nad skarby swojemi,
Jako ja nad nią od pierwszego tchnienia,
Śledząc jej myśli, serca uderzenia.
Nie mogę przekląć jej występnej głowy.
Jehowo! nie karz, bądź nam litościwy,
Tyś nieśmiertelny, możesz być cierpliwy!
Pójdź do niej żono — to obłęd chwilowy...
Skąd w dziecku taka szalona odwaga?
Powiedz jej, powiedz, że ją ojciec błaga...
Niech wróci. Jedno mam tylko to dziecko,
Bez niej nie będzie komu zamknąć powiek.
Ja jej przebaczę!...

SCENA II.

Ciż, AARON, ociemniały, stuletni starzec.

AARON.

Kto wyrzekł to słowo?

Jaki to słaby i występny człowiek,
Śmie głos podnosić nad zakon Jehowy?
On nie przebacza, On nie zapomina!...
On Bogiem pomsty od zbrodni Kaina,
Karą swą ściga przeniwierców głowy!

SCENA III.

Ciż, wchodzi przez drzwi ukryte DANIEL w białej szacie, okryty ciemnym płaszczem, który zrzuca z siebie i stoi w głębi chwilę.

AARON.

Choć wzrok mój zagaś, ja duszy oczyma
Znajdę to prawo, które rządzi nami.

(zbliża się do tablicy przykazań, ręką wskazując pismo).

»Jednego czcuj Boga!...«

O, nędznemu
Biada! co łączyć się śmie z bluźniercami,
On obcy dla nas, a my obcy jemu!
Chociażby naszym był ojcem lub bratem,
Matką lub córką, synem albo swatem,
Przekleństwo jemu!... Przeklęta bądź, Saro,
Odkądś z ojców rozstała się wiara!
Przeklęty rok ów, tydzień i godzina,
W której się życie twoje rozpoczyna!
Ogniom Gehenny oddaję twą duszę
Na potępienia wiecznego katuszę!
A jeśli jeszcze za małą twa wina
By spełnić miarę, twój dziad cię przeklina!

DANIEL.

Zawzięty starcze dość!

AARON.

Co? głos Daniela?

Dobrze, iż słońce blasków nie udziela,
Ze cię nie widzę! Po szaty twej woni
Czuję skąd wracasz. — Skąd ta śmiałość płocha,
Abyś ty, tchnieniem skalany Molocha,
Próg ten przekroczył w dzień sabatu święty?
Precz stąd odstępco!...

JEHUA.

Starce nieugięty,
On tutaj przybył na moje wezwanie.

AARON.

Przebacz mi, Boga najwyższy kapłanie!
Ja nie widziałem, iż w moim nędznym progu
Przebywa pierwszy na ziemi po Bogu!...

DANIEL.

Starce, co błądząc wśród ciemności toni,
Zaledwo własnym zdołasz władać krokiem,
Możesz że zbadać, co w piersi człowieka
Ukryte, w głębi przed śmiertelnym okiem?
Kto ci zaręczy, iż gdyby w tej chwili
My serca nasze wzajemnie zmienili,
Ty byś nie uczuł, po raz pierwszy w życiu,
Co to jest boleść — i boleść prawdziwa?
I może właśnie, ów co myśli bada,
Co ludziom brzemień wedle woli wkłada,
Więcej zasługi w mem sercu odkrywa,
Niżeli w twojem?

W Syonie chowany,
Tyś się nie zrodził dźwigając kajdany;

Ciebie chroniła ojca ręka tkliwa,
W rodzinie brałeś cnotliwe przykłady,
Prawdziwej wiary niezłomne zasady.
Mnie zaś los rzucił, nieletnie pacholę,
Wśród komnat króla, w złożoną niewolę,
Na dwór zepsuty, wśród zepsutych ludzi.
Żelazny łańcuch tyle nie unuży,
Co złote jarzmo tej pańskiej obróży!

AARON.

Lud nasz o tobie wielkie myśli chowa,
Lecz czynu, nie słów wymaga Jehowa.
Ja ciebie nie znam. Dopóki ty z siebie
Tych szat nie zdejmiesz — ja nie chcę znać ciebie!
(odchodzi).

SCENA IV.

Ciż, prócz Aarona.

JEHUA.

Niezłomny starzec! W wolności zrodzeni,
Takimi byli syny judzkiej ziemi!

DANIEL.

Starzec, to często wóz wstrzymany w biegu,
Lub jak moneta, co wyszła z obiegu.
Przeszłości świetny pomnik bez użytku.
Zacni mężowie, czyż i wy mnie znacie
Jeszcze tak mało? Wy mnie posądzacie,

Żem w bałwochwalczym chowany przybytku,
Mógł prawdziwego odstąpić zakonu?

JEHUA.

Zbyt bliski jesteś Faraona tronu...

JOACHIM.

Tu w Babilonie mają krążyć wieści...

DANIEL.

I to już wszystko? Nie znacie powieści
O prawodawcy naszym, co w młodości
Był w łasce króla, prorokiem w starości?...

JEHUA.

Mojesz wždy stawał po stronie swej braci.

DANIEL.

Czyliż przezemnie Izrael co traci?
Cóż mam uczynić?

JEHUA.

O, ty wiele możesz!

DANIEL.

Dlatego jedynie
Przy królu jestem, by lud uciśniony
Zasłonić.

JEHUA.

Ujrzymy to w czynie.
Jutro masz pole. Wybrani z starszyny
Chcą błagać króla, by nigdy zabrane

Przez jego dziada ze świątyni czary,
Za wagę złota zostały wydane
I powrócone do dawnej ojczyzny.

DANIEL.

To nie jest pora! Wstrzymajcie się nieco,
Aż konstelacje nam lepsze zaświecą,
Teraz daremnie. — Nie wiem, kto udziela
Rad i gniew króla podnieca w tej porze,
Lecz on imienia nawet Izraela,
Bez oburzenia usłyszeć nie może!...

JEHUA (do Joachima).

Mówiłem...

DANIEL.

Co?

JEHUA.

Że jesteś lękliwy...

DANIEL.

Ja mam się lękać? O! czyliż ja mogę,
Gdyby szło o mnie, czuć najmniejszą trwogę?
W ręku Jehowy jam liche narzędzie...
Nie siebie, naród mam tylko na względzie!

JEHUA.

Więc jesteś wiernym Izraela synem?

DANIEL (jakby natchniony).

Przyjdzie czas w rychle, iż w obliczu wroga
Wiary dowiodę nie słowem, lecz czynem.

JEHUA.

Czegóż więc szukasz u Baala proga?

DANIEL.

Wiedzy!...

(Za sceną słycać gwar, śmiechy i przy odgłosie
muzyki śpiew za sceną).

Witaj piękny Boże, który
Niesiesz radość w nasze mury,
Co nam dajesz Syryi dary,
Złotopłynne win nektary,
Boże Bel Phegor!

Niech kto sławi dyamenty,
Słońce rozbitych świetne szczęty,
Mnie są miłsze perły piany,
Gdy po brzeg puhar nalany,
Boże Bel Phegor!

Gdy po brzeg puhar nalany,
Rubinowym płynem wina,
Przez zdobywców wielkie plany!
Miłsze wino i dziewczyna,
Boże Bel Phegor!

Już Adonis wstał z mogiły,
Krew nie płynie z jego ran,
Nam się czoła rozjaśniły,
A więc idźmy w skoczny tan,
Boże Bel Phegor!

JOACHIM.

Co to za śpiewy?

DANIEL.

Dziś Babilon cały
Szaleje pijany dla swych bogów chwały.
Osła Phegora, co wino corocznie
Przywozi z Syryi po Eufratu fali,
W tryumfie wodzi, mając go widocznie
Za żywy obraz swego winnic Boga!

JOACHIM.

Nędzni bluźniercy!...

SCENA V.

Ciż, wchodzi CHÓR LEWITÓW i CHÓR DZIEWIC.

JEHUA.

Przychodźcie w porę,
Aby rozpocząć modlitwy sabatu,
I świętą pieśnią zgłuszyć wrzaski wroga!
Ażeby uczcić naszą świętą Thorę.
Niech z piersi młodzi izraelskiej kwiatu,
Zabrzmi nam imię Jehowy!

CHÓR LEWITÓW.

Ponad Jordanem pasie Arab trzody,
Poganin na górze Syonu!
Bela wyznawcy czerpią święte wody
Na białych skałach Sinaii.

Silny Jehowa! Święty Addonai
Racz spojrzeć z twojego tronu,
Tu kędy niegdyś twej ręki dotknięcie
Złamało płyty kamienne!
Kędy twej chwały i łaski promienie
Nad ludem twoim świeciły,
Kędyś przywdziewał twe szaty płomienne,
Czyż nie masz uderzyć siły?
Niech gniew twój znowu zabłyśnie w piorunie,
Miecz wyrwij z ciemności dłoni,
Spraw, niech tyranów potęga runie,
Twe ucho ku nam się skłoni!
Wielki Jehowo! Ty królów Panie,
Niechaj twój kościół na nowo stanie!

CHÓR DZIEWIC.

Płaczmy nad temi, co wśród Babilonu
Łzy gorzkie leją niedoli,
I którzy jęcząc od pieluch do zgonu,
O ojczyźnie śnią w niewoli!
Płaczmy nad lutnią rozbitą Dawida,
Dźwięku już ona nie wyda!
Na miejscu świętem Jehowy ołtarza,
Poganin Boga znieważa!
Kiedyż Izrael obmyje swe stopy,
Usłszy śpiewy Syonu?
Kiedyż pieśń judzka pod święte stropy,
Zabrzmi harmonią tonu?
Wieczni tułacze, serca zrozpaczone,
Kiedyż nam łaska zaświeci?

Wszak ptak ma gniazdo i zwierz ma ochronę,
Ludy ojczyznę na świecie.

OBA CHÓRY.

I gwiazdy szlaki na niebie,
Izrael grób tylko dla siebie!..

(Zasłona spada).

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Galerya odkryta na szczycie wieży Bellusa, — do-
koła narzędzia astronomiczne Chaldejczyków. AR-
CHIMAG w białej szacie, ozdobionej bramowaniem
i frendlami, przytrzymanej złotym pasem i znakami
Zodjaku, — na ramionach płaszcz ciemny w złote
gwiazdy; — włosy i broda trefiona w długie loki,
na głowie tyara ze słońcem z dyamentu i takiż
naszyjnik i bransolety. — DANIEL w białej szacie
adepta, na czole przepaska purpurowa.

ARCHIMAG.

Dzięki twej cnocie i królewskiej łasce,
Twe czoło w magów jaśnieje przepasce.
Wstąpiłeś w grono pierwszych mędrców świata...
I pierwszy z obcych, co zaszczyt nie mały,
Tajemnic Bela dostąpiłeś chwały.
Tajniki wiedzy, co wieki długimi
Nagromadzili prawodawcy ziemi,
Zdołała objąć myśl twoja skrzydlata:

Widziałeś gwiazdy w ich biegu bez końca,
Umiesz obliczać czas na lata słońca,
Księżycą również bieg tobie wiadomy,
I te krążące w wszechświecie atomy;
Wiesz, jako znaki Zodiaku się schodzą,
Znasz konstelacje, co grożą lub szkodzą,
Ale wszystkiego nie wiesz jeszcze...

DANIEL.

Mistrzu, dzięki!

Zasłoneż cieni zdjąłeś z mego oka,
Jakoby ziemska spadła mi powłoka,
I wyzwolony mój umysł przeplata
Te wszystkie kręgi gwiazdzonego świata!
Mistrzu! czyś nigdy w gorącym zachwycie
Nie pragnął złączyć się z temi gwiazdami?
Wzlecieć w te kręgi, gdzie słońce się żarzy,
Kędy panuje wiekuiste życie!?

ARCHIMAG.

Mój młody uczniu, co tobie się marzy?
Cóż nas obchodzi to, co jest nad nami?
W światła pałacach, rzuconych w przestrzeni,
Mieszkają duchy, albo mędrców dusze;
Gdy umrzesz, może kto nazwę przemieni
Bellusa gwiazdy i da jej twe imię,
Jeśli takowe po świecie zasłynie.
Lecz to odległe. — Ja jednakże tuszę,
Iż ziemia, kędy życie nasze płynie,
Ta nas powinna zajmować jedynie.

DANIEL (jakby w ekstazie).

Ta ziemia niczem...

ARCHIMAG.

Nie bluźń! Ona rajem!...
Ileż radości na niej nie doznajem;
Każdy dzień nowe rozkosze sprowadza,
Bogactwo, chwała i miłość i władza!...
To wszystko mędrzec dzierży w swojej dłoni!...
A lud mu ciemny, aż do stóp się kłoni.

DANIEL.

A cnota?

ARCHIMAG.

Rozum jest cnotą jedynie.
Władza rozumu nigdy nie przeminie!
Widzisz, my resztki pobitego ludu,
Wiedzą, my tego dokazali cudu,
Iż Assyryjczyk korzy się przed nami,
I drżąc panuje nad Chaldejczyki.
Ty zwyciężonych więc potomku blady,
Przestań raz z okiem łąż wiecznie zroszonym,
Zwracać twe myśli za znikłym Syonem.
Podaj nam rękę i idź w nasze ślady.

DANIEL.

I coż wam po mnie?

ARCHIMAG.

Nam potrzeba ludzi,
Których wysoka zdolność podziw budzi.

Ty jesteś z onych — których myśl dla świata
Ustawy tworzy, co mogą przez lata,
Przez długie wieki jeszcze zostać władzą.
Ustawy magów do tego prowadzą.
Ty przez nas wsparty, my silni przez ciebie,
Wryjem prawa na ziemi i niebie,
Nad ludów głowy, nad monarsze trony,
Władzy tajemnej rozściełem zasłony.
I cóż? Ty milczysz?

DANIEL.

Nie jestem ambitny!...

ARCHIMAG.

Rozważ Danielu ów zamysł tak szczytny,
Świat jednym państwem. Jeden król na tronie
I jeden arcykapłan w słonecznej koronie!

DANIEL.

I jeden Bóg!

ARCHIMAG.

Milcz! Cześci Melitty
Babilońskie się nie zrzekną kobiety!
I pocóż zresztą obalać gmach stary,
Miłej dla ludu i uznanej wiary?
I cóż zależy na tem, w co lud wierzy?

DANIEL.

Więc w Baala nie wierzysz?

ARCHIMAG.

Bądźmy szczerzy,

Ostatnich tajni udzielię ci, synu:

(cicho oglądając się)

Baal jest niczem, — rąk naszych narzędzie,
To godło władzy i postrach dla gminu.
Baal to symbol, wiecznej twórczej siły,
To żywioł.

DANIEL.

I któż ten świat stworzył?

ARCHIMAG.

Przeczyć początku byłoby zuchwale;
Był ktoś, co szlaki owych gwiazd ułożył,
Co ład umocnił i poruszył fale.
Dawna tajemna, ukryta, nauka,
Co u nas idzie wciąż z dziada na wnuka,
Uczy, iż twórcą jest duch nieujęty,
I żadnym naszym zmysłem nie objęty.

DANIEL.

Tak, Jehowa!

ARCHIMAG

(patrzac nań, z trwogą).

Cóż to? Zadrzałem przed potęgą słowa?

(głośno)

Owemu Stwórcy, każdy mędrzec może
Nieść cześć w swym duchu, w głębokiej pokorze.
Lecz jak tłum skłonisz, ów tłum zbydlęcony,
Aby przed duchem wybijał pokłony?
Dla nich potrzeba symbolów bez końca:
Choć mają słońce, chcą obrazu słońca,

Im są potrzebne wyrocznie, kapłany,
I ołtarz Boga, krwią ofiar oblany.
Teraz Danielu, z pozoru i czynu,
Kapłanem Bela zostałeś dla gminu.
A więc pamiętaj, jakąbądź poruszy
Wątpliwość umysł, niech zostanie w duszy
Skrytą, jak perła w falach oceanu...
Pomnij, iż teraz wiele się zmieniło:
Co dworzanowi niegdyś uchodziło,
Słowo wątpliwość, lub w mowie odwaga,
Na stos, lub mękę mogą zawieść maga.
I choć cię kocham, w razie winy, muszę,
Czcząc króla wolę, zdać cię na katusze.

DANIEL (w zamyśleniu).
Król jest człowiekiem, jak każdy syn ziemi.

ARCHIMAG.

O cicho! cicho! z bluźnierstwy takimi!
Monarcha naszą ręką wyniesiony,
Przez nas powagą boską otoczony,
Stał się naprawdę bogiem. On w swej dłoni
Dzierży miecz i onego siłą kłoni
Pod swoje stopy nawet nasze głowy,
Chociaż na pozór korzyć się gotowy.
On rządzi myślą, nieledwie jak mową,
Czyn, słowo i myśl karząc jednakowo.
Tu na tej wieży, pięćset stóp nad ziemią,
Kiedy siepacz despotyzmu drzemiał,
Przysięgą straszną obydwaj wiązani,

Jesteśmy wolni, bo jesteśmy sami!..

(po chwili)

Lecz dość rozmyślań. Tyś młody, dokoła
Wszystko do szczęścia, rozkoszy cię woła,
A więc używaj! Raz jesteśmy młodzi!

DANIEL.

I jakże rozkosz z mądrością się zgodzi?

ARCHIMAG.

Mądrość to użyć. — Mądrość to narzędzie,
Co daje władzę i potęgę wszędzie.
Nakreślić ludziom ciasne, liczne prawa,
To rozum mędrca, on sam nie zna granic.
Całą rozkoszą życia się napawa,
Nic się nie lęka i nie zważa na nie!
Jeśli kto winien to ten, co go stworzył,
Co mu ten ciężar cielesny nałożył,
Co mu dał zmysły, co słońcu dał żary,
A ziemi skarbów i piękna bez miary.
Lecz na wpół widna planeta pasterzy...
Rychło na niebo jutrenka wybieży,
Zejdźmy!

DANIEL.

Zostanę chwilę...

ARCHIMAG (do siebie).

Przyjacielu,
Mam cię w mem ręku! — Jesteśmy u celu...
(głośno)

Ufam, iż jutro Baal przy ofierze,
Razem z naszymi i twój hołd odbierze.
(schodzi).

SCENA II.

DANIEL (sam).

Twą wiedzę drogoś mi sprzedał człowiecze!
Mądrość obłudą — obłudą mądrością,
I w tem, bez wyjścia, wiecznie błędząc kole,
Nauka twoja graniczy z nicością!...
Ten świat tak wielki, a człowiek tak mały...
Spadają gwiazdy, zagasają słońca,
A życie płynie i płynie bez końca,
Jak przelot muchy nasz tu żywot cały;
I po cóż wszelkie rozpaczę i bole?
A jednak — gdyby? Jakiś ogień piecze
Mi tutaj łono, — oddycham płomieniem...
Ach! świat tak piękny, jak był przed straceniem
Ziemskiego rajy...

(słysząc zdala śpiewy)

Te zdradzieckie dźwięki

Pełzną, jak węże, oplatają duszę...
Można zapomnieć niewoli katusze,
Kraj utracony, nawet braci jęki...

(nagle z przerażeniem)

Com ja śmiał wyrzec? Com wyrzekł? Jehowa!
Przebacz nie słuchaj szaleństwa wyrazu!
O! niech wszechmocna dłoń Twa mnie zachowa,

Od babilońskiej miękkości obrazu,
Jak pacholeta wśród ognia płomieni,
Ty zachowałeś pod skrzydłami Twemi!
(wpatrzony chwilę w niebo, jakby w ekstazie, po
długiej chwili spokojnie i chłodno)

O, tyś nie dla mnie, ty ziemską wielkości!
Nie dla mnie szczęście, co wśród ludzi gości;
Bo dłoń Jehowy na mem młodem czole,
Proroctwa wieczne wytłoczyła bole...
Cóż mnie zachwyca? Czyż nie wiem, że mija
Chwała i władza, jak polna lilija?
I ty potężna Assyrów stolico,
Piękna, rozkoszna świata rozpustnico,
I ty przeminiesz... Ponad twoje mury,
Piasków pustynnych podniosą się góry,
Wielbłąda suchą potracone nogą;
A w tych zwaliskach nie spotka nikogo,
Obcy wędrowiec, co by wytłumaczył,
Kto wznosił mur ony i co kiedy znaczył.

(Zasłona spada).

ODSŁONA DRUGA.

SCENA III.

Niższa część świątyni Bellusa, czci bogini miłości
Melitty poświęcona. Na lewo schody, wiodące do
pięter wyższych. W głębi, pośrodku, wspaniały
ottarz Melitty, przystrojony kwiatami, — dużo lamp

i kadzielnic dymiących. Na prawo framugi otwarte, w których na kobiercach śpią kapłanki Melitty. — SARA w stroju assyryjskim, świecąca od klejnotów, owinięta białą przezrystą zasłoną. — AFREJA. — Jedna z kapłanek, uwieczona kwiatami, na której widać wielkie znużenie, śpi na stopniach ołtarza.

SARA (patrzac na schody).
Czyliż i dziś nie przyjdzie? Wszak na wieżę
Innego wejścia nie ma?

AFREJA.
Po co czekać?
Jeszcze ten Gustap, podejrzliwe zwierzę,
Nas tu zastanie — królowi doniesie...
Pójdźmy co rychlej, niebezpiecznie zwlekać...

SARA.
Czego się lękasz? Nie jesteśmy w lesie,
A najwspanialszej na ziemi świątyni;
Nikt nabożeństwa zbytkiem nie zawini
Dla potężnej Melitty.

AFREJA (tajemniczo).
Nie wiesz, pani,
To miejsce takie, kędy my, poddani,
Zabaw szukamy... Lecz Assyrii królowa
Przyszła...

SARA (z goryczą).
Królowa w pałacu tam.

AFREJA.
Kona...
A nad twą głową Assyrii korona!

SARA (do siebie).
Kona!?!... (głośno).
Kto podniósł ołtarz ten i mury?

AFREJA.
Semiramida niezgastej pamięci,
Wiedząc, iż rozkosz zawsze ludzi nęci,
Melitty świetne podniosła ołtarze,
I odtąd wszystkie ludzkie syny w darze
Bogini niosą swe dary i złoto,
Babilonami mieniać się z ochotą.

SARA.
Semirada?... I jam z królów rodu,
Co niegdyś ziemią zarządzali sławną,
Wielcy pasterze Bożego narodu...
Chluba rodziców co dziś płaczą straty,
Swobodna kwitłam, jak na łące kwiaty...
To było niegdyś... Tak dawno! Tak dawno!
(gwałtownie i namiętnie)

Czy ty wiesz, co to jest miłość, Afreja?
Czy ty wiesz, co to w pustyni zawieja,
Gdy Simun wstanie i krokiem olbrzyma
Przebiega ziemię, i nic go nie wstrzyma?
Czy ty wiesz, co to rzeka rozhukana,
Gdy pędzi z szczytów, śniegami wezbrana,

Miasta i lasy i łąki zaléwa,
I wszelką tamę na swej drodze zrywa?
O! ponad potok, nad wichler pustyni,
Miłość straszniejsze spustoszenia czyni.

AFREJA.

Boginię błagaj!

SARA (cofając się).

Ja składać ofiary?!...

AFREJA

(wskazując na czarę napełnioną węglem).

Zar tu gotowy — a trudu niewiele,
Rzuć garść kadzidła i wypowiedz śmieie,
O co ją błagasz. Cuda nie do wiary
O jej potędze ludzie powiadają;
Zwycięzców serc twarde, jak opoka,
Tają pod blaskiem jej boskiego oka.
U stóp jej, berła swe składają króle,
Lwy i tygrysy jej władzę uznają;
Ona i twoje ułagodzi bóle.

SARA.

Dobrze, spróbuję.

(z goryczą i boleścią, do siebie)

Wszakże ja dni tyle,

Płacząc i jęcząc, i z włosami w pyle,
Wzywałam próżno imienia Jehowy!
Lecz ten zawzięty Bóg pozostał głuchy
I na łzy bólu i na wyraz skruchy!

(budząc kapłankę).

Mihrza!

KAPŁANKA.

Nie śpię. — Kto tam? Tyżes Saro?
Tak się spóźniłaś ze swoją ofiarą?...

SARA.

Lub pospieszyła, wszak widzisz, już dnieje!

KAPŁANKA.

Takam znużona!... Pobożni przybyli,
Od dni dziesięciu wytchnienia ni chwili.
Cóż to, czy świetne zawiąły nadzieje?
Czyli, niestety, król cię już nie kocha?
I łaska pańska, jak zazwyczaj płocha?...

SARA.

Milcz! Tam gdzie ja jestem, tam nie będzie nowej
Nigdy kochanki, ni nawet królowej...

AFREJA (do Mihrzy).

Daj mi kadzidło, a sama idź zasnąć.

KAPŁANKA.

Pomnij, iż ogień nie może zagasnąć,
Padam z znużenia.

(kładzie się i zasypia)

Czas zacząć ofiary.

AFREJA

podaje kadzidło Sarze, zdejmuje jej z głowy za-
stłonę, włos rozpuszcza i wkłada jej na głowę jeden
z wieńców.

SARA (biorąc kadzidło).
Tak, czas już zacząć! Już gore Gehenna!

AFREJA.
Najpierwej wzywaj bogini imienia.

SARA.
Cześć ci Melitto! Przychodzę w pokorze,
Ufna, iż twoja moc mi pomoże!

(sypie kadzidło)
Cześć ci Melitto!
(cofa się z przerażeniem)

Jakie wstają mary
Tu przed ołtarzami, tu przepaść bezdenna...
Jehowa! Twego nie ściągań ramienia!...

AFREJA.
Pani, ty bluźnisz! Co znaczy ta trwoga?
Ty śmiesz wymawiać obce imię boga?
Patrz, — gdzież tu widma, przepaście lub mary?
Nic nie zmaćilo twej wonnej ofiary,
Przeciwnie, patrzaj, chmurką lekką, siną,
Dymy z kadzielnic ku bogini płyną.

SCENA IV.

Też, — ze wschodów w głębi, z lampą w rękę, schodzi DANIEL; ołtarz zasłania mu Sarę.

DANIEL (schodząc, mówi do siebie).
Gniazdo nieczyste hańby i swawoli!

Wstręt duszę wstrząsa i serce mnie boli,
Ilekróć muszę przechodzić te koła,
Nad duszy ludzkiej sromotnym upadkiem,
I nad szalbierstwem, któregom jest świadkiem,
Onych kapłanek wytartego czoła.

(sposzrzęglszy Sarę cofa się przerażony i upuszcza lampę)

Sara!?!?

SARA.
Ja, Danielu...

DANIEL
(wyrrywając jej z rąk czarę z kadzidłem).
Rzuć to, nieszczęsna!

SARA.
Kapłanie Bela, ja składam ofiarę.

DANIEL.
Dlaczego ojców podeptałaś wiarę?
Dlaczego podeptałaś? W jakim celu?

SARA (szydąc).
Czemu te szaty przywdziałeś, Danielu?

DANIEL (do siebie).
Nad wszystko boli upadek narodu,
Lecz srożej jeszcze boli upodlenie!...
(do Sary)
Ty, córko królów, ty z Dawida rodu,
W stroju poganki! W jaskini zepsucia!...

Słuchaj! Jeżeli masz choć iskrę czucia,
Idź stąd nieszczęsna! Bo ono sklepienie
Nad twą występłą zapadnie się głową...
Tam serce ojca twego, każdej chwili,
Z boleści pęka. Tam matkę sędziwą
Rozpacz zabija!

SARA.

Cóż cię to obchodzi?
Wszak tu o wielkie twe plany nie chodzi.
Cha! cha! świat nie drgnie w swej wiecznej posadzie,
Że twarz odkryłam, że mój włos w nieładzie.
Wracać zapóźno. — A przestrogi słowa,
Niech przysły prorok dla siebie zachowa.
Jam Baltazara kochanką!... Zobaczysz
Czyli u władcy ty tak wiele znaczysz,
By, kiedy twojej ja zażądam głowy,
Mojego pana doznała odmowy!

DANIEL.

Za co mnie ścigasz?

SARA.

Ja kochałam ciebie,
Nad wszystko w świecie, nad Jehowę w niebie,
Ja ze krwi królów, ja czysta dziewica,
Ja w Babilonie pierwsza krasą lica,
I tyś odrzucił miłość taką!

DANIEL.

Dziecię!

Czyż ja się kiedy przyglądam kobiecie?
Puść mnie!

SARA.

Danielu! otworzę ci duszę,
Ja cię na chwilę chociaż wzruszyć muszę.
Czyliś ty sądzisz, iż ja mojej winy,
Mojej hańby nie znam? Iż ja nie boleję,
Nad mą królewską dolą łez nie leję?
Że ja nie czuję, iż za mną została
Cnota i szczęście i niewieścia chwała?
Lecz jam nie winna, — tyś winien Danielu!

DANIEL.

Ja? O, Jehowa, widzisz moje czyny!

SARA.

Ty, z lat dziecięcych moich, przyjacielu,
Ty mogłeś ręką silną, bo kochaną,
Od zguby wstrzymać, — mogłeś i nie chciałeś!...
O, ty walk moich i łez nie widziałeś...
Szalałam z bólu! Chcąc się mścić nad tobą,
Ja się najsrożej zemściłam nad sobą!...

DANIEL.

Saro!

SARA.

O powtórz, powtórz moje imię!
Twój głos tak słodko do duszy mej płynie.
Podaj mi rękę, ja za miłość twoję
Oddam świat cały! Rzucę te podwoje,
Za tobą pójde w podziemne jaskinie,
Za rzeki, góry, w najdzikszycie pustynie.

Jako Abraham niegdyś z swoją Sarą,
Wskresim do życia ojców powieść starą!

DANIEL.

Nie bluźń niewiasto! Nie bluźń przeciw Bogu!
Sama skalana i w nieczystym progu.
Przodków świętego nie wzywaj imienia!
Niewiasto płocha, ty żadasz odemnie,
Bym dla miłości znikomego cienia
Zabył, com winien ludowi swojemu,
Co pod popiołem w łzach błaga codziennie,
O wyzwolenie z gniojącej niewoli,
I jęcząc wzdycha ku Bogu swojemu?!
Serce mi pęka na widok niedoli,
Bóg wielkie losy już waży na szali...
Rychło, najpierwszy tron świata się zwali,
A ty śmiesz żądać, bym dla twej pieścioty
Odbiegł mej braci i wyrzekł się cnoty!?

SARA.

Znów odepchnięta...

(z wściekłością i ironią)

Baala kapłanie!...

Szalony jesteś! Jutrzejsze świtanie,
Gdy na ofiarę liczny lud zgromadzi,
Wobec monarchy usłyszemy radzi,
Pełne zapału twej wiary wyznanie!...
Obaczym wtedy, czy twoja wymowa,
Wobec siepaczy swoją moc zachowa!
Lecz wiedz, iż odtąd twój los mnie nie wzruszy,

I pragnę ujrzeć cię pośród katuszy!
Jak ty me serce, niech szarpia tve ciało...

DANIEL.

O nieszczęśliwa, co się z tobą stało?
Co za szal... Saro — jeżeli zobaczę
Twoich rodziców, cóż powiem od ciebie?

SARA.

Że ja się śmieję, a nigdy nie płaczę.
Żem zmarła dla nich.. że ni tu, ni w niebie
Już mnie nie ujrzą...

(odwraca się i odchodzi. — Daniel podnosi ręce do
góry i z rozpaczą zwraca się w przeciwną stronę).

(Zasłona spada).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Wspaniała sala w pałacu królewskim, — w głębi na prawo i na lewo purpurowe zasłony w złote frendzle, na ziemi barwne kobierce, pośrodku stół złoty, na którym cylindry pokryte éwiekopismem, owinięte w złotogłów; przy stole stoi krzesło złoczone z poduszką purpurową; na prawo sofy niskie, kosztownymi tkaninami pokryte, na lewo złoty ołtarz Bellusa, otoczony kadzielnicami. — **BALTAZAR**, w bogatej szacie assyryjskich władców, lśniący od brylantów, włosy i broda utrefione w długie loki.

BALTAZAR (sam, — czyta).

- »Assurnazirabela, syn Baala,
 - »Wzniósł tę świątynię, tu, w grodzie uroku,
 - »Ku czci największej bogini, co zwala
 - »Pod jego stopy Urotru narody,
 - »I wszelkie inne ziemie i grody;
 - »Cześć ci, o wielki przodku Bel Marduku«.
- Otom wyczytał cylinder ostatni —

Z onych, co wielcy władcy Babilonu
Pod ziemię skryli. — Cały orszak bratni
Bóstw, jam zgromadził koło mego tronu,
Jako Baala dwór. — Wzniosłem świątynię
Onym przybyszom, kędy wiecznie płynie
U ich ołtarzy woń świętych kadzielnic.
Cóż pocznę teraz? Już ze wszystkich dzielnic
Trybut ściągnąłem, zagrzebany w pyle
Pism starożytnych — nie znalazłem tyle,
Ni nawet tyle nowego, — lecz Magi,
Którzy pilnują niebios równowagi,
Powinni wiedzieć co się kryje w ziemi,
I mnie tu wesprzeć darami swojemi...
Nudzę się. Stokroć ustawa przeklęta,
Co ponad ludzkość wyniosła księżęta.
Tak, jestem bogiem. — Starożytne księgi
Uczą, iż przodki niebieskimi kręgi,
Rządzą zupełnie tak, jak ja na ziemi,
Oni gwiazdami a ja poddanymi.
Gdybym mógł być człowiekiem? Wtedy może
Bym się nie nudził. — Gdzie spojrzę dokoła,
Nagięte karki, pochylone czoła.
Co oni czują? Czemu na ich twarzy
Nigdy się promień uczuć nie rozżarzy,
Wieczysty uśmiech na ustach przywartu...
Lud tak szczęśliwy? czy taki uparty?
Czemu szczęśliwy, gdy ja nieszczęśliwy,
Dlaczego na mnie ów wyrok straszliwy,
Bym w całym świecie ja nie miał drugiego,
Ani nademną, ani mnie równego?

SCENA II.

BALTAZAR. — GUSTAP wchodzi pochylony i pada
twarzą na ziemię przed władcą.

BALTAZAR.

Czego żądasz? Zbliź się!

GUSTAP.

Czy przemówić mogę?

BALTAZAR.

Mów.

GUSTAP.

Synu Bellusa, wielki Baltazarze!
Potomku słońca a bracie księżyca!
Hebreyów starsi: kapłani, pisarze,
Błagają łaski, aby twego lica
Cień ujrzyć mogli.

BALTAZAR.

Zawsze lud zuchwały...

Skąd znów Hebrejom przyszedł pomysł śmiały,
Przedemną stawać? Satrap Babilonu,
Z Danielem niech się stawia u stóp tronu.

(Gustap odchodzi).

SCENA III.

BALTAZAR (sam).

O ile liczne ludy znam z ich dziejów,
Najnieznośniejsze mi plemię Hebrejów!

Wciąż nieszczęśliwi, — muszą być zbrodniarze...
Wśród innych ludów śmiejącego koła,
Z wieczystym smutkiem schylonego czoła
Stoją, jak zmarły, co Egipcyan kładzie
W rogu komnaty, przy świetnej biesiadzie.
I dziwna jakaś tajemnicza wiara.
Ja jej nie cierpię — nie cierpi jej Sara!

(biorąc jedną z tablic)

Z ksiąg tych odwiecznych, pisanych w niebiosach,
O przyszłych Judy dowiemy się losach.
Cóż to? »Lud błady z nad Jordanu fali,
»Przetrwa swą wiarą, stojąc w wieków dali
»Jako świadek narodów«.

(rzuca tablicę)

Ja ich zgładzę!

Wyrocznie marność wobec mojej władzy!

SCENA IV.

BALTAZAR, BEROZES, DANIEL. — Berozes przykłęka,
Daniel tylko schyla głowę przed królem.

BEROZES.

Potomku bogów, czekamy rozkazu.

BALTAZAR.

Wstań i bez wstępów powiedz mi odrazu,
Czego chcą Hebrejczycy?

BEROZES.

Co? Hebrejów
(z podziwem)

Ja nie widziałem.

BALTAZAR.

A więc oni śmieli
Przyść prosto do mnie? Ciebie pominęli,
Nędzni! Państwowe zdeptali ustawy,
Najsroźszej kary godni!

DANIEL.

Bądź łaskawy,
Wszak słońce równo rozrzuca swe blaski
Na kij żebraczy, jak królów przepaski!

BALTAZAR.

Tyżes mój mądry, wierny przyjacielu,
Za Hebrejami przemawiasz, Danielu?

DANIEL.

Wybaczyć zechciej, iż w nagłej potrzebie,
W twej dla mnie łasce kładąc zaufanie,
Przezemnie oni śmia upraszać ciebie,
O naczyń onych z świątyni oddanie,
Które zdobyte przez twojego dziada,
Monarszy skarbiec dotychczas posiada,
W zamian ci za nie lud hebrejski składa
Miar dziesięć złota.

BALTAZAR.

A więc tak bogaci?
Zostanie złoto — skarb na tem nie straci,
I naczynia zostaną.

DANIEL.

Racz uwzględnić, panie,
Lud nieszczęśliwy, niewolą znękany,
Od swych ojczystych ognisk oderwany...

BALTAZAR.

Cóż to nieszczęście?

DANIEL.

Na takie pytanie
Bodajbys królu nie znał odpowiedzi.

BEROZES.

O los Judei tak Daniel się biedzi?
Cóż cię obchodzą?

DANIEL.

Wzywają opieki.
Są, jak my wszyscy, króla poddanymi,
A ja, jak zwykle, zbyt jestem daleki
Łasce monarszej kłaść jakieś granice.

BEROZES.

To króla wrogi.

DANIEL.

I jakież ich winy?

BEROZES.

Ich wzrok ponury ostrzega o zdradzie.

DANIEL.

Czy biorą udział w ulicznym nieładzie?

Czyli najpierwsi nie znoszą daniny?

O! jeśli przyjdzie obawiać się zdrady,

(patrzac na Berozesa)

Nie wśród Hebrejów znajdziemy jej ślady.

BEROZES (z gniewem tłumionym).

Kędyż jej szukać?

DANIEL.

W twojej właśnie rodzinie.

BALTAZAR.

Co? Co?

DANIEL.

Teść jego, a satrap Niniwy...

BEROZES (przerywa).

Mój teść, jak zwykle wierny i gorliwy...

DANIEL.

Otworzył Persom mury swego miasta.

BEROZES.

To fałsz! To potwarz! Za chwilę tu stanie;

Rozkaz monarchy mu zaraz posłałem,

I on, na Bela pierwsze zawołanie,

Złoży swój urząd z posłuszeństwem całym.

DANIEL.

Próżna słów strata.

(do króla)

Oto są dowody:

Niniwa wzięta, Persy Tygru wody

Już przeszli...

BALTAZAR.

Dawaj! Niecierpliwość wzrasta.

DANIEL (podając mu papyrus).

Oto co pisze jeden Mag z Niniwy,

Naoczny świadek.

BEROZES (do siebie).

O dniu nieszczęśliwy!

BALTAZAR (czytając).

Nikczemnik! Zdrajca! »Przystrojone bramy,

»Jak wybawiciel Cyrus wszedł witany...

»Zdradziecki satrap u Cyrusa tronu,

»Ma dawną godność piastować do zgonu«.

BEROZES (na stronie).

Szlachetny zwycięzca.

BALTAZAR.

Mówisz?

BEROZES.

Jak zdrajców

Ukarać mamy?

BALTAZAR.

W pień wyciąć mieszkańców,
Miasto przeorać, niech zniknie ślad z ziemi,
Kędy Niniwa wieżami dumnymi
Strzelała w niebo.

DANIEL.

Pomiędzy winnymi
Są i niewinni.

BALTAZAR.

Przed mojem obliczem
Wszyscy są winni — i wszyscy są niczem!
(do Bezoresa)

Ty zaś wybieraj: powolną śmierć z głodu,
Zamurowany w jednej z grot ogrodu,
Albo z obciętym nosem i uszami,
Dostaw mi twego teścia.

BEROZES.

Bel, co jest nad nami,
Widzi, jak zdradą nikczemną się brzydzę;
I czynów teścia mego nienawidzę.
Wielki Bel słyszy moje szczere słowa;
Iż teść jest obcym dla mnie. Jak obcego
Ścigałbym, nawet ojca rodzzonego,
Na rozkaz mego władcy.

BALTAZAR.

Powiem szczerze,
Iż słowom zwykle bardzo mało wierze.
Łaskę mą wróci tobie teścia głowa...

Idź, ściągnij wojska... Pomnij, Berozesie,
Iż myśl twą nawet mi wietrzyk przyniesie,
Pomnij!...

(Berozes pokłonem żegna króla i odchodzi).

SCENA V.

BALTAZAR i DANIEL.

BALTAZAR.

Jeśli słyszałeś, powiedz mi otwarcie,
Kto jest ów Cyrus? Jakiś pastuch może,
Co zebrał zgraję, licząc na poparcie
Tłumów w rabunku?

DANIEL.

To król Persów, panie.

BALTAZAR.

Persy wiekową zerwali obrożę?
Zaszkodzić państwu oni nie są w stanie,
I miecz ukróci zuchwałość zbrodniarzy.
Niemniej ty wiernie stoisz mi na straży,
I twym dłużnikiem znów jestem, Danielu.
W rządzie monarchią tyś moją prawicą,
W pałacu okiem co od zdrady strzeże...
W niczyją szczerłość, tylko w twoją wierzę!
Jak cię nagrodzić? Z najpierwszą dziewicą
Połączę ciebie, dam dziesięć miast w darze,
Twój posąg każę podnieść na oltarze!

DANIEL.

Dzięki! O dzięki, panie! To za wiele!..
Mój umysł nigdy nie sięga tak śmieie.
Ja nic nie pragnę! Ja wszelkich dóbr ziemi
Nie pragnę zgoła. — Ja brzydzę się niemi.

BALTAZAR.

Szczególny człowiek. — Cóż ty ścigasz w życiu?

DANIEL.

Wiedzę — i tobie chcę służyć w ukryciu!
Lecz o mnie mniejsza. — Racz wybaczyć, panie...
Czyliż Babilon bez straży zostanie?

BALTAZAR.

Jesteś dziś nudny z tem piętnem powagi,
Jak wszystkie razem wzięte stare Magi!

DANIEL.

O bezpieczeństwie pomyślny stolicy.

BALTAZAR.

Gdzież jest bezpieczniej? Co tobie się stało?
Czyż wrogów mamy w miasta okolicy?

DANIEL.

Przez zbytnią ufność runęło nie mało
Monarchii w świecie.

BALTAZAR.

Któż równy mej sile,
Przed mą potęgą nie upadnie w pyle?

DANIEL (w zamyśleniu).

Kto?... Pozwól, panie, niech na straży czele
Stanie Afrasiab — miasta zamknie bramy,
Eufratu wszystkie pootwierać tamy...

BALTAZAR.

Wszak jest Berozes.

DANIEL.

Nie liczyłbym wiele...
Przytem on spieszyć winien do Niniwy.
Nim ściągnie wojska, żywności zapasy,
Jako wymaga pochód uciążliwy,
I tak dnie miną. — Niepewne są czasy...
Lepiej nie wszystko w jedne składać dłonie.

BALTAZAR.

Tak, ty masz słusność. Idź, wydaj rozkazy,
Nie mi nie grozi, gdy stoisz przy tronie,
Ty przyjacielu i sługo bez skazy!

(daje mu bransoletę)

Masz znak mej władzy, niech słuchają ciebie,
Jak mnie na ziemi, Bellusa na niebie.
Dziś Bellusowi mamy złożyć dary,
Przy mnie stać będziesz podczas tej ofiary,
Pomnij i przybądź.

(Daniel kłania się i odchodzi).

SCENA VI.

BALTAZAR. — SARA wbiega.

BALTAZAR (z radością).

To bogów natchnienie
Tu cię przywiodło. Twych oczu wejrzenie
Rozjaśnia nawet majestatu blaski!

SARA.

Panie, ja wszystko słyszałam w ukryciu!..
Niebezpieczeństwo grozi twemu życiu!..
Straszne na świecie są zdrady i zbrodnie!
Ten Daniel..

BALTAZAR (śmiejąc się).

Co? Daniel i zdrada?
Jakże to w głowie twojej się układa?
Jestem ciekawy?

SARA.

Ufać niebezpiecznie.
Panie, ten Daniel, twemi obsypany łaski,
Tak drogi tobie — ten Daniel cię zdradza!

BALTAZAR.

Na nim najsilniej wsparta moja władza.
(perswadując)
Czyż ci koniecznie, różo Babilonu,
Czyliż do życia trzeba ci koniecznie
Słyszeć jęk tortur, ostatnie westchnienia?
Wszystkich chcesz zgładzić w koło mego tronu?

SARA.

Ten tłum ma twoje oblicze zacienia!

BALTAZAR.

Zostaw Daniela! Ja mam tylko sługi,
Sprzedajne sługi, jeden jak i drugi..
W nim przyjaciela tylko mam wiernego..
Zostaw Daniela! Krwi tobie potrzeba?
Daję ci wszystkich urzędników dworu,
Wszystkich satrapów głowy do wyboru!

SARA.

Ja krwi nie żądam. Czem możesz, o nieba,
Panie, tłumaczyć mej miłości słowa,
Dziką krwi żądzą? Niech mnie Bel zachowa!
Ale ten Daniel..

BALTAZAR.

Sara, dosyć tego,
Choć poświęciłem tobie nie jednego,
Daniela nie poświęcę.

SARA.

On twym wrogiem,
Czoła nie schyla przed Assyri bogiem,
Wielkim Baalem, twym przodkiem Nemrodem,
Nie czci Melitty. — On ze swym narodem
Im bluźni!

BALTAZAR.

On, mag?

SARA.

On jest żydem!!

BALTAZAR.

On? Niepodobna! Nie, ty jesteś w błędzie.
Kto będzie czystym, jeśli on nie będzie?
On, on ozdoba Babilonów grodu,
Byłby potomkiem plugawym narodu
Niewolników!?

SARA.

Królu, to lud dawny,
Niegdyś na równi z Assyrami sławny!

BALTAZAR.

Co ty śmiesz mówić?

SARA (do siebie).

Ha, zdradzam się sama.

(głośno)

Powtarzam tylko, com niegdyś słyszała.

BALTAZAR.

Na nim by miała ciążyć taka plama?
Słowa nie starczą. Wymagam dowodu.

SARA.

Żądasz dowodu? A taż mowa śmiała
W obronie żydów?

BALTAZAR.

To jeszcze nie wina.

SARA.

Za chwilę święty obrzęd się zaczyna,
Ku czci Bellusa i Melitty chwale,

Każ uczestnikiem mu być tej ofiary,
Za ciebie złożyć na ołtarzu dary;
A ujrysz, czyli bezmyślnie, zuchwale
Oskarżam twego ulubieńca, panie.

BALTAZAR.

On miałby moich nie spełnić rozkazów..

SARA.

Nie spełni.

BALTAZAR.

Jeśli przeciwnie się stanie,
Choć cię miłuję, ukarzę cię, Saro,
Ukarzę srogo. — Nie cofniesz wyrazów,
Które przed chwilą..

SARA.

Ja będę ofiarą,
Lecz gdy nie spełni?

BALTAZAR.

Jego spadnie głowa.

SARA.

Dobrze. — Nie cofniesz królewskiego słowa?

BALTAZAR.

To słowo święte.

SARA.

Rozpogódź twe czoło;

Rozproszą troski rozkoszne obrazy,
Dźwięki muzyki, lekkie tańca koło,
Pójdźmy do naszej wiszącej oazy,

Przy szmerze źródeł, pod chłodnikiem z róży,
W mojem objęciu zapomnisz tej burzy.

BALTAZAR.

Wężu zdradliwy, wiesz że twa wygrana,
Boś zawsze piękna, więc zawsze kochana.

(Zastona spada).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Na prawo wejście do pałacu królewskiego. Olbrzymie filary portyku, od którego wiodą schody na dół. U góry, nad wschodami, tron królewski, zasłonięty purpurową zastoną. — Na lewo część świątyni; w głębi, na wysokim bardzo piedestale złoty posąg Bellusa, kadzielnicami obstawiony, a za nim wspaniała brama. Po obu jej stronach ciągną się na ogromnych filarach oparte wiszące ogrody. — Na prawo od posągu, na podwyższeniu, rodzaj tronu, na którym siedzi wspaniale przyodziana niewiasta w koronie na głowie; na lewo tron archimaga. — Archimag siedzi na swym tronie, otoczony magami. Strojne dziewczęta otaczają niewiastę siedzącą na tronie. — Lud zapełnia scenę. Przed pałacem króla strażę. Kilku bogatych mieszkańców Babilonu.

PIERWSZY MIESZKANIEC

(cicho do drugiego).

Niniwa wzięta.

DRUGI MIESZKANIEC.

Raczej się poddała.

PIERWSZY MIESZKANIEC.

I cóż, mieszkańcy wyróżnięci?

DRUGI MIESZKANIEC

(śmiejąc się).

Cóż znowu?

Ludzkość Cyrusa jest największa chwała!

PIERWSZY MIESZKANIEC.

Lecz żołnierz zwykle jest chciwy obłowy.

DRUGI MIESZKANIEC.

Pers ani myśli niszczyć lub rabować...

PIERWSZY MIESZKANIEC.

Po cóż przychodzi tu?

DRUGI MIESZKANIEC (tajemniczo).

By nam panować.

TRZECI MIESZKANIEC (nadchodząc).

Ujrzym dziś króla?

PIERWSZY MIESZKANIEC.

Rok słoneczny mija

Jak go widziałem.

TRZECI MIESZKANIEC

I ja, lecz co do mnie,

Iż nam panuje mam dobrze w pamięci.

DRUGI MIESZKANIEC.

Cóż ci się stało?

TRZECI MIESZKANIEC.

Zaledwo gotowy

Mój dom tam stanął, nad Eufratu brzegiem,
Zburzyć kazano, — bowiem ogród nowy
Zakładać mają.

PIERWSZY MIESZKANIEC.

Król zapłaci hojnie.

TRZECI MIESZKANIEC.

Najmocniej wątpię, satrap się wymija,
I płacić wcale nie objawia chęci.

PIERWSZY MIESZKANIEC.

Inaczej było za Buhodonozora...

DRUGI MIESZKANIEC.

Wtedy do zysków była dobra pora,
Wyprawy ciągłe, dla wojska dostawy,
Zyski płynęły nam ciągłym szeregiem...
Choć brał, to dawał wielki Bel łaskawy!

TRZECI MIESZKANIEC.

Co dzień budziła radosna wieść nowa
O grodach wziętych — o łupach zdobytych,
Dziś tylko słyhać, iż gdzieś spadła głowa.
Obfitość mamy w daninach obfitych.

(ciszej i tajemniczo)

Czy to jest prawda?

DRUGI MIESZKANIEC.

Tak...

TRZECI MIESZKANIEC.

Na poskromienie
Ślą Berozesa.

PIERWSZY MIESZKANIEC.

On w zbyt wielkiej cenie
Ma życie, aby... Persom się naraził.

SCENA II.

Ciż, SZEJK ARABSKI.

SZEJK (do rozmawiających).

Wędrowiec jestem i nie znam zwyczaju,
Jak się nazywa bóg waszego kraju?

PIERWSZY MIESZKANIEC.

Baal lub Anon, Marduk albo Ninus.

SZEJK.

W jednym imieniu bóstwo bym wyraził..
Odkąd przeszedłem bramy tego grodu,
Zda mi się, jestem ciągle wśród ogrodu
Z innego świata. Tu nie rządzi przymus;
Wesołe twarze, rozjaśnione lica;
Jedna od drugiej piękniejsza dziewczica!

PIERWSZY MIESZKANIEC.

O tak, masz słuszność, Babilon jest rajem!

DRUGI MIESZKANIEC.

Czy już Melitty zwiedziłeś świątynię?

TRZECI MIESZKANIEC.

A most wspaniały kędy Eufkrat płynie?

SZEJK.

Widziałem wszystko, i za moim krajem
Nie będę tęsknił. — Jeśli zezwolicie,
Rozbiję namiot i przepędzę życie
W tych sławnych murach.

TRZECI MIESZKANIEC.

O! nic łatwiejszego.

Babilon zaślub.

SZEJK.

Jak to?

DRUGI MIESZKANIEC.

Widzisz tę kobietę?

Tę, tam na tronie, w purpurowej szacie,
Na głowie której jaśnieje korona?
Czyś marzył kiedy w swej przenośnej chacie,
Iż takie dziwy mogą być na świecie?

SZEJK.

Nigdy.

DRUGI MIESZKANIEC.

Szczęśliwce, to jest twoja żona!

SZEJK.

Co? jakto?

TRZECI MIESZKANIEC.

Daj jej pieniędzy miedziany,
A posiedzisz Babilon z jego świątyniami,
Z jego bogactwy, z jego kapłankami!

SZEJK.

Co za szczęśliwy los i niespodziany!!

TRZECI MIESZKANIEC.

Chodź więc.

PIERWSZY MIESZKANIEC.

Ten zwyczaj przywiódł w nasze mury,
Mieszkańców tłumi, z nimi złota góry.
(idąc ku królowej siedzącej na tronie)
Miejsca, miejsca, przyjaciel przybywa.

SZEJK.

Chcę zaślubić Babilon.

(Przyprowadzają go do kobiety, przedstawiającej
Babilon, on przyklęka, rzuca jej monetę na kolana,
ona go okrywa swym płaszczem i całuje, poczem
on wstaje).

LUD.

Niech żyje obywatel nowy!

DRUGI MIESZKANIEC

(do siebie).

O, głupi Arab! on szczęściem nazywa,
Iż wolność pustyni dziś w złote okowy

Zamienił! Przeklnie swoje przენiewierstwo,
Gdy pozna króla chciwość i magów szalbierstwo.
Przeklnie zapóźno...

(miesza się z tłumem).

SCENA III.

JOACHIM, który wyszedłszy z poza świątyni, chce
wejść na wschody pałacu królewskiego. — JEHUA
chwytą go za ramię i wstrzymuje; obaj ubrani są
jak inni Assyryjczycy, tylko ciemno.

JEHUA.

Stój! gdzie cię unosi

Rozpacz bez granic?

JOACHIM.

Ja chcę ją zobaczyć!...

JEHUA.

Nie tu przynajmniej i nie o tej porze!
Czyliż ty nie wiesz, jak zawzięta, sroga
Nienawiść ściga nas, czcicieli Boga
Prawego?

JOACHIM.

Ona wkrótce wyjdzie może

Z po za tych zasłon...

JEHUA.

Trzebaż ci tłumaczyć,

Iż skoro w tłumie onym się rozgłosi

I króla dojdzie, że prawie na tronie
Przy nim zasiada judejska kobieta,
Tak różna rodem — padniecie ofiarą.

JOACHIM.

Arcykapłanie, znać, że w twojem łonie
Nie bije serce ojca! Idę z wiarą
Że ją wybawię, że ją zbawić muszę!
Ja odpowiadam za tę biedną duszę
Przed Bogiem. Gdy zginie — cóż wtedy
Jehowie powiem? Ze się śmierci bałem?

JEHUA.

My z królów rodu, i ty naród cały
Masz mieć na pieczy. — Bezrozumnym szaleł
Ty naród zdradzasz. Jakaż, jakaż tama
Powstrzyma wybuch wściekłości tyrana?
Cały Izrael tę przewinę nową,
Zapłaci męką, więzieniem lub głową.

JOACHIM.

Cóż mam uczynić?

JEHUA.

Zdać sprawę Jehowie,
On zawsze czuwał nad wybranym ludem,
On nas doświadcza, ale nie dozwoli
Aby się miara przebrała niedoli.
Naszym cierpieniom przyjdzie w pomoc cudem!
Na Jego świętem polegajmy słowie.

JOACHIM.

Zbawiż on Sarę?

JEHUA.

Zbawienie w jej woli.

Odejdźmy prędzej. — Lud się zewsząd tłoczy...
Na nas ciekawe obracają oczy,
A z ruchu magów widzę, iż niezwłocznie
Król się ukaże, obrzęd się rozpocznie.
Stańmy ukryci za słupem świątyni,
Stamtąd ujrzemy co Daniel uczyni.
(odchodzą).

SCENA IV.

Zasłony rozsuwają się, — na tronie ukazuje się
BALTAZAR w tiarze, jaśniejący od klejnotów i złota;
otacza go dwór; czarni niewolnicy poruszają wa-
chlarze z piór strusich. Obok tronu stoją BEROZES,
AFRASIAB i DANIEL, — nieco z boku SARA i jej
niewiasty. Za ukazaniem się króla lud pada na
kolana i twarzą na ziemię. Baltazar sztywny, nie-
ruchomy w swych ciężkich szatach — wygląda jak
bożek.

BALTAZAR.

Dziś dzień szczęśliwy wszedł nad Babilonem.
Dziś się obchodzi weselna rocznica
Wiekopomnego mojego rodzica,
Waszego Boga Marduka, co w niebie
Rządzi, nie znając wyższego nad siebie.
Pamięć więc jego uczcijmy pokłonem:

Magowie, mistrze, wy w pobożnym śpiewie
Wielkiego Boga proście, aby w gniewie
Nigdy nie karał swoje własne plemię,
I dary swoje wždy zsyłał na ziemię.

CHÓR MAGÓW.

Chór I.

Wielki Belu, pokłon, cześć
Składamy ci poddani,
Racz obfite plony nieść,
Ofiary przyjąć w dani.

Chór II.

Śpiewajmy wielkie Bellusa czyny:
Czarne otchłani olbrzymy,
Jeszcze w kolebce i bez oręża,
Mocą wejrzenia zwycięża.

Chór I.

Młodzian wyrasta ognistowłosa,
Rydwan złocisty wiedzie w niebiosy;
Łuk swój potężny, kiedy natęża,
Lwa dosięga, lwa zwycięża.

Chór II.

Pędzi dalej śmiałym czynem,
Łączy róży kwiat z wawrzynem,
Najeudniejsza krasolica
W jego objęciu dziewica.

Chór I.

W słonecznej jada krainie,
I kędy mętny Nil płynie.

Chór II.

Wszędy siłą swojej dłoni,
Ludy pod swe stopy kłoni.

Oba chóry.

To co mamy, czem żyjemy,
Wszystko z jego rąk bierzemy.
Bez jego ciepłych promieni,
Ziemia skrzepła by wśród cieni!

W królu naszym, bogów synu,
Mamy bóstwa obraz żywy:
Zrównał przodkom sławą czynu,
Również ludziom jest życzliwy!

A więc równą cześć wam dajem,
Słońce nieba, ziemi słońce,
Racście świecić, nam nad krajem,
Rządząc aż po świata końce.

SARA (do króla).

Twe przyrzeczenie?...

BALTAZAR.

Zadość ci się stanie.

(z wahaniem)

Danielu!

DANIEL.

Panie!

BALTAZAR.

Bellusa kapłanie,
W dowód najwyższej mej królewskiej łaski,
Urząd ci zdaję, co nad wszelkie blaski,
Godności wyższy. — Masz królewskie znamię..
Idź do ołtarza, jako moje ramię,
Ofiary bóstwu złożysz w mem imieniu.

(ciszej)

Cóż to, pobladłeś?

(podaje mu berło, które Daniel bierze).

DANIEL.

Nie.

BALTAZAR.

To łaska niemała..
Ty nie dziękujesz? Twoja dłoń zadrżała..
Masz co powiedzieć?

DANIEL.

Przyjmuję w milczeniu.
(słania się przed królem, odchodzi i staje przy
posągu).

SARA.

Przyjął, nie zginie!

BALTAZAR.

Ha, przegrałaś Saro!

SARA.

Piorun zabije go razem z ofiarą.
(Niebo się chmurzy).

GŁOS JEHUY (w tłumie).

Biada!..

DANIEL.

Rozumiem, Panie, Twe skinienie.
(stoi chwilę z oczami wzniesionymi w niebo)
Tyś mię powołał, abym wobec ludu
Dał Ci świadectwo. — I w potężnym słowie
Umysły wstrząsnął, jakby siłą cudu!
(głośno)

Wielki Monarcho! Babilończykowie!
Jesteście w błędzie. — Ow Bóg wasz mniemany
Jest niczem! Ludzi wprawniemi rękami,
Z drogiego kruszcu kunsztownie ulany,
Jest dziełem waszem!

(wskazując na słońce)

Toż to jasne ciało

Gdy na przestrzeni niebios zajaśniało,
Nie zeszło samo, bogiem być nie może,
Ale jest dziełem Tego, który zorze
Na wschód ustawił, jak bramę wspaniałą,
I zachód zamknął wrotami z płomieni!
On to ukwiecił wspaniałą płaszcz ziemi,
I gwiazdom wytknął ich powietrzne szlaki,
Poprzez Zodiaku jaśniejące znaki.

GŁOSY W TŁUMIE.

Jaką jasnością jego twarz się mieni!

Mówi tak śmiało! Osłania go maga
I biała szata i wielka powaga!

DANIEL.

On prawa swoje wyrzył na kamieniu,
A z nich najwyższy w człowieka sumieniu:
»Jednego czcij Boga«. Niech duch wasz wzleci
Wysoko w niebo, w proch upadnie głowa,
Jeden jest świata Stworzyciel — Jehowa!
(Lud słucha zdziwiony i niepewny).

ARCHIMAG (zrywa się).

Bluznierstwo! Patrzcie, już słońce nie świeci!
(Coraz mocniej się chmurzy)
Bel zagniewane swe odwrócił lica,
W proch się rozpadnie Chaldei stolica!

DANIEL.

Boże Mojżesza, wielki Boże cudów,
Ściągnij dłoń, okaż wszechmocną moc Twoją,
Niech się bezbożni twoich sądów boją!
(z ręką wyciągniętą ku posagowi)
Ty zaś narzędzie człowieczej próżności,
Coś był za życia tyranem twych ludów,
Mamidło piekieł, wróć do twej nicości!...
(piorun uderza w posąg, który upada na ziemię)
Oto jest Bóg wasz!
(wskazując na posąg upadły)

(Przerażenie i popłoch, lud tłocząc się ucieka. Sara,
kobiety i dwór króla padają na kolana wokoło po-
sagu, pozostają tylko magowie).

GŁOS TŁUMU UCIEKAJĄCEGO.

O, biada nam! biada!...

BALTAZAR

(przerażony i wściekły zrywa się).
Kto śmiał zgruchotać posąg mego dziada?

DANIEL

(zbliżając się ku przodowi sceny).
Ten, co jest wyższym nadeń i nad ciebie,
Co rządzi ziemią i panuje w niebie!

BALTAZAR.

Kto rządzi w niebie, ja nie wiem, lecz ziemią
Ja rządę! Rozumiesz? i innego pana
Tu nie ma! Ognie, co w obłokach drzemią
Nie wskreszą cię, gdy będzie kara dokonana!
Ściąć go!

SARA (cicho i błagająco).

Tyś go tak kochał...

BALTAZAR (odpychając ją).

Precz! precz gadzino!

DANIEL.

Ci co konają, to jeszcze nie giną!

ARCHIMAG (zblizając się).
Na śmierć skazanym mag zostać nie może,
Nim go z godności wysokiej nie złożę.

BALTAZAR.
Spiesz, spiesz czempredzej oną hańbę zgładzić!
(do siebie)
Ze mnie ten człowiek mógł tak srodze zdradzić!
(zakrywa twarz w dłonie)

ARCHIMAG (do Daniela).
Cóżes uczynił? Skąd takie szaleństwo?
Jeszcze twe czoło chroni ta przepaska...
Odwróć grożące ci niebezpieczeństwo,
Tam kadzielnice, tam czeka ofiara,
Spełń ją — a króla potężnego łaska...

DANIEL.
Jedna jest tylko, jedna prawa wiara!
Oto przepaska twoja. — Nie mam tarczy
I mieć jej nie chcę. — Aby znieść katusze,
Ufności w Bogu i męstwa wystarczy.

ARCHIMAG (z boleścią).
A więc siepaczom oddać ciebie muszę...

DANIEL
(z oczami wzniesionymi w górę, jak w natchnieniu).
Mój Bóg jest w niebie, wasz tarza się w pyłe,
I jabym wątpił o Jehowy sile?

(Daniel do króla)
Spełniłem swoje.

BALTAZAR.
Nędzny! Jesteś wrogiem
Ludzi i bogów!

(do straży)
W pałacu podziemia,
Kędy za kratą wśród wiecznego cienia
Lwy przechowują, na ludu igrzyska,
Wtrąć go! Ujrzym, ujrzym w rychłej porze,
Czyli Bóg jego, mocą swego cudu,
Ze lwów paszczęki uwolnić go może.
(Daniela otaczają straże i kępują mu ręce. — Sara
blada śmiertelnie i nieprzytomna prawie, nie może
oderwać oczu od Daniela).

DANIEL.
Jam się wychował królu, za twym progiem,
I pamięć dobroci twej łzy mi wyciska...
Ja ci dziękuję. — Idę jak na gody,
Po nieśmiertelne niebieskie nagrody.
O! spraw Jehowo — błagam Cię jedynie,
Niech moc krwi mojej ofiarnej, strumieni,
Serca i umysł onych ludzi zmieni,
I niechaj rosą na ich dusze splotnie...
Żegnaj mi królu! Oby ci w potrzebie,
Kiedy otoczą cię nieprzyjaciele,
Nie przyszło gorzko pożałować chwili,
W którejś mnie w gniewie odepchnął od siebie.
(wyprowadzają go).

SARA.

A więc to prawda? On zginie?

BALTAZAR.

Tego żądałaś. Wszak sama

SARA.

Ach, wieczności brama
Dlań się otwiera. — Królu, ja winę z nim dzielę,
Ja również jestem...

(pada omdlała).

BALTAZAR.

Czem? czem? Co to znaczy?
Straciła zmysły. Któż mi wytłumaczy?

ARCHIMAG (w zamyśleniu).

Na tym Danielu my się omylili...

(Zasłona spada).

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Taż sama sala w pałacu królewskim, co w drugim akcie. — ARCHIMAG wchodzi i spotyka się ze spieszącym ku wyjściu BEROZESEM.

ARCHIMAG.

Ha! co ja widzę, jeszcze w Babilonie?!
Na czele wojsk twych sądziłem cię w stronie,
Kędy zwycięstwo i chwała cię wzywa!

BEROZES.

Ach! ta wyprawa dusi mnie jak zmora.
Wojska w nieładzie i na wszystkim zbywa...
Wieźć ich na Persów właśnie dobra pora,
Bez oręża, bez wozów! O, ja nieszczęśliwy!...
Puść mnie...

ARCHIMAG.

Gdzie spieszysz?

BEROZES.

Niosę wyrok nowy.

ARCHIMAG.

Baltazar czyjeż znów zażądał głowy?

BEROZES.

Afrasiab zginie...

ARCHIMAG

(jakby gromem rażony).

Afrasiab? ów wierny,

Zacny Afrasiab?...

BEROZES (ogładając się).

Wyrok sprawiedliwy...

Król czekał...

ARCHIMAG.

Za to, iż satrap zajęty

Nie wszedł dosyć szybko?

BEROZES.

Ma być zaraz ścięty.

ARCHIMAG (do siebie).

Król się ostatniej pozbawił obrony.

Ha! ha! wiatr widzę wieje z innej strony...

I dziś Berozes, co sumienia niema,

Jest w Babilonie panem położenia.

BEROZES.

Cóżś tak zamilkł? Czy ty myślisz może...

Wierzaj, że ja się nie cieszę, a trwożę...

Król od Daniela zgonu, zły, ponury,

Do kar jedynie chce szukać porozu;

Od dzisiaj rana jest to wyrok wtóry,
I sam co chwila wyglądam rozkazu,
Co od trosk życia mnie zwolni odrazu.

ARCHIMAG.

Możesz się rychło odsunąć od dworu,
Ciągnąć na Persów. — Tam cię czeka chwała...

BEROZES.

Straszno tu zostać, — straszno ciągnąć w pole...
Żołnierz bez broni, dowódcy strwożeni,
Wszyscy niewprawni, wszyscy zniechęceni.
Myśl moja niegdyś wojownicza, śmiała,
W ciasnych spraw dworskich skamieniała kole;
Mało dowódca doznaje podniety,
Gdy losem jego tu rządzą kobiety!

ARCHIMAG.

Ja pomnę dzieje królewskiego dziada:
Gdy wróg najechał, tedy król na czele,
Na pewny tryumf wiódł swe hufce śmieje!

BEROZES.

Baltazar spędza czas w miękkim ukryciu,
Żołnierz zań walczy, nie widząc go w życiu,
I z tego tylko wiemy, że nam władza,
Iż codzien głowa, jak liść z drzewa spada!

ARCHIMAG.

Ciszej — uważaj — ściany mają uszy.

BEROZES.

Ach! żyć już trudno wśród takiej katuszy!
Chociaż widziałem w nim nieprzyjaciela,
Wyznam, iż teraz żałuję Daniela,
On umiał króla dziki szal łagodzić,
I od okrutnych zapędów odwodzić.

ARCHIMAG

(cicho, zbliżając się doń).

Otóż ci powiem, jest to dziw nad dziwy,
Ale w lwiej jamie Daniel dotąd żywy.

BEROZES.

Marzysz!!

ARCHIMAG.

Zaledwie gwiazdy zajaśniały,
Zszedłem z świątyni, ciekawością zdjęty,
Do owych pieczar, gdzie Daniel zamknięty,
I gdym się schylił, by zajrzeć przez kraty,
Ujrzałem w głębi jakiś przedmiot biały
I jasne maga rozpoznałem szaty;
Na lwach oparty, zawsze jednakowy,
Daniel hymn śpiewał ku cześci Jehowy!

BEROZES.

Jakim sposobem mógł on zostać żywy?!
Gdy lwom rzucają więźniów na pożarcie,
Wita ich głodnych zwierząt ryk straszliwy,
I mgnienie oka zaledwie trwa starcie,
I już chrupanie tylko słychać kości
Pożartych ofiar.

ARCHIMAG.

Objasnić nie umiem,
Są rzeczy ciemne i dotąd w skrytości,
Których ja nawet, i ja nie rozumiem,
Snać magię wyższą od mojej posiada.

BEROZES.

Gdy nie rozumiesz, to moja jest rada,
Nie mów królowi.

ARCHIMAG.

Zapewnić cię mogę,
Iż mi nie pilno jeszcze pozbyć głowy,
Ze lwami naprzód nie mając umowy.
Lecz inną zechciej uspokoić twogę:
Czuwając w nocy na Bella wieżycy,
Kiedym wzrok puścił w dal po okolicy,
Ujrzałem jeźdźca, co na żwawym koniu
W krąg naszych murów obiegał po błoniu.
O ilem dojrzał, ten jeździec ze stroju,
Wyglądał jak Pers. — Satrap Babilonu
Co powie na to?

BEROZES

(odwracając się i spiesząc do wyjścia).

Za wiele mam znoju,
I w nocy czuwać nad miastem nie mogę.
Słychać krok króla. Co prędzej uchodzę,
Nie rad na jego znalazłbym się drodze.

ARCHIMAG

(do siebie, gładząc brodę i uśmiechając się ironicznie).
Hm! Pers nie będzie miał zbyt trudną drogę,
I bramą ponoś wejdzie bez wylomu.

SCENA II.

ARCHIMAG, — BALTAZAR wchodzi chmurny, rozglądając się podejrzliwie.

BALTAZAR (do Archimaga).

Sam tu nie jesteś? Kto się stąd oddalił?

ARCHIMAG (z pokorą).

Berozes wyszedł spełnić twe wyroki,
Czekam rozkazu, Bel!

BALTAZAR (z ironią).

Chcesz bym cię pochwalił?

ARCHIMAG.

Powinność moją...

BALTAZAR.

Wam zawsze się zdaje,
Iż pan wasz nazbyt surowym się staje,
Żąda zbyt wiele!!

ARCHIMAG (z wielką pokorą).

I któż z nas, o panie,
Jako państw twoich ów przestwór szeroki,

Myśl tak zuchwałą powziąć byłby w stanie?
Któż tak szalony, ażeby na niebie
Śmiał sądzić słońce, a na ziemi siebie?

BALTAZAR (siada).

Tak, to jest prawda. — Masz umysł głęboki,
Wielką naukę i mądrość nie lada...

ARCHIMAG (do siebie).

Do czego zmierza? Któż myśl jego zbada?

BALTAZAR.

Czytasz w gwiazd księdze, więc powiedz mi szczerze,
Co myślisz o Danielu?

ARCHIMAG.

Czy w jego śmierć wierzę?

BALTAZAR.

Cha! cha! W śmierć jego! Wyborne pytanie,
Do dziś i kości z niego nie zostanie!
Pytam, co myślisz o tym jego Bogu,
Co na Bellusa cisnął swoje gromy?

ARCHIMAG.

Że Bellus wcale nie został strącony,
I że spokojnie w poświęconym progu,
Jaśnieje całym blaskiem majestatu,
I swe promienie, jak zwykle śle światu!

BALTAZAR (niecierpliwie).

Nie o to pytam. — Co to za Bóg nowy,

Co ma pioruny na swoje rozkazy?
Nie mówiliście nigdy o nim.

ARCHIMAG.

Czyliż nowy?

Marzenia Judy przez cię zapomniane
Wielki monarcho! Lud ten wszystkim przeczy,
Wyszydza wszystkie bóstw naszych obrazy,
Gdzie może, wszelkie obrzędy niweczy,
Gardzi wszystkimi, a siebie jedynie
Ma za lud Boży i plemie wybrane.
Lud, co z zuchwalstwa i ciemnoty słynie,
Jakieś dziwaczne proroctwa wygłasza;
Lud ten jedynie zbytnia dobroć wasza
Cierpi w tem państwie. Niewolnicze plemię,
Zdatne pod biczem, by uprawiać ziemię
Dla swoich panów, — których Faraony
Niegdyś sromotnie z Egiptu wygnali,
I tak też czynić winni władcy dbali
O spokój państwa i swe własne trony.

BALTAZAR.

Mój pierwszy mędrzec, widzę się unosi
I to nie żartem. Stąd mój umysł wnosi,
Iż to Bóg być musi. Ten Bóg mym wrogiem.
Tem lepiej... Wojnę więc rozpocznę z Bogiem!
Jest to przeciwnik godny mojej chwały.
Nie tak, jak Cyrus, ów dowódca mały
Garstki rabusiów! Pragnąłem od dawna
Wojny, — więc będzie! Niechaj krew się leje...
W podziw potomnym, niech zapiszą dzieje,

Iż był lud jakiś, jakaś wiara sławna,
Co znikli z ziemi na jedno skinienie
Baltazara. — Ha! zsyłasz mi gromy,
Nieznany Boże! Do twojej obrony
One się zdadzą! Zniszczę, zetnę, zgładzę...
Ja tu na ziemi twej mam równą władzę,
Pisz rozkaz: aby imienia Jehowy
Nikt nie śmiał wspomnieć pod utratą głowy!

ARCHIMAG.

Wielka jest, panie, twej wszechmocy władza,
Lecz się rozkazem słowa nie zagląda...

BALTAZAR.

Jakto? Jeżeli rozkazę wyraźnie?

ARCHIMAG.

Boga Hebrejów mało znane imię,
Przy królewskiego edyktu powadze,
Raz pierwszy głośno po świecie zasłynie,
I mimo groźby i kary i kaźnie,
Zamiast zapomnieć, każdy je powtórzy.

BALTAZAR.

A więc daj radę.

ARCHIMAG.

Jedno czci go plemię,
Więc od Hebrejów uwolń, panie, ziemię!
Bellus zuchwalstwem srodze obrażony,
Zniszczeniem grozi nawiedzić te strony.
Krew go przejedna, więc rozkaż, o panie,

Na potężnego Bela przeblaganie,
Ażeby jutro niesli przed ołtarze
Hojne ofiary naszym bóstwom w ǳarze.
Równy mąż, starzec, dziecię, czy niewiasta,
Każdy, co gości w murach tego miasta;
Kto nie usłucha, tego krew popłynie,
Aby rozbroić bogi i boginie...

BALTAZAR.

Sądziś, że owi wyznawcy Jehowy?...

ARCHIMAG.

Odstąpią wiary lub spadną ich głowy...

BALTAZAR.

Ta rzecz być może. — Ale idź, kapłanie,
I niech się według woli twojej stanie.

ARCHIMAG

(odchodząc żegna króla, schylając się do ziemi; —
do siebie).

Od siebie straszny odwrócił pęd burzy,
Siebiem ocalił, krwią, życiem tysięcy...
Ach! podły jestem, — podły i nic więcej.
(odchodzi).

SCENA III.

BALTAZAR (sam).

Rozumny mędrzec i dobrą dał radę:
Tak, niech krew płynie, niech płynie potokiem,

Może zapomnę, może przed mem okiem
Zniknie...

(powstając, z uniesieniem)

Danielu, zapłacisz twą zdradę!
Małom cię skarał. — Ciebie śmierć nie trwoży,
Więc z tobą padnie mniemany lud boży!
Zemstą ja będę ścigał twoje plemię,
Tak, jak mnie ciągle ściga tve wspomnienie!
A jednak dziwna ogarnia mnie twoga...
Boga wyzwałem... Możnaż zwalczyć Boga?
Możnaż zwyciężyć? Dreszcz przebiega ciało,
I zimnym potem czoło się oblało!

GŁOS BEROZESA ZA SCENĄ.

Już wyrok zapadł.

BALTAZAR.

Kto wyrzekł te słowa?
Czy słuch nie myli? Wyrok, gdzie i jaki?

GŁOS ZA SCENĄ.

Zginiesz.

BALTAZAR.

O, biada! to nie ludzka mowa...
Bogi co chcecie?... Co znaczą te znaki?
Wszakżem ja syn wasz! Marduku ognisty!
(zbliżając się do ołtarza o który się opiera)
Dokoła wstają straszdyła i mary!
Niedość, iż muszę się wciąż lękać żywych,
Niedość iż widzę na ich bladej twarzy
Ślady ich zdrady i uczuć fałszywych,

Spokoju nie mam i u tych oltarzy!
Co to ma znaczyć? Czy kto rzucił czary?
Tu potwór ku mnie bieży płomienisty,
Tam lew rozżarty... Węża czarne sploty
Przejsć mi nie dadzą, — w koło nóg się wije,
Biodra opasał — dusi mnie za szyję...
Gustap! Tu, do mnie! Pomocy! Pomocy!

SCENA IV.

BALTAZAR, GUSTAP.

GUSTAP (wbiegając).

Bel, co się stało?

BALTAZAR.

Jestem w duchów mocy!
Zewsząd się cisną...

GUSTAP.

Bel, niema nikogo.

BALTAZAR

(wracając do przytomności, do siebie).

Ha, gdzie ja jestem? O, nikczemna trwoga!
Co on pomyśli, ten naród przeklęty,
Co grozą trzymam pod stopą ugięty,
Gotów pomyśleć... (głośno)

Odejdź, nie nie trzeba.

(Gustap chce odejść, Baltazar z trwogą)

Stój! gdzie odchodzisz? Rzucasz mnie samego?
Nie chcę być sam.

GUSTAP.

Jestem na usługi.
(chwila milczenia).

BALTAZAR.

Dlaczego milczysz? Ileż znowu razy
Mam ci powtarzać, mów!

GUSTAP (do siebie).

O, wielkie nieba,
Jak on to przyjmie?
(głośno)

Do tronu pańskiego
Wiadomość niosłem: Assyrii królowa,
Córa dostojna władcy Baktriaru,
Malżonka słońca zmarła.

BALTAZAR

(obojętnie oglądając swoje pierścienie).

Przewidziany
Cios, — chorą była. — Będzie pani nowa.
Cieszcie się.

GUSTAP.

W długie lata niech ją chowa
Bel.

BALTAZAR.

Wiesz która? Nieś ten pierścień Sarze,
Zanim koronę nadeszłę jej w darze...
Powiedz, iż dzisiaj u biesiady stołu,
Bel ją Assyrii królową obwoła.

Idź... Czekasz jeszcze? Czyli wiesz co może
O Sarze?

GUSTAP.

Wiem, iż na tym świetnym dworze,
Pośród róż ziemi, ona najpiękniejsza.
(zatrzymuje się).

BALTAZAR.

Cóż dalej?

GUSTAP.

Ona najniebezpieczniejsza...

BALTAZAR.

A to dlaczego?

GUSTAP.

Już sześćdziesiąt razy
Słońce obiegło po niebieskim szlaku,
Wszystkie błyszczące znaki Zodiaku,
Odkąd z dalekiej, nubijskiej oazy
Mnie tu przywieźli. — Matce twej służyłem,
Bel, długie lata, ciebie wyniańczyłem...
I jak pies wierny czuwam u twych progów.
Nie znam rodziny innej, ani bogów,
Nad ciebie Bel!

BALTAZAR (nieco wzruszony).

Tyś jeden wierny,
Ty jeden. Słucham.

GUSTAP.

Tysięcy nie mało
Niewiast już przeszło do mego dozoru,

Odkąd z twej łaski, twój niewolnik wierny,
Żyję, czuwając nad ogrodem dworu.
Mieliśmy nieraz zgrabne Indyanki
Z długim warkoczem i drobiuchną głową;
Żwawe Greczynki, śnieżne Baktyanki,
Libijki czarne z kędzierzawą skronią,
I każda z onych, po krótkim oporze,
Przyjęła zwyczaj wiekiem uświęcony:
By w dzień zalegać purpurowe łoża,
W perły lub kwiaty stroić włos trefiony,
Wieczorem tocząc lekkie tańca koła,
Czekać w pokorze, kiedy Bel zawoła...
Lecz ta, dzień biały, czy nocna godzina,
Gniewa się, śmieje, lub płakać zaczyna.
Od jej służebnych ciągle słyszę o tem,
Iż je kaleczy za najłżejszą winę,
Lub bez przyczyny obsypuje złotem.

BALTAZAR.

Wierny Gustapie, kocham tę dziewczynę!
Mnie ona także często niepokoi,
Lecz tem potęgę swych uroków dwoi.
Już mnie znudziły one gołębice,
Co na kolanach, drżąc, patrzą w me lice...
Tę zmijkę, czasem ziemniejszą od lodu,
To buchającą jak nafta płomieniem,
Wolę nad wszystkie dziewy mego ludu!
Mówi o sobie, że jest z królów rodu.
Chciała korony — więc dam jej koronę,
Lecz ty na siebie musisz wziąć część trudu,

I tobie moją poruczam obronę.
Masz znak mej władzy. Jeżeli dostrzeże
Twe oko, chociaż najmniejszą chęć zdrady,
Pamiętaj nasze dzisiejsze układy:
Możesz ją zgładzić, ja ślepo ci wierzę.

(Zasłona spada).

ODSŁONA DRUGA.

SCENA V.

W głębi mur i furtka uchylona, na prawo część wieży z oknem okratowanym tuż ponad ziemią, — na lewo krzaki i drzewa, również dzikie zarośla i zielska. U stóp wieży, przy kracie, SARA; klęczy przed kratą z włosami rozpuszczonemi, z wyrazem najwyższej rozpacz. — AFREJA. — GUSTAF wsuwa się furtką niespostrzeżony przez kobiety i ukrywa za drzewami.

SARA (łkając i łamiąc ręce).

Danielu, o Danielu!

AFREJA.

Po co zmarłych wzywać...

O, pani, powstań!...

SARA.

Danielu! przebacz!

AFREJA.

Dłużej tu przebywać

Nam niepodobna. Ciekawych jest wielu;

Śmiałaś wyjść, pani, poza mury miasta.
Lada przechodzień idący przez pole,
Zdumiony, widząc, iż jakaś niewiasta
Wielkiego rodu, we łzach żalu tonie,
Albo cię z sobą powlecze w niewolę,
Albo przywoła strażę. — O koronie
Już wtedy dla cię nie może być mowy!

SARA.

Kto wie, czy kiedy dotknie mojej głowy?
Król na mnie gniewny, wcale mnie nie woła...
Świat taki pusty, tak ciemno dokoła...
Wszystko mi jedno! O, wszystko mi jedno!..,
Zginąć, to dołą człowieka powszednią!
I na cóż cała ta ziemską potęgą?
Czy może ona usnąć rozpacz łona?
Czy może zmienić to, co raz się stało?
Zmarłego wskrzesić siła jej nie sięga,
Choć przeobrazić ten świat może ona!
Można rozkopać Sinaj, znieść te mury,
By i kamienia po nich nie zostało...

(załamując ręce)

Nie można wskrzesić człowieka!

(z rosnącą gwałtownością)

Ty, Boże!

Ty, dla którego on poniósł katusze,
Którego kochał, coś znał jego duszę,
Czemuś go nie wybawił?! Ha, Ty siły
Nie miałeś?! Po cóż Twe gromy groziły?
Po coś czić się kazał?

AFREJA.

Wszakżeś sama, pani,
Pragnęła jego zgonu.

SARA.

Ja? Kto to powiada?
Czyliż bogowie są moi poddani,
By mnie słuchali.

AFREJA.

Któż twe chęci zbada!?

SARA

(przyklęka i nachyla się do kraty).

Nic, nic nie widzę. — Ah, lew okiem błyska...
(drżąc)

Lwa nigdy w życiu nie widziałam z bliska...
Paszcę otworzył — w mą stronę się skłania!
(zrywa się, cofa i opiera się na Afreji).

AFREJA.

Pani, wysłuchać racz mego błagania!
Wróćmy! I cóżeś naonczas zyskała!
Kiedy w świątyni...

SARA.

Co? Jam go widziała!
Po co się obcym wdawać w nasze spory?
Gdyby żył Daniel — może do tej pory..
(z wybuchem płaczu)

On mi go wydarł.

AFREJA.

Przez cię ublagany...

SARA.

Król, on zabójca jego krwią obłany!...
Chodźmy, wracajmy. — Mamże się mścić łzami,
Ponieważ niemasz tam Boga nad nami?

GUSTAP (do siebie).

Wiem, co potrzeba. — Dopóki łyzy leje
Tylko za zmarłym, popołgować mogę,
Lecz jeśli nowa namiętność roztleje,
Lub nowym szalem obudzi mą trwogę...
Wtenczas, — o, wtenczas... o ty, rajskie ptaszę,
Rychło skończymy te igraszki nasze!
(wychodzi z za krzaków i zastępuje drogę kobietom,
które zatrzymują się przerażone, do Afreji).
Czemuście wyszły same z swej komnaty?

SARA.

Odetchnąć chciałam, — wieczór duszny nieco.

GUSTAP.

W ogrodzie króla wonne kwitną kwiaty,
I wodotryski pod niebiosą lecą.
Szukam cię wszędzie, by z rozkazu Bela
Doręczyć cudnej i potężnej Sarze
Małżeński pierścień, który jej śle w darze,
I ona łaska pana mnie ośmiela,
Iż pierwszy składam hołd władczyni nowej.
(klęka i uderza czołem).

SARA.

Ja? Co ty czynisz?

GUSTAP.

Cześć składam królowej.

Królowa!...

SARA.

AFREJA.

Na mem ramieniu, królowo,
Zechciej się oprzeć.

GUSTAP (do Afreji).

Twą zasłoną z głowy
Okryj ją całkiem. — Lektyka za progiem
Czeka.

SARA.

Gustapie, nie jesteś mi wrogiem?

GUSTAP.

Jam twój niewolnik.

SARA

(daje mu sznur pereł).

Niech król się nie dowie
O tem, iż dzisiaj...

GUSTAP.

Gustap nic nie powie,
I uroczystą ci przysięgę składa!
Wszak część największa winy na mnie spada,
Iż wśród spraw tyłu, wiru i zawrotu,
Niedosyć strzegłem pańskiego klejnotu.
(odchodzą przez furtkę).

SCENA VI.

Z zarośli wychodzą JOACHIM wiodący AARONA. —
JEHUA za nimi, — kilku sług z worami, którzy zo-
stają w głębi w półukryciu, wśród krzaków.

AARON.

Ryk lwów już słyszę, musimy być blisko...

JOACHIM.

Tak jest — przed nami oto ich siedlisko,
I grób Daniela.

(do Jehuy, który ręką próbuje kratę).
Wziąłeś dźwignię z sobą?

JEHUA.

Mam wszystko, pomóż...

JOACHIM.

Nie mało trudności
Będziemy mieli, za nim święte kości
Stąd wydostaniem.

JEHUA.

Pracując wraz z tobą
Podważym kratę.

JOACHIM.

Na to by potrzeba,
By siły zdwoić, chyba cudu z nieba.

(ciągle pracują, by otworzyć kratę).

AARON.

Cud ten się stanie, — niechybnie się stanie.
Nad nami czuwaj i wspomóż nas Panie!

JOACHIM.

Nie wiem, jednakże, jak dopniemy celu?
Tam lwy...

JEHUA.

Żer im rzucimy.

AARON (który ukląkł).

Przebac mi, Danielu,
Przebaczcie prochy święte męczennika,
Niesprawiedliwie czynione wyrzuty.
Łza z oka spływa, żalność mnie przennika,
Na siwej głowie popioły pokuty!...
Jam gadał tylko. — Ja ślepy i stary,
Bałem się śmierci, a tyś dowiódł czynem,
Iż prawym jesteś Izraela synem,
Gotów znieść męki dla prawdziwej wiary!
(całuje ziemię)
Usty grzesznemi niech dotknę tej ziemi,
Stopą świętego dla nas uświęconej.

JEHUA.

Co czynisz starcze? Z włosami białymi
Skroń nurzasz w pyle.

JOACHIM.

Z ręki utrudzonej
Oskard wypada, — mur twardy jak skała,

JEHUA.

Patrz, tu się cegła usunęła cała.

JOACHIM.

Cóż stąd? Żelazo, jak gdyby wrośnięte!
Czyż rzucić przyjdzie dzieło rozpoczęte?
Czyś nas opuścił, Boże?

AARON.

Bez szemrania

Ku Niemu z wiarą podnieśmy błagania,
On nas wysłucha...

(klękają wszyscy)

Boże Abrahama!

Oto twa dziatwa, przez wrogów zdeptana,
Do Ciebie prośby zanoszą w pokorze:
Wspomóż nas, wielki przodków naszych Boże!
My nie żądamy zemsty, ni wielkości,
Chodzi nam tylko o garść biednych kości
Twojego sługi, bo ten klejnot, Panie,
W naszej niedoli za puklerz nam stanie!

SCENA VII.

Ciż, — krata otwiera się zwolna i staje w głębi

DANIEL.

JEHUA i JOACHIM.

Duch, duch Daniela!

DANIEL.

Wyż to, bracia moi?
Szczęsny po trzykroć, kto się Pana boi...

JEHUA.

Duchu Daniela!...

DANIEL.

Nie bracia, jam żywy...
Nigdy nad dzieckiem matki umysł tkliwy
Nie czuwał, jako Pana tu nademną oko;
Ja miałem niebo tam, w ziemi głęboko...

OBECNI.

Wielkie są cuda, wielka moc Jehowy!

AARON.

Więc on jest żywy?

DANIEL.

Wszak włos z naszej głowy,
Bez Jego woli świętej spaść nie może!

AARON.

Cześć ci i chwała ojców naszych Boże!

JEHUA.

Lwom paszczę zamknął; oto król pustyni,
(do Joachima)
Patrzaj, nie tylko nie złego nie czyni,
Ale pokorny do stóp mu przypada.

JOACHIM.

Lecz w pierwszej chwili, jaka groza, trwoga

Wśród tych potworów, w podziemnym więzieniu,
Kędy się płazy wiją po sklepieniu!...

DANIEL.

Nie wiesz, jak słodko jest cierpieć dla Boga,
W uczuciu, że się tem służy ludzkości,
A tak, dopełnia świętej powinności!...
Jam lwów nie widział, jeno niebios stropy,
Odkąd posłańcy z palmami złotemi
Lecieli ku mnie, robaka tej ziemi!
Słyszałem nie ryk lwów, a hymnów dźwięki,
I z ust mi pieśni płynęły, nie jęki!...
Lecz nie nad duchem jeno Stworzyciela
Łaska czuwała, On mi żywiciela
Zesłał w osobie zacnej Habakuka.
Posłaniec Boży co dzień mego kruka
Przynosił w chmurze; on lwom żer obfity,
A mnie przynosił te figi i mleko,
I placki, jakie w Hieruzalem pieką.

JEHUA.

Jehowa łaski hojnie nam udziela,
On nie opuści swego Izraela!

AARON.

Cześć Ci! O cześć Ci potężny Jehowa!
Nad Izraelem weszła gwiazda nowa!...

DANIEL (w natchnieniu).

Ludu! Jehowa cię w sercu swem nosi,
Przez cię swe imię wśród narodów głosi;

On obsypuje cię swemi darami,
Jak ojciec karci i czuwa nad nami,
Za chwilę więzy twej niewoli skruszy.
Miłością jesteś jedyną mej duszy;
Lecz ty niewdzięczny i twardego serca,
Zabójca twych proroków i morderca
Istoty boskiej!... Zbrodnią obarczony
Pójdiesz ty błazić na wsze świata strony,
Igraszka w rękę tych, co ziemią władną!
Sam się z Jehowy wyzuwszy opieki,
Nieszczęsny tułacz po przez długie wieki...
Aż cię zwycięski boski duch ludzkości,
Oczyszczonego wróci do wielkości!
(chwila milczenia)

JOACHIM (nieśmiało i z pokorą).
Chwile są drogie, — uchodźmy Danielu!

DANIEL (z uśmiechem).
Czyliż mi tutaj jest źle przyjacielu?
(seryo i znowu z natchnieniem)
Jeszcze stosowna nie nadeszła chwila,
Władcy Assyri już los się przesila,
I czekać muszę Baltazara zgonu,
By Izraela wrócić do Syonu!
(Obecni patrzą nań z podziwem i uwielbieniem, —
on cofa się w głąb, krata się zamyka. — Obecni
padają twarzą na ziemię).
(Zastona spada).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

W pałacu królewskim. — Wspaniała komnata w stylu
assyryjskim. SARA siedzi przy stole złotym, na któ-
rym zwierciadło z polerowanego srebra, kosmetyki,
klejnoty; kilka niewolnic krząta się koło jej stroju.
AFREJA umocowywuje jej na głowie dyadem.

AFREJA.

Pani, twe czoło zdaje się jedynie
Do korony zrodzone! Tam pod cieniem
Wonnych magnolii, kędy Ganges płynie,
W złotych pałacach widziałam królowe,
Lecz wobec ciebie, żadnej tem imieniem
Nazwać nie warto!

SARA

(rozmawia, aby rozmawiać, lecz co chwila dreszcz
nią wstrząsa).

Monarchinie owe

Więcej państw mają?

AFREJA.

Nigdy! nasz król włada
Od Judei, aż gdzie Nil do morza wpada.

SARA.

Za temi rzeki i jakież są kraje?

AFREJA.

Za Gangesem wznosi się gmach pyszny,
Mieszkanie Bella po indyjskie Kryszny;
Tam też codziennie, gdy bóg słońca wstaje,
Wrota różane otwiera mu Sita,
Młoda i piękna wiecznie, jak Melitta!

SARA.

A cóż za Nilem?...

AFREJA.

Tam kraj zgoła inny:
Tam są olbrzymy, jasnych bogów wrogi,
Stamtąd kość biała, a ludzie są czarni,
Co często giną z pragnienia męczarni,
I tam hołd niesie dziwny przesąd gminny,
Jakiejś bogini, co ma krowie rogi.

SARA.

Czy już skończyłaś?

(Afreja upięła jej włosy i daje znak skinieniem, że
już koniec)

Czuję się znużona...

Zawiązka nadto ściśnięta u łona...

Korona cięży, — lecz się z tem oswoję,
Nim na królewskie mnie wezwą pokoje,
Odpocząć pragnę.

AFREJA.

W przyległej komnacie

Czekać będziemy.

(skłania się przed królową i wszystkie odchodzą,
do siebie)

Nie płacze po stracie,

Korona łzy miłości osuszyła.

SCENA II.

SARA (sama).

Miała Afreja słuszność, gdy mówiła,
Ze dyadem coś znaczy! Przyznać muszę,
Że w tej promiennej z klejnotów koronie,
Jakiś zradziecki, zgubny ogień płonie,
Co ludzką nawskróś przeistacza duszę.

(wstaje)

Jestem władczynią! Między mną a tłumem
Reszty śmiertelnych, przepaść się otwarła.
Ich cierpień odtąd ja już nie rozumiem,
I moja własna przeszłość już umarła!...
Przeszłość... wspomnienia i niewinne życie,
Pierwsze zachwyty... pierwsze serca bicie.
Z Danielem wszystko w jednym legło grobie!
Życie zaczynam, niepodobna sobie...
Umrzeć?... Ja miałam szaleństwa napady...
Umrzeć? po co? Lub po co knuć zdrady?

Wszak przebaczenia już dla mnie tam niema.
Nieba już niema. Została mi ziemia...
Na ziemi więc zostanę i na łożu
Puchowem, złotem łożu majestatu,
Przeigram życie, królująca światu!
Piękności czołem wszak biją królowie,
A po mej śmierci, naprzekór Jehowie,
Wzniosą ołtarze, mnie, jako bogini,
W mnie poświęconej wspaniałej świątyni.

SCENA III.

SARA, — JOACHIM w ciemnych szatach, błądy i wynędzniały.

SARA

(ujrzawszy go, do siebie z przerażeniem).

Mój ojciec!... On tu? O, moja korona!...
Jeśli go ujrzą... ach, jestem zgubiona!

JOACHIM (bardzo łagodnie).

Saro!

SARA (wyniosłe).

Kto śmie spoczynek zamącać królowej?

JOACHIM.

Ja...

SARA.

Czego szukasz tu, starcze surowy?
Odejdź!

JOACHIM.

Nie wiesz kto jestem?

SARA (odwracając głowę).

Nie znam ciebie!

JOACHIM

(z żalem i gniewem).

Oby cię również Bóg nie znał na niebie!
Dziecię niewdzięczne i kamiennej duszy,
Czyliż cię ojca krwawa łza nie wzruszy?
Zmyliłem strażę z narażeniem głowy,
Jam niezliczone przełamał trudności,
By ciebie zbudzić z twej złudnej wielkości,
I aby chociaż dusza nieśmiertelna
Uniknąć mogła wieczystej zagłady!

SARA.

I gdzieś tu widzisz potępienia ślady?

JOACHIM.

Już nie jak ojciec — lecz w imieniu Tego
Mówię, co nie ma nad siebie wyższego...
Mówię do ciebie w imieniu Jehowy.
O! wobec Niego nędzna, skazitelna,
Jest wielkość ziemską, chociażby na chwale
Opartą była. — A tyś ją zuchwale
Na hańbę wzniosła!...

SARA.

Starcze, tyś szalony!
Gdzie widzisz hańbę? Moja skroń w koronie!

Świat u stóp moich wybija pokłony,
Zrodzona z królów i jestem na tronie.

JOACHIM.

Tys jego żoną?

SARA.

Żoną.

JOACHIM.

U ołtarzy

Jakich on tobie zaprzysięgał wiare?
Kto za twe szczęście niósł niebu ofiarę?

(drżącym głosem)

Kto w imię ojca błogosławił tobie?

SARA (wzruszona).

Ojcze!

JOACHIM

(wyciągając ku niej rękę).

Saro!

SARA

(zimno, oddalając go giestem)

On berłem mnie darzy.

JOACHIM (łzę ocierając).

O! czemu pierwaj ja nie byłem w grobie!

Czy sądzisz, Saro, iż berło ci starczy?

Iż stanie tobie za ojca i Boga?

Saro! Ty żadnej już nie masz dziś tarczy,

Przed tobą przyszłość czarna i złowroga...

Saro! Ty nie masz dziś żadnej świętości,

Co w życiu człeka jest mu talizmanem;

Ty nie masz w sercu wiary, ni miłości,
Nie masz ojczyzny, rodziny, ni Boga,
Saro! twe życie tu i tam przegram!

SARA (cicho).

Może...

JOACHIM.

Nie łudź się szczęściem, bo dla ciebie
Już szczęścia nie ma na ziemi i niebie..
Bo w twojej piersi jest ów głos straszliwy,
Sędzia co czuwa, a zwie się sumienie..
Ty go nie uśpisz. — Napróżno cię dziwy,
Cuda otoczą przepychu i sztuki,
Napróżno mędrców zawezwiesz nauki,
Napróżno króla niestrudzone łaski,
Co dzień nowymi obsypią cię blaski,
Nie uśpisz serca, co dzień mara błada,
Przy purpurowem wezgłowi uśiędzie,
Dzień i noc winy twoje liczyć będzie.

SARA (ukrywa twarz w dłoniach).

O! niech mi wszystko, niech mi wszystko gada,
Byle nie jedno, to okropne słowo:

Żem go zgubiła!

JOACHIM (ze łzami, do siebie).

Najdroższa ty głowo!...

Boże, ocal ją!

(ujmując jej rękę)

Chodź, rzuć te podwoje,

Wróć do Jehowy między plemię twoje!

SARA.

On nie przebaczy...

JOACHIM.

Z nami razem,
Gdy nas zawezwą, by uczyć bałwany,
Wtenczas, jak Daniel, przed Bella obrazem
Wyznaj twą wiarę i zgin z nami razem!
Wtenczas Jehowa, twą krwią przejednany,
Przebaczy...

SARA

(wyrывая mu rękę, z przerażeniem).

Zginąć! Co? Zginąć! Nadaremnie...
Śmierć taka straszna... Co ty chcesz odemnie?
Ty śmiercią grozisz? Pomocy! Pomocy!

JOACHIM

(patrzy na nią z litością i żalem).

Przeciwno ojcu? Wszak jam w twojej mocy,
A nie ty w mojej. — Słuchaj nieszczęśliwa,
Raz jeszcze głos cię Wszehmocnego wzywa:
Nie jesteś zdolną nieść krwawe ofiary,
A więc przynajmniej niewieściami łzami
Służ dziś ludowi twemu. Dzisiaj czary,
Naczynia święte z Dawida świątyni,
Król przynieść kazał do bankietu sali;
Winem rozpusty będą je kalali,
Błuzniąc Jehowie, który rządzi nami.
Wiesz, iż naczynia te, tylko kapłana
W święto tknąć mogła dłoń niepokalana!

Idź błagaj króla, by w skarbcu zostały,
Wszak nie odmówi ci łaski tak małej.

SARA.

Gdybym ja twojej usłuchała rady,
Tobym wydała wyrok mej zagłady.
(słysząc jakiś szmer, w głębi przesunął się Gustap,
Sara przybiera postać królowej i mówi zimno)
Starcze! szanując tylko włos twój siwy,
Mój umysł dotąd słuchał cię cierpliwym...
Nie mam kierunku ja państwowej nawy,
Ani mnie żydów nie obchodzą sprawy.

JOACHIM.

Czemże ty jesteś?

SARA.

Assyrii królową.
Dłużej natrętną nie nudzić mnie mową.

JOACHIM.

Saro, twa matka umiera z żałości,
Czyż nie zaniosę jej słowa miłości?!

SARA

(która ciągle widzi Gustapa, zdejmując bransoletkę
i daje ojcu).
Zanieś to jej odemnie.

JOACHIM.

O, przekleństwo!
Ty życie matki będziesz złotem płacić?

Złotem chcesz serca okupić męczeństwo!
O, lepiej było ją w kolebce stracić!
O, lepiej było nigdy nie mieć dzieci!
Ojczyźnie Aaronie, srogość twoja święta,
A litość moja występna! Bądź przeklęta!
Córko wyrodna! Giń więc z występniemi!
Przedem czy później nam łaska zaświeci,
Wszak Bóg jest w niebie a Daniel na ziemi!...

SARA.

Daniel!?

(Joachim szybko odchodzi).

SCENA IV.

SARA (sama).

Stój ojczyźnie! A Daniel! on żyje?...
Cóż mu się stało? Jak mi serce bije...
Czyliż być może? Daniel! O ja nieszczęśliwa!...
Znowu huragan w mej piersi się zrywa,
Znow strasznej walki wszczęły się katusze...
Stoję wysoko, — upaść, — upaść muszę!...

SCENA V.

SARA, GUSTAP.

GUSTAP.

Przed chwilą wyszedł...

SARA (szybko).

Starzec mi nie znany.

GUSTAP.

I padł bez zmysłów u pałacu bramy.

SARA (wyniosłe).

Po co wpuszczacie nieznanomych ludzi?

GUSTAP.

Skoro ich widok waszą niechęć budzi,
Natrętów każe zabijać u proga...
(mówiąc to, patrzy na nią badawczo, ona lekko
drgnęła, lecz milczy).

GUSTAP

(do siebie, patrząc na Sarę).

O, tyś straszniejsza od Afryki węża,
Zjadliwsza od skorpiona. Czemu skroń męża,
Gdy ojca nie znasz? Niech skończy się trwoga.
Z królem noc spędzi. — Do zwlekań nie pora,
Ona żyć musi przestać do wieczora.

(głośno)

Bładość śmiertelna twe lica okrywa,
I serca bicie twoją pierś rozrywa,
Ty cierpisz, pani?

SARA.

Tak!...

GUSTAP.

Może napoje

Chłodne orzeźwią?

(Ona skinieniem głowy pozwala. — Gustap wychodzi
i po chwili wraca z kubkiem złotym, który jej na

złotej tacy podaje, — ona pije, on nieco odwraca głowę, jakby z uczuciem przykrości).

SARA.

Ustąpi żar z głowy?

GUSTAP.

Odtąd nie dotknie was żaden ból nowy...

SARA.

Cha! Cha! Wyborne widać leki twoje!
A ten ból tutaj, co szarpie i pali,
Czyli twój kordyał i ten ból oddali?

GUSTAP.

Uśpi na wieki i uśpi odrazu.

SCENA VI.

Ciż, KRÓLEWSKI DWORZANIN.

DWORZANIN (przyklękając).

Z róż najcudniejsza monarchini świata,
Której Melitta wieniec wdzięków splata,
Boski małżonek was do siebie wzywa.

SARA.

Gdzie jest?

DWORZANIN.

Przy uczcie.

SARA.

Czegóżes tak blady?

GUSTAP (do siebie).

Na jego ustach jest wieść nieszczęśliwa...

DWORZANIN.

Trwogi, królowo, widzisz w licu ślady.

SARA.

Ach, cóż się stało?

DWORZANIN.

Przy bankietu stole,
Król wśród satrapów, gdy zasiadł w półkole,
Podczaszy przyniósł, z pańskiego rozkazu,
Lśniące puhary i czasze, roboty
Tak cudnej, iż w nich sam materyał złoty
Najmniejszej jest wartości. — Czary wzięte
Z Syonu, gdzie czczone były, jako święte,
Przez potężnego Maga Salomona.
Dziwna potęga ma być w nich zamknięta...
Ledwie je wnieśli, pomiędzy filary
Dłoń niewidzialna kreśli dziwne znaki,
Z liter płomiennych! Więc Bel przerażony,
Nie wiedząc czyli to są jakie czary,
Czy znaki bogów, śle na wszystkie strony
Po Magów swoich i po was nareszcie.

SARA (drżąc).

Znaki powiadasz? W jakiej one mowie...
W jakiej mowie kreślone?

DWORZANIN.

Magowie

Dotąd odczytać pisma nie zdołali...

SARA.

O! przepowiednia ojca... Biada! Biada!
To dłoń Jehowy... Nie nas nie ocali!
Chodźmy do króla! Gdzie jesteś Afreja?
Podaj mi rękę. — Gniew Jehowy spada
Na moją głowę!... Choć mała nadzieja,
Spieszmy! O, słabnę... zdradzają mnie siły.

AFREJA.

Pani! na ciebie wszak czeka twój miły...

SARA.

Tak, czeka — śmierć czeka, okropna i sroga,
Śmierć pośród obcych, bez ojca i Boga!

AFREJA.

Spocznij chwil kilka — oto miękkie łożo.

SARA.

Dla mnie spoczynku być więcej nie może.
Lepiej mi nieco — nie traćmy i chwili...

AFREJA (do Gustapa).

Jak ona usta do uśmiechu sili,
A drży jako na fali blask miesiąca.

GUSTAP (ponuro).

Szybciej nie może iść umierająca.
(wychodzą).

(Zasłona spada).

ODSŁONA DRUGA.

SCENA VII.

Świetna, ogromna sala bankietowa. Na podniesieniu przy złotym stole siedzi **BALTAZAR**; — przy stołach w półkole ustawionych po jednej i po drugiej stronie satrapi; na stołach masa naczyń złotych; — przy królu **BEROZES**. — Przed nim stoi **KILKU MAGÓW** z wyrazem przerażenia; wszyscy biesiadnicy wlekli zwracają oczy na ścianę; w głębi sala jest rzeźbiście oświetloną. — Po chwili **ARCHIMAG**.

BALTAZAR (do Magów).

I cóż? milczycie? A więc nie wiecie!
Na cóż się przyda wasze dociekanie?
Tu w oczach naszych, tutaj na tej ścianie,
Dłoń niewidzialna kreśliła wyrazy,
Ja je widziałem i wszyscy widzieli.
Cóż to? Wy głusi na moje rozkazy?
Ha! To zuchwałość bezprzykładna w świecie!
Ja chcę, ja każę, — byście powiedzieli,
Co znaczyły wyrazy!

MAG.

Przebacz, panie!

Tego nie wiemy. — Trwoga nasza wzrasta...
Odkąd wzniesione święte mury miasta,
Nie podobnego się jeszcze nie stało,
Wzrok nie oglądał, ucho nie słyszało!

BALTAZAR.

Ach! nędzne Magi, mędrcy bez rozumu,
Mistrze bez wiedzy — zwodziciele tłumu!

(Archimag wchodzi)

Gdzież przestawiona potęga zaklęcia?
Ach! mądrość wasza, to jak niemowłęcia
Pierwsze jąkania, nim przemówi słowy.
Dla was cud każdy niesłuchanie nowy!
Precz z moich oczu! Precz z nimi w ofierze!
Niech wielka Isttiar ich życie zabierze.

ARCHIMAG.

Panie! i pocóż wyrok tak surowy
Na Magów twoich poświęcone głowy?
Któż, panie, pośród ludzi skazitelnych,
Mógł zbadać wszystkie tajnie nieśmiertelnych?
Lecz gdzież te dziwy? Te ogniste znaki?
Ja ich nie widzę... Jest-że tu kto taki
Który je widział?

BALTAZAR.

Teraz znikły.

ARCHIMAG.

Panie,
Daruj, — lecz mnie to dziwi niesłuchanie,
Iż wydarzenie tak niewielkiej wagi,
Przerazić mogło twój umysł podniosły.

BALTAZAR.

Małośmy wszyscy dowiedli odwagi?

BEROZES.

Lecz te litery co przed okiem rosły...
Kręgiem ognistym opasując salę?

ARCHIMAG.

Takie zjawisko nie jest dziwnem wcale;
Jest to zapewne odbicie promieni,
Jarzących światel w naczyniach błyszczących,
I ten to odbłask pośród arkad cieni,
Przybrał ów pozór wyrazów płonących.
Gdy się zaś z blaskiem oswoiło oko,
Wyrazy znikły.

MAG (cicho do Archimaga).

Lecz, mistrzu...

ARCHIMAG.

Ni słowa!

Fałsz-li, czy prawda, to rzecz jednakowa,
Byle uwierzył...

BALTAZAR.

Otóż to głęboko
Myśl sięgająca! Dzięki, mistrzu, dzięki...
Wypadły puhar weźmy znów do ręki,
Zajmijcie wasze znów miejsca wokoło,
Ucztę przerwana skończymy wesóło.
Ku nam się zbliża dwór pięknej królowej...
Otóż i ona.

SCENA VIII.

Ciż, — wchodzi SARA, bardzo blada, lecz cudnie piękna. — AFREJA i orszak królowej.

BALTAZAR (do Sary).

Czekam tylko ciebie!
Wierni poddani, dziś moja korona
Stroi się w szczęścia i radości nowy
A cudny kwiat, — oto moja żona!

BIESIADNICY.

Długie lata niech żyje Assyrii królowa!

SARA (na stronie).

Szyderstwo losu.

BALTAZAR

(sięgając po czarę z winem).

Więc pierwsze toasty
Wylej na ołtarz Bela, a niewiasty
Ołtarz Melitty...

SARA (ujmując go za rękę).

Królu, ja cię proszę
Nie tykać tych czar!

BALTAZAR.

Czemu?

SARA.

Czary święte
Na inne cele nie mogą być wzięte!

BALTAZAR.

Saro! co to jest? Co znaczy ta mowa?
Nie śmiem przypuszczać, lecz Saro, ja wnoszę...

SARA.

Słuchaj mnie królu, zbyt drogie są chwile...
Mnie już dotknęła mściwa ręka Boga,
U szczytu chwały i w młodości sile
Patrzaj, ja konam...

BALTAZAR.

Tyś śmiertelnie blada!

Ratunku!

SARA.

Na mojem czole osiada
Już cień śmiertelny. — Ach czuję dowodnie,
Ze wždy jest kara za winy i zbrodnie...
Wierz konającej. Niech nikt się nie waży
Dotykać czar! Biada! Kto znieważy
Jehowy imię!

BALTAZAR.

Milcz!

SARA.

Cóż mnie zatrwoży?
Umieram, — straszny mi tylko sąd Boży,
Reszta proch marny... Ojcie! twe przekleństwo
Płomiennym płaszczem okryło twe dziecię.
Raz niech zakończę, — raz ducha męczeństwo.
O! cięższej zbrodni nie ma na tym świecie,
Jak zaprzeć się swego Boga i narodu,

Jam się obojga zaparła. — Jam z rodu
Dawida króla, — judejska królowa.
(pada na ręce Afreji).

BALTAZAR.

Przekleństwo! Jakto? Znowu na mej drodze,
Znowu ten Bóg Hebrejów! Ha, srodze
Będę się mścił! Pijcie toast nowy!
Pijmy, — wieczysta zagłada Jehowy!!!
(podnosi puhar, — na przeciwległej ścianie ukazują
się ogniste znaki. Osłupienie ogólne, — czara wy-
pada z ręki króla).

SARA.

Pismo hebrejskie! Wezwijcie Daniela!
(Umiera, kobiety ją wynoszą. Berozes korzystając
z zamieszania wychodzi).

SCENA IX.

Wszyscy, prócz Berozesa, Sary i niewiast.

BALTAZAR

(chwytając za rękę Archimaga).
Czytaj i tłumacz! Patrz, czy to złudzenie,
Czy to jedynie odbite promienie?

ARCHIMAG.

Widzę, lecz pojąć nie mogę słów treści,
Ani też jaki sens w onych się mieści.

BALTAZAR.

Temu, co powie co to pismo znaczy,
I kto zawilość tych słów wytłumaczy,
Dam pierścień z palca, dam koronę z głowy,
Oddam mu zarząd moich państw połowy!

ARCHIMAG.

Ostatnią radą nieszczęsnej królowej,
Było, o Panie: »Wezwijcie Daniela!«

BALTAZAR.

Wybornej rady zaprawdę udziela,
Gdy go zabiła!

ARCHIMAG.

On dotychczas żyje!

BALTAZAR.

Któż go ocalił? Przez staranie czyje?

ARCHIMAG.

Pośród lwów żyje!

BALTAZAR.

Niech przedemną stanie!

A jeśli zdoła pojąć te wyrazy,
W hojne nagrody zamienię karanie.

ARCHIMAG.

Przywiodę go.
(Kilku dworzan i Archimag wychodzą po Daniela,
uczujący w grupach stają w głębi tak, iż król jest
sam na przodzie sceny).

SCENA X.

BALTAZAR sam, — w głębi strwożeni biesiadnicy szepczą między sobą, wychodzą i wchodzą i zdają się czemś ważnem zajęci).

BALTAZAR (patrzając na napis).

Tajemnicze znaki,
Czy w was zawarta groźba czy przestroga?
Belu! czy rozkaz mi przysyłasz jaki?
Czy świat innego ma ponad cię Boga?
Hebrejów Boga do walki wyzwalałem,
I on się stawił. — A ja? ja zadrżałem!
Miałbym się lękać, ja? Ja nie znam trwogi...
Jeśli chcesz walczyć, to wejdź w moje progi,
Uzbrojon w miecze, albo w lwa postaci,
Nie cofnę w kroku! Lecz człek rozum traci,
Wobec tej groźnej, niewidzialnej siły,
Co znaki kreśli i sypie mogiły...
Ów blask się wciska, jak żar pod powieki,
I trwożę w sercu on wyrzył na wieki.

SCENA XI.

Ciż, — ARCHIMAG, — DANIEL, który jest zupełnie obojętny i spokojny.

ARCHIMAG.

Królu, przywodzę ci mędrca Daniela.

BALTAZAR (do Daniela).

Widok twój oczy moje uwesela!
Widzisz płomienne na ścianie wyrazy?
Jeśli wyczytasz — wszelkie ci urazy
Dawne zapomnę. — Będziesz mógł twą wiarę
Wyznawać jawnie, i składać ofiarę
Bogu twojemu. Pół mojego państwa
Oddam ci w zarząd; przysięgę poddaństwa
Spełnią satrapi.

DANIEL.

Królu, nie potrzeba.
Chcesz dać więcej niż masz. — Wy zaś słuchajcie!
Wielkość Jehowy, jego moc poznajcie!
Oto jest wyrok nieodmienny nieba:
(wskazując na litery)
Mane, Tekel, Phares...
Królu, ważono twe czyny na szali,
I były lekkie — pierwszy wyraz znaczy,
I tak się w naszym języku tłumaczy.
Bóg cię posadził na najpierwszym tronie,
Życie narodów złożył w twoje dłonie,
Aleś ty pyszny i dumnego serca,
Ciemieżca słabych, własności wydzierca,
Mieczas używał nie na ich obronę,
A na tępienie twych ludów, a złoto,
Które poddani ci niesli z ochotą,
Nie starczyło ci. — Sięgnąłeś po czary,
Pobożnych królów dla Jehowy dary.
Więc Bóg odsunął swoją dłoń od ciebie;
Pomsty Jehowy nastąpiła godzina

I tron twój, królu, walić się zaczyna.
Spuścizna twoja jest już podzielona:
Dla Medów jedna, Persów druga strona.
Tobie śmierć rychła, — i rychło przed wrogiem
Poznasz, że Bóg jest, — a tyś nie jest Bogiem!

BALTAZAR.

Danielu, ratuj!

DANIEL.

Już zapóźno, panie!
Dumnieś odrzucił pokorne błaganie,
Zbyt wzniosłeś głowę i dziś w proch upada.
Krew to niewinnych, ludu twego jęki,
Zdzierstwo, łupieżę, sprawiedliwych męki,
Wołają pomsty i los twój: zagłada!...
Cyrus już objął tutaj panowanie,
On te wyroki spełni Opatrzności,
Hebrejów wróci do ich posiadłości!

OKRZYKI ZA SCENĄ.

Niech żyje Cyrus! zwycięzca szczęśliwy!
Wielki wojownik i król sprawiedliwy!

BALTAZAR.

Co to jest?

KILKU ZE STRAŻY (wpadając).

Persy! Persy!

BALTAZAR.

Gdzie?

JEDEN ZE STRAŻY.

W tej sali.

BALTAZAR.

Kędyż Berozes?

JEDEN ZE STRAŻY.

U stóp Persów króla...

BALTAZAR.

Niewierny satrap. Ach! tron mój się wali!

JEDEN ZE STRAŻY.

Pers po ulicach Babilonu hula!...

BALTAZAR.

Gdzież straże moje?

JEDEN ZE STRAŻY.

Padły.

BALTAZAR.

Los zawzięty!

Kędyż Afrasiab?

JEDEN ZE STRAŻY.

Wszak dziś rano ścięty.

BALTAZAR.

Przekleństwo! miecz mój! podajcie mi zbroję!
Ze mną! Czyż Persom kroku nie dostoję?

BIESIADNICY.

Stój, królu! Stój! opór niepotrzebny:
Wszyscy odbiegli, — któż stanie w obronie?

Raczej zwycięzcy poddajmy się sami,
A on swą litość okaże nad nami!

BALTAZAR.

Ja miałbym spełnić czyn trwogi haniebny?
Jabym krew splamił co płynie w mym rodzie,
Po pierwszym władcy na ziemi, Nemrodzie?
Żyłem na tronie, — i umrę na tronie!

SCENA XII.

Podwoje się otwierają, wchodzi CYRUS, młody, bo-
haterski i szlachetnej postaci, — za nim PERSY, BE-
ROZES i inni SATRAPI.

BIESIADNICY (padając na kolana).

Łaski! litości!

CYRUS (do biesiadników).

Wierności nie ganię,
Bezbronnych moje nie morduje ramię.
(do Baltazara)

Poddaj się, królu. — Nie tak jeszcze losy
Winić ty możesz — jako raczej siebie.
Władca, którego poddani w potrzebie
Odbiegli łatwo, — widać nie był w stanie
Sprawiedliwością zdobyć przywiązanie.
Poddaj się. Jeszcze i w nieszczęsnej dobie,
Godność królewską cenię w twej osobie.

BALTAZAR.

Ha! wiedz ty nędzny przywódco hołoty,
Co śmiesz tu do mnie przemawiać zuchwale,
Co podle zdrady nagradzasz jak cnoty,
Wiedz, iż tkwi we mnie jeszcze w swojej chwale
Duch tych, co pierwsi panowali światu,
Pierwsi stworzyli wielkość majestatu!...
Los mię pozbawił korony i tronu,
Lecz władcą wolnym zostanę do zgonu.
Tak król umiera!

(przebija się i pada martwy).

DANIEL (do Cyrusa)

Tak kończą tyrany.
Bądź sprawiedliwy, a będziesz słuchany,
Będziesz potężny, gdy będziesz kochany!

CYRUS.

Ktoś ty jest mistrzu?

JEDEN Z BIESIADNIKÓW.

To ten sam jest, panie,
Hebrejski mędrzec, co twe panowanie
Nam przepowiedział.

CYRUS.

Tyżeś to, Danielu,
O którym słyszę niesłychane dziwy?

DANIEL.

Przezemnie moc swą objawił Bóg żywy,
A ciebie, panie, pośród władców wielu,

Abyś panował nad ziemskimi pany,
Wybrał w swej łasce potężny Jehowa.
Na długo ziemia twe prawa zachowa.
Lud assyryjski podźwigniesz z niedoli,
I nas Hebrejów, boży lud wybrany,
Tyś przeznaczony uwolnić z niewoli.

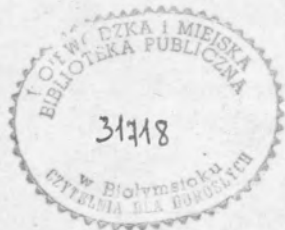
CYRUS.

Uczynię więcej. — Słyszałem, iż była
Świątynia w Syonie, dzieło Salomona,
Którą zwycięzców dzika dłoń zniszczyła.
Każę, by z gruzów była znów wzniesiona,
Gdyż czuję żywo, iż wyższa opieka,
Zdwoiła siły słabego człowieka,
I jej to władza kierująca z góry,
Mnie prowadziła w babilońskie mury.

DANIEL.

Dzięki ci. — Pomnij też w każdej potrzebie,
Żeś nie ty Bogiem, — lecz że Bóg jest w niebie.

(Zasłona spada).



KONIEC.



821.162.1

Bošniacke
Savonavole

31718